Luty — 1857.

IGNACEGO DOMEJKI

CZTEROMIESIĘCZNA PODRÓŻ

z Paryża do Chili w roku 1838.

Część Pierwsza.

PODRÓŻ MORSKA.

(Ciąg dalszy.)[1]

III.

Dalszy ciąg podróży morskiéj; — przejście przez zwrotnik; — mgła piaszczysta — ryby latające — o podróży morskiéj i podróżujących — protestanci angielscy i Brezylijczyk.

5 marca. — Wiatr stały, pomyślny, pędził nas szczęśliwie. Ośm mil angielskich na godzinę, a po trzy stopnie szerokości na dzień ubiegaliśmy. Przy tem, niepodobny był ocean do tego co nami tak gwałtownie na

[1] Patrz Zeszyt styczniowy.

Biskajskiéj zatoce rzucał i pokład nasz okrętowy bałwanami oblewał. Tu lekko sfałdowana fala dozwalała widzieć daleki horyzont, tak tajemniczy i tylko niebem zakończony, jako przyszłość. Niebo było czyste, pogodne, a woda ciemno - szafirowa, czasem w błękit przechodząca, na której pięknie się lśniły blado różowe meduzy przezwane od marynarzy angielskich *portugalskiemi okrętami.*

6.—O godzinie 11éj rano przeszliśmy przez zwrotnik raka pod 20tym stopniem długości (na południk Londyński). Ciepłomierz dochodził do 70° Faran. (16. Re.). Tego dnia popołudniu barometr spadł nagle i przed zachodem słońca znowu się podniósł bez żadnéj na pozór odmiany w powietrzu. Ani śladu obłoków nie było na niebie. Ale kiedy się słońce zbliżyło do horyzontu ukazała się po nad oceanem jakby mgła jaka, wcale do lądowych niepodobna, sucha i ciepła. Trudno było odgadnąć co znaczyła.

7.—Dopiero nazajutrz ze wschodem słońca, znaleźliśmy żagle i cały sprzęt na pokładzie, pokryte żółtawym bardzo delikatnym pyłkiem, który to z wiatrem od brzegów Afryki w kształcie owéj mgły do nas przyleciał. Tego dnia o południu byliśmy pod 19°57′ SG a 24°5 Dł. o 356 mil ang. od Cabo Blanco najbliższego nas punktu na lądzie. Kierunek wiatru ENE - OSO. Słońce było przyćmione i wieczorem mgła jeszcze gęstsza, zakryła nam słońce wcześnie przed zachodem. Termometr dochodził do 74° Far.—Toż samo zjawisko trwało jeszcze przez dwa dni następne, wiatr słabiał i zaledwo 9 marca straciliśmy z oczu kurzawę. Że w tymże czasie, ubiegliśmy siedm do ośmiu stopni szerokości w kierunku południowo zachodnim, ogromna przestrzeń po któréj ten pył rozpraszał się był, miała jak widzimy, do czterechset mil morskich szerokości, poczynała się na trzysta kilkadziesiąt mil od brzegów Afryki a Bóg wie jak

daleko zachodziła na zachód. Z tego to wnieść możemy jak ogromna massa piasku ze starego lądu przenosi się na morze siłą samego wiatru, który w tém miejscu mając kierunek stały i odnawiając toż samo zjawisko bezustannie, usypie w ciągu wieków jakiś szlak piaskowcu na dnie morza, trudny do odgadnięcia przyszłym geologom, a ląd afrykański ciągle się zniżać będzie.

Pył ten był tak delikatny, że za dotknięciem ręką do żaglu rozlatywał się w powietrzu. Żeby się mu przypatrzyć, nie było innéj rady, jak umoczywszy w wodzie gąbkę, wodzić nią po powierzchni żaglów na których osiadał. Wyciskając potém i myjąc gąbkę w czystéj wodzie, zebraliśmy dosyć owego pyłu na wypróbowanie jego natury.

Oddzielnie próbowałem pyłu zebranego w części niższéj, to jest z wielkiego żaglu i z przewróconego nad kajutą naszą wielkiego czółna, a oddzielnie część pyłu który majtkowie zebrali na najwyższym żaglu, *(le perroquet)* o 130 stóp wyżéj nad pokładem. Jakoż, pył z części niższéj był cięższy, szorstki; patrząc nań przez mikroskop dostrzedz można było odrobiny nieco większe, przeźroczyste jako kwarc, okrągławe, a przy nich inne cząstki tak drobne, że się wydawały jako punkta bez formy i wymiarów. Wystawiona na mocny ogień rurki probierczéj, ta część pyłu ssiadała się tylko, odrobiny spajały się ale nie topniały. Druga część tego proszku zebrana na wyższym żaglu była żółtsza, bez owych odrobin lśniących; na ogniu rurki probierczéj topiła się w czarną okrągławą kulkę, a za dodaniem boraxu dawała szkło zielonawe, zafarbowane żelazem. Przy tem obie części tego pyłu tak górna jako i dolna nie burzyły się z kwasami i zdaje się że bez żadnego na nie działania były kwasy.

W téj dziwnéj kurzawie, dobiło się do naszego okrętu kilka insektów z rodzaju podobnych do tak nazwanych *babek,* które się u nas nad wodą po trzcinie i ajerze

czepiają. Niezdawały się nawet być wielce zmordowane; trudno je było złowić i zaledwo jakimś przypadkiem jedną z tych błędnych istot pochwycono. Była nieco większa od naszych wodnych babek, miała główkę piósową, naramienniki złocisto zielone, podpiersi jasne, a skrzydełka jak najdelikatniejsze koronki czarniawe. Złowiona, niedługo żyła.

Razem też z pyłem, przyleciały trzy ptaszki lądowe, z których jeden, jakiś piękny, biały, z czubkiem, bardzo był zmordowany: usiadł na linie, chciał odpocząć, ale się chwiał, trzepiotał, i zdawało się że spadnie. Chciano go złowić, ale się ledwo do niego zbliżyli majtkowie, zerwał się i poleciał. Drugi, podobny do naszéj jaskółki, czarny, z orzechową główką, białém podbrzuszkiem i widłowatym ogonem wpadł w ręce zręcznego majtka. Rzecz dziwna jak te liche, słabe stworzenia, nadbrzeżne mieszkańce Afryki, mogły bez popasu ani kropli wody słodkiéj, trzysta kilkadziesiąt mil przelecieć w tym gorącym kurzu z pustyni Sahara.

9 — 13. — Począwszy od Teneryfy, okręt nasz ciągle się trzymał kierunku 550 aż nim dopłynął na szerokość wysp Przylądku zielonego (Cap vert), od których nie dalekośmy byli (na 20 mil ang.), aleśmy ich niewidzieli Odtąd zawróciliśmy się prosto ku południowi i po za. 26 południkiem mamy płynąć aż na drugą stronę ekwatoru.

Wiatr nieco wolniał; ubiegaliśmy po dwa stopnie szerokości na dzień. Ciepłomierz dochodził do 80°, barometr był prawie nieruchomy i tylko dniowe jakieś peryodyczne ruchy odprawiał, mało znaczne, a wracał zawsze do jednego stanowiska o południu. Barometr kapitana nie był dosyć dokładny i czuły iżby za jego pomocą można było z dostateczną precyzyą oznaczyć ów ruch peryodyczny dniowy.

O pogodzie nie ma co i mówić, niebo zawsze jednostajnie piękne; noce szczególnie, tak rozkoszne, że im tylko naszych łąk, gajów i naszych pól niedostawało.

W tym czasie nowe widowisko ciekawe i bawiące zajmowało mię: były to latające ryby *). W istocie, rzecz to bardzo ciekawa widzieć jak z niezmiernego morza wylatują jakby jaskółki, krążą po nad jego powierzchnią i znowu się do niego chowają. Czarne skrzydełka tych rybek, białe srebrne piersi, ogon widłowaty a główka bardziéj wyciągnięta niż u ryb zwyczajnych, czynią, że patrząc na te ryby w powietrzu, trudno jest sobie wmówić że to ryby. Żeby je dobrze widzieć idzie się na przód okrętu, bo ryby te zazwyczaj wyskakują z wody przestraszone okrętem i uciekają w stronę. Widziałem jednak zrywające się daleko od statku i unoszące się po nad wodą przez pół minuty, nie zawsze w linii prostéj ale się po kilkakrotnie zawracające, jak gdyby to nie ze strachu, ale przez zabawę i z przyjemnością czyniły. Najczęściéj widać je pojedyńczo wynurzające się i zapadające. Widziałem jednak nieraz jak przypłoszone okrętem, zrywały się z pod błękitnéj fali nakształt stada siewek czy kuropatw unoszących się nisko po nad polami naszemi. Żeglarze mówią, że na tę oceanową zwierzynę poluje wielki żarłok, sławny z piękności kolorów swoich przy skonaniu, delfin, zwany el dorado. Mówiono mi że zdarza się widzieć, jak stada tych ryb uciekają przed delfinami przez wiele mil w jednym kierunku, podlatując i zapadając do morza.

Jednego rana tak się wysoko podniosła biedna ryba, że zbłądziwszy trafiła na okręt i padła bez ducha. Jéj skrzydła w momencie śmierci zwinęły się i zwiędły, a są to podskrzelowe płetwy téj ryby, tak długie, że zwinięte dostają aż do ogona. Wieczorem tegoż dnia wsko-

---

*) Exocoetus volitans.

czyła na pokład druga rybka; pochwycił ją na powietrzu pies okrętowy i przyniósł żywą, tak że ją z rozpiętemi skrzydłami ujęto i trzymano póki nie zdechła. To dało mi sposobność do przerysowania skrzydła w naturalnéj wielkości, tak jak je widzimy rozpięte w czasie lotu. Skrzydło to płetwa, składa się z delikatnych jakby prątków, połączonych cienką błoną. Siedm takich prądków przedziela płetwę, nie licząc w to skrajnych i pomniejszych przy saméj osadzie. Każdy prądek dzieli się na dwa cieńsze z których każdy jeszcze na dwa cieńsze a te ostatnie, każdy jeszcze na dwa inne. Ten potrójny podział siedmiu środkowych kostek tworzy piękną niby sieć, która do skrzydełek motylów a szczególnie owych babek nadwodnych jest podobna. Mówili mi ludzie okrętowi że zawiesiwszy latarnią na linach w noc ciemną, udaje się czasem nie mało tych rybek złowić na pokładzie: stworzenia te bowiem lecą na światło, jako ptaszki obudzone w nocy.

O podróży morskiéj i podróżujących.

Nie mało już ludzi światłych i pięknie piszących starało się opowiedzieć drugim wrażenia jakich doznali w długiéj a dalekiej żegludze. Z tego, któż sobie nie utworzył wyobrażenia jak się to pływa po morzu, pierwej nim obaczył morze? Jedni chciwi niebezpieczeństw, wzdychają do tych podróży, prawie zazdroszcząc odwadze zręcznych opowiadaczów, którzy więcéj o burzy niżli o pogodzie mówią. Drudzy pływając w imaginacyi z wielkimi pisarzami wojażów, wyobrażają sobie jak się to widzi cały ocean z niebem w pięknéj nieskończoności,

ak szumią bałwany i jak śmiga okręt z fali na falę wśród potwór morskich, wielorybów i bardzo ciekawego świata. Nie były obce te rzeczy i mojéj imaginacyi. Więcéj ja w młodości mojéj dalekich i daleko piękniejszych przemarzyłem żeglug, niż ta, i może inne jakie, które są przedemną. Powiem więc, że w podróży morskiéj ani tyle niebezpieczeństw co po naszych wojnach i niezgodach, ani na tym świecie oceanowym tyle ciekawości i życia co po naszych wzgórzach i dolinach. Ograniczony wzrok nasz nie więcéj obszaru objąć może po morskim widnokręgu, nie więcéj nieba obaczy, co w koło rodzinnego domu ze wzgórza na którém przypatrywać się i dziwić nawykł całemu stworzeniu. Wszelkie potwory wodne, ryby straszliwe, bardziéj lękają się człowieka i jego pływającego budynku, niż nasze ziemne zwierzęta tak piękne, i tak rozmaite!

Ze względu zatém na jednostajność przedmiotów, życie na morzu bardziej jest prozaiczne niż na najdzikszéj pustyni na lądzie. Za wiele ludzi na okręcie i trudno się ukryć od nich, iżby z jednostajności przedmiotów korzystać dla wewnętrznego życia i rozpamiętywania; za mało tych ludzi i za mało wypadków, iżby w zewnętrznem życiu podobać. Dla tego to może ludzie morscy, majtkowie jak i wyżsi żeglarze zimni są, częstokroć dziecinni, ani weseli ni smutni, dosyć porządni i cierpliwi, cisi, uważni i zdaje się obojętni na śmierć i na życie.

Nie przyjemności zatém, ni rycerskich przygód, ani jakiéj wyższéj rozkoszy czy zabawy szukać ma podróżny w morskiéj żegludze. Z potrzeby chyba należy jéj próbować, a dopłynąwszy do portu, radzę ruszać lądem chociażby z nakładem, jeżeli czas i pieniądze po temu.

Okręt na którym płyniemy nie jest właściwie mówiąc wojennym, gdyż majtkowie i wszelki tu porządek dalekim jest od tego co się postrzega na angielskich wo-

jennych okrętach. Jednakże, okręt ten jest rządowy, jeden ze statków, brygów i brygantyn, które troskliwy o swój handel i panowanie na morzu rząd angielski utrzymuje, dla komunikacyi pocztowych, tak z przedniejszemi portami na cztérech częściach świata, jako też ze swemi flotami po rozmaitych morzach. Z tych statków, jedne przeznaczone są do komunikacyi z Ameryką północną, drugie z portami Ameryki południowéj, inne utrzymują pocztę ze Śródziemnem morzem, inne płyną aż do przylądku Dobréj Nadziei i daléj. Dowódcy i majtkowie należą do marynarki wojennéj, i zostają pod rozkazami admirałów i wyższych naczelników, w miejscach, gdzie się znajdują większe wojenne okręta lub eskadry. Po wszystkich bowiem ważniejszych portach rząd utrzymuje, lub od czasu do czasu posyła siłę morską, dla dania protekcyi kupcom anglikom i kierowania polityką zamorskich krajów; ku czemu też urządzenie poczty nieodzownie mu jest potrzebne. Tak wielkiéj protekcyi żadnego innego narodu kupcy nie mają; a korzystając z przezorności angielskiéj i regularności poczt, wiele też listów z Francyi, Niemiec i innych krajów rozchodzi się tą drogą po całym świecie.

Pierwszych dni każdego miesiąca wypływa z Falmouth jeden z tych pocztowych okrętów, przeznaczony do zawiezienia listów, pieniędzy i komunikacyi tak prywatnych jako i rządowych do Rio Janeiro. Po drodze zatrzymuje się przy Maderze, przy Teneryfie dla oddania listów, a na powrót, każą mu wstąpić do Bahia do Fernambuco i do niektórych portów na Mexykańskiéj zatoce. Dwa podobneż pocztowe statki rządowe angielskie w Rio Janeiro mają obowiązek utrzymywać na przemian komunikacye między tym portem a Buenos Ayres, zkąd następnie wszelkie listy rozchodzą się drogą lądową po całéj rzeszy Argentyńskiéj i daléj za Cordyliery przechodzą pocztami dosyć regularnie utrzymywanemi przez tame-

czne rządy. Tym sposobem wysyłane z Anglii listy, we trzy miesiące rozchodzą się po południowéj Ameryce aż na granice Patagonii i Arankanu i we trzy miesiące tąż samą drogą przychodzą do Europy.

Domyśli się czytelnik, że bryg Spey sprawował właśnie posługę o któréj mowa. Na niczem mu nie brakło czego tylko wygoda i bezpieczeństwo podróżnych wymagały. Bezpieczeństwo polegało na porządku, sztuce i umiejętności tak dowódzców jak i podwładnych; wygody życia zależały jedynie od gustu i staranności kapitana.

Główne gospodarstwo, folwark, mieściły się na górze, śpiżarnie zaś i piwnica pod nami. Mnóstwo kur i kogutów, pięć żywych baranów, kilkanaścioro podrosłych prosiąt, kaczki, gęsi i suka z trojga szczeniętami były na pokładzie. Biedne barany ani się odezwały przez całą podróż; przeciwnie, koguty wrzeszczały silniéj niż na lądzie, a niezgodne kury kwoktały i czubiły się nawet podczas burzy i nawałnicy.

Kapitan lubił to gospodarstwo i znał się na niem, a był tłusty, czerwony, gaduła, torys, czytał ogromną genealogiczną książkę angielskiéj szlachty; wielki zelator anglikańskiego kościoła, nieprzyjaciel katolików, Napoleona, a mianowicie Irlandczyków. Miał dwóch służących: jeden Braun, do przyprawy grogu, był w wielkiém zachowaniu u Pana; drugi murzyn Dżordż (George) do mniejszéj wagi posług.

Po kapitanie, szedł Master B, zacny bardzo człowiek, surowy, doświadczony, żeglarz na całą gębę, od trzydziestu lat na morzu. Był on z dziecinnych lat majtkiem i tylko przez pracowitość, dobre prowadzenie się i pracę dostąpił pierwszego po kapitanie urzędu. Mało mówił, znał swoje rzemiosło z praktyki, a był dyskretnym ministrem: rządził w imieniu naczelnika i nie dawał poznać tego.

Miał on zastępcą człowieka, już dobrze między ludźmi wytartego. Ten trzeci był niegdyś kapitanem innych handlowych statków; dwa stracił okręta, dwa razy się rozbił; a przytem umiał po francuzku i nie był tak surowym anglikiem jak drudzy.

Znajdował się też na okręcie lekarz: młody, piękny, zręczny i niepospolitych zdolności, pełen nauki i wyższych pojęć.

Majtków było 36, z których jeden stary z wyprawy kapitana Parry do bieguna północnego, jedenastu młodych pierwszy raz na morzu i troje małych chłopców.

Nie wiele mam do powiedzenia o pasażyerach. Byli to zwyczajni podróżni Anglicy, podobni tym, jacy się napotykają po dyliżansach i oberżach na trakcie z Paryża do Boulogne czy z Paryża do Włoch. Znajdował się też jeden Brezylijczyk o którym już wspomniałem, i o którym na swojem miejscu będzie mowa. Nie miałem zręczności poznać innych, którzy na przedniéj części okrętu za pół ceny odbywali podróż: bo im niewolno było na naszą stronę przechodzić, ani też z naszéj strony panowie mieszali się między uboższych czy skrzętniejszych ludzi.

Wiedzieć bowiem potrzeba, że wszelki okręt porządny tak wewnątrz na dole, jako i na pokładzie swoim na dwie równe dzieli się części. Jedna połowa od przodu dla roboczego ludu dla majtków i za pół ceny płynących podróżnych; druga od tyłu, dla miejscowego rządu i arystokracyi. W téj była sala jadalna i nasze izby, w tamtéj kuchnie, składy, śpiżarnie etc. Zwierzęta nawet sztucznie rozdzielono: od przodu były barany, wieprze i kaczki a z naszéj strony pozastawiano kotuchy z kurami i kogątami, które to kotuchy pomalowane zielono, służą razem za sofy i kanapy.

Nie moją rzeczą rozprawiać o żeglarskiéj sztuce i nazywać po imieniu wszystkie żagle, wszystkie liny belki

i maszty któremi tak misternie, tak wspaniałe przybrany i nastrzępiony okręt, jest bez wątpienia najciekawszem dziełem sztuki ludzkiéj. Patrząc na niezliczone mnóstwo tych lin krzyżujących się i tworzących jakby pajęczynę, na półtorasta stóp nad okrętem rozpiętą, pamięci ludzkiéj zdaje się niewystarczy na spamiętanie do czego z nich każda służy i jakie jéj znaczenie. Nic od kaprysu, ani jedna nić dla ozdoby, ni przez próżność ludzką niedodana; wszystko na swojém miejscu, porządne, potrzebne, a całość, ogólny charakter budowy, jak każda rzecz doskonała obudza w nas uczucie piękności i jedna zaufanie.

Doświadczyłem tego, pamiętam, na zatoce Sta Cruz przed Teneryfą, kiedy w dzień pogodny na cichem morzu oddaliliśmy się na czółnie daleko od naszego okrętu, by czém prędzéj obaczyć miasto. Z godzinę pracowało czterech silnych szyprów robiących wiosłami i daleko jeszcze byliśmy od brzegu; gdy zwolna wiatr zawiał tak lekki, tak cichy, żeśmy go ledwie uczuli przy powierzchni morza. Obaczyliśmy nasz okręt z rozpuszczonemi wszystkiemi żaglami przybliżający się do nas poważnie i z dziwną wspaniałością. Nie widać prawie było w nim ruchu, a w jednéj chwili nas dopędził. Cała jego powietrzna część żeglowa, biała i jaśniejąca na słońcu, miała za sobą błękitne niebo. Obejrzałem okręt od stóp aż do góry i widziałem że był piękny w formie swojéj, niewymyślonéj od ludzi, ale będącéj wypadkiem natury rzeczy, matematycznych wymiarów prawdy i konieczności.

Ale wróćmy do swego i opowiedzmy jak tu żyjemy na okręcie, od czasu kiedy wiatr stały wprowadził nas na ten spokojny, gorący pas morza.

Przed sternikiem między dwoma kąpasami stoi okrętowy zegar; na drugiéj połowie okrętu straż i przy niéj dzwonek. Sternik daje znak straży, która młotem we

dzwonek wybija godziny i półgodziny; sposób zaś ich liczenia różni się od lądowego i zastósowany jest do zmiany straż. Podzieleni na dwie części majtkowie zmieniają się co cztery godziny; dla uniknienia zaś by straży nocne nie przypadały zawsze dla jednych, ale bezstronnie były rozdzielone, dwie zmiany wieczorne są tylko po dwie godziny.

I tak, począwszy od godziny 8méj rano.

O 8½ godzinie	jedno	uderzenie.
9 „	2	„
9½ „	3	„
10 „	4	„
etc.		
O południu. zmiana straży	8	uderzeń.
12½ „	1	„
1 „	2	„
1½ „	3	„
etc.		
3 „	6	„
3½ „	7	„
4 zmiana straży	8	uderzeń.
O 4½ „	1	„
5 „	2	„
5½ „	3	„
6 zmiana straży	4	„
O 6½ „	1	„
7 „	2	„
7½ „	3	„
8 zmiana straży	8	uderzeń.
O 8½ „	1	„
9 „	2	„
etc.		
11½ „	7	„
O północy, zmiana straży	8	„
12½ „	1	„
etc.		
O 4 zmiana straży	8	„
4½ „	1	„
etc. etc.		
O 8 rano zmiana straży	8.	„

Tym sposobem uderzenia we dzwonek co półgodziny, ostrzegają znudzonego wojażera o biegu godzin. Czas wlecze się powoli, godzina godzinie podobna przeciąga się długo, a każdy dzień przebyty nic po sobie niezo-

stawia w przypomnieniu. Co godzina na straży majtkowie rzucają na morze uwiązaną na sznurku deszczułkę; mała klepsydra wymierza dokładnie jedną minutę czasu, przez którą zatrzymana przez falę deszczułka rozwija sznurek, a z jego długości wnoszą żeglarze o chyżości okrętu. Z rana o 8méj i o południu dowiadujemy się z obserwacyi gwiazd i słońca gdzie jesteśmy i jak daleko ubiegliśmy od wczora. Nudzi się myśl ciągłem liczeniem jak daleko odpłynęła od brzegu i jak daleko jéj płynąć do drugiego brzegu. Nie jest dla niéj pomocą wzrok nieczynny, prawie nie potrzebny na téj zawsze jednostajnéj fali.

Wstajemy rano o pięciu uderzeniach ($6^1/_2$). O téj godzinie majtkowie myją pokład i szorują wiennikami z powrozów konopnych. Anglicy co dzień się golą i czysto ubierają chociaż ani jednéj damy niemasz na okręcie. Skoro się kto ubierze wychodzi na górę i tam dajemy sobie nawzajem dobrydzień, chodząc po naszéj połowie okrętu. O 8méj wyłazi z *kabiny* murzyn i swoje białe pokazując zęby: zaprasza na śniadanie. Szynka, sztokwisz czy łososina, kura na zimno, herbata i wiele innych rzeczy stanowią śniadanie. Rozmowa nieco senna, harkawa, przerywana, a jednak z godzinę siedzimy u stołu; po czem, cała kompania wychodzi znowu na pokład i mamy trzy godziny czasu najtrudniejsze do przebycia. Z nudy, bieżem się do książek a biblioteczka kapitana składa się z dziwnego śmiecia nowych romansów i broszur. — W tym czasie, majtkowie kręcą liny szyją żagle i naprawiają stare sprzęty, a zawsze mają co do czynienia cisi i pracowici ludzie. Zdarzało się też, że o téj godzinie, o porannem słońcu zbliżały się i przeciągały koło okrętu rekiny i delfiny. Zarzucano na nie haki a kapitan miał pierwszeństwo w téj zabawie.

O południu ośm uderzeń, świst majtków, astronomiczne obserwacye orzeźwiają nieco towarzystwo. Jest to godzina obiadowa dla majtków i podrzędnych oficerów, kiedy tymczasem w izbie kapitana dają na przekąskę ser, porter i poczyna się godzina grogu. Po czém, nowy był zawsze ambaras do zabicia czasu: głaskano psy, drażniono drób' i barany, przypatrywano się wodzie a mało mówiono: bo anglicy nie radzi wiele mówić przed obiadem. Im bliżéj obiadu, tém więcéj niecierpliwości;— aż w końcu, o sześciu uderzeniach obiad! Początek zawsze poważny; głos rozmawiających nieco zmieniony; każdy zajęty swoim talerzem, bo lada kaprys morza trudno utrzymać zupę w wazie a tem trudniéj na talerzu. Anglicy mają zwyczaj wszystkie prawie potrawy od razu zastawiać na stole, jakby na porozumienie się ze swoim apetytem co jeść, a z czego drugim ustąpić. Ten zwyczaj ma swoje niedogodności szczególnie na morzu: bo przy wahaniu się okrętu półmiski tańcują na stole— każdy z biesiadujących ma się na ostrożności. Dwaj służący czatują z tyłu, i od czasu do czasu za uderzeniem fali, wyciągają ręce, przytrzymują obiad i każdy z jedzących chwyta za to co ma przed sobą: ten za butelkę, ów za podlewę, ów widelcem przytrzymuje pieczeń lub bieży na ratunek rozwalającéj się kolumnie gorących, dymiących kartofli— Ustaje rozmowa; aż okręt znowu wraca do równowagi i tylko słychać szum wody po za ścianami. Nie tak się jednak dzieje w pasie międzyzwrotnikowym po którym płyniemy: tu bowiem częstokroć po kilka mil ubiegamy na godzinę a okręt tak jest spokojny, wahanie się tak nieznaczne, że bezpiecznie można postawić kieliszek z winem na stole; czego jednak dobrzy amatorowie trunku nieczynią i zaraz wychyliwszy kładą kieliszek bokiem z przyzwoitą ostrożnością na swojem miejscu.

Wino albowiem jest jedynym napojem na tych obiadach a wina innego anglicy nie piją jak hiszpańskie, czy portugalskie, dobrze spirytusem zaprawione. Zwyczajem też angielskim nikt wina nie wypił niezamówiwszy sobie kolegi do wypicia. Pierwéj nim się weźmie za kieliszek, mówi się do osoby wybranéj: *Master NN. a glas wein with You.* Osoba ta odpowiada: *with pleasure,* i podaje butelkę. Nalewa się kieliszek, i czekać należy dopóki ów zamówiony kolega nienaleje swego kieliszka i nie weźmie go w rękę; w ten czas obie osoby kłaniają się nawzajem sobie głową, po ramiona, z miną bardzo poważną i nie ruszając bynajmniéj korpusem;— po czem pije się jak u nas. Niegodzi się nigdy odmówić nikomu tego koleżeństwa i osoba niechcąca pić powinna choć przez ceremonią umoczyć usta w kieliszku, po dopełnieniu przedwstępnych grzeczności. Zwyczaj ten jakkolwiek mający swoje zalety, staje się męczącym i niewygodnym gdy towarzystwo zbyt liczne i niebardzo zgodne.

Tu należałoby mówić o kuchni i potrawach angielskich; ale na nieszczęście nie wielki ze mnie żarłok ni znawca na przysmakach: wiele mięsa i kartofli, szynka z wołowiną, kura z pekenflejszem, rozmaite ryby słone i marynaty, a wszystko z pieprzem pigmentem i musztardą; oto nasza okrętowa kuchnia. Przytem, plompudyngi, bredpudyngi, apelpudyngi i inne tym podobne kończą obiad, w czasie, kiedy już konwersacya tak bywa żywą że ani się ruchu okrętowego nie widzi, ani szumu wody nie słychać.

Konwersacya bowiem powoli rośnie przy jedzeniu. Ceremonie kieliszkowe zrazu ją pomykają i prawie potrzebne są na początku, aż po chwili, Bóg wie zkąd się weźmie, że czasu niewystarczy na wszystko co każdy ma do powiedzenia. Przy téj okoliczności należy się uczyć dowcipu i obejścia się rozmaitego narodu lu-

dzi. Anglicy którzy nie zawsze radzi są wyjść w pole, tu częstokroć popisują się i ledwo nierozrzutni są na dowcipowanie. Polityka religijna, życie prywatne i narodowości wszystko się miesza i przeważa w dowcipowaniu, skoro pod koniec obiadu ten paroksyzm napadnie na ludzi.

Dwie godziny siedzimy u stołu aż się dowcip zmorduje i samym sobą przesyci. Mordowałem się słuchając, a nieraz, próżnujący porównywałem ten dowcip angielski z tak przesławionym dowcipem francuzów.

Między niemi różnica niemała. Francuz dowcipujący nie mówi nigdy o rzeczach ni ludziach jak są ale wszystko rad w śmieszność obrócić, tworzy czy przerabia, czasem przeżuwa tylko. Nieraz, im poważniejsza, im świętsza rzecz tem bardziéj rad ją przekręcić, gdy jakie ostre słówko szczęśliwie mu się nawinie. Dowcip angielski jest surowszy; uderza w prawdę, a przez to poważniejszy; nie tworzy, ale szuka śmieszności i rad ją znaleźć, pochwyca, pieści się z nią jak z własnym nabytkiem i czasem aż do znudzenia powtarza. Dla tego to dowcip francuzki lżejszy jest i rozmaitszy, angielski bliższy prawdy, niepotrzebujący gestów ni śmiechu w osobie która dowcipuje. Tamten szukając żywiołu, pomija częstokroć istotną śmieszność w naturze, przebacza jéj lub nią gardzi, a czasem przez narodową grzeczność, miłość ku ludziom lub dobre wychowanie, daje pokój temu co przez ułomność, nieudolność wrodzoną jest śmieszne lub co przez niezrozumienie rzeczy wydaje się być zabawnem. Zawsze bowiem ten dowcip woli coś z siebie wymyślić i z własnym pobawić się utworem; kiedy tymczasem angielski szuka, patrzy i nigdy nie przebaczy śmieszności skoro ją zoczy. Francuz bawi się, i tyle tylko do swoich konceptów przywięzuje wagi, ile one są jego własnym wymysłem; gotów pogodzić się z rzeczą którą sam był w śmieszność obrócił; An-

glik sądzi, niepobłaża:— ostrożniejszy od poprzedniego, niedotknie rzeczy świętéj, w którą wierzy, ni poważnéj która mu rozkazuje, ale niepogodzi się z rzeczą ni osobą, które przed nim na nieszczęście nie umiały ukryć swojéj śmieszności, nie przebaczy ułomności, ni temu w co nie wierzy, lub czego nie czuje i nie rozumie. Niechaj Bóg mię zachowa od jednych i drugich dowcipnisiów.

Po obiedzie piją Anglicy grog u stołu, co niemało przeciąga rozmowę; czasem idą ją kończyć na górze przy cygarowym dymie. Jest to czas w którym całe towarzystwo okrętowe przechadza się po pokładzie, podzielone na dwie kasty, każda po swojéj połowie. Jeden tylko kapitan różnił się niekiedy od swoich podrzędnych. Szedł on zwyczajem naszych dobrych gospodarzy czytać książkę po obiedzie na łóżku, a miał łóżko wyborne, na sznurach zawieszone, w którém, jakby w kołysce jakiéj czytał, i zaledwo o zmroku— budził się. Że zaś był człowiekiem militarnym i nieco kapryśnym, bywało że kazał o téj saméj porze rozdać karabiny majtkom i musztrować lub strzelać do celu, dla ostrzelania suki ze szczeniętami, które do niewypowiedzenia lękały się prochu. Majtkowie ci byli tak prości, dobrzy i poważni że nigdy ich niewidziałem prześmiewających nikogo, tylko przy musztrach.

O zmroku całe towarzystwo i czeladź okrętowa ucisza się, na widok gwiazd, które się jedne po drugich, z ciemniejącego błękitu pięknie wynurzają. O téj przyjemnéj dla mnie godzinie, acz krótkiéj, lubiłem na brzegu okrętu siadywać od zachodniéj strony; drudzy przechadzali się jeszcze pendułowym ruchem, inni oparci na parapecie myśleli, Bóg wié o czem. O téj porze, dwa razy w tygodniu majtkowie zeszedłszy do swoich izb śpiewali pobożne pieśni, psalmy, bardzo zgodnie i z należytą powagą; a dobry kapitan przegrywał w swo-

jéj kajucie na akordionie *God save the king* i *Rule Britania.*

Zaledwo błyśnie lampa na dole, już słychać szczęk— talerzy i sztućców: nowe przygotowanie do jedzenia, jak gdybyśmy od wczora nie jedli. O ośmiu uderzeniach (o 8éj) zmiana straży, świst i wielki ruch na okręcie; majtkowie biegą do swoich łóżek, które wyciągają ze składów na parapecie okrętowym ukrytych, połowa ich do spoczynku na dół schodzi, druga połowa zostaje na straży. W tymże czasie, wyłazi tenże sam murzyn z kajuty co o 8méj rano, i z tąż samą uprzejmością prosi na wieczerzę.

Szynka, pekenflejsz, kura na zimno, ser etc. wychodzą znowu na scenę, a cała wieczerza jest raczéj pretekstem do grogu i do gawędki niż samą wieczerzą. W godzinę idziemy znowu na górę patrzeć na niebo i na świecącą falę. Jakoż, godzina ta nocna, piękniejsza jest na morzu dla znającego się na gwiazdach niżli dzień. Przypatrujemy się konstellacyom; rozmowa o astronomii, o żeglarstwie; ale rozmowa nie zapalająca, nie gniewająca, czasem bardzo powolna: ledwo się wlecze słówko po słówku jako dym po dymie z cygarów, których się znaczna ilość wypala co wieczór na tém pływającem obserwatorium.

Powoli sen zmiata po jednemu z pokładu, a o 8miu uderzeniach w północ, już tylko straż nocna, sternik i od służby oficer czuwają.

Protestanci Angielscy i Brezylijczyk.

Nie trzeba daleko jechać, ni płynąć za morze, żeby się dowiedzieć jaki to niedobry obyczaj tych Anglików mó-

wić źle o kościele naszym i jego obrządkach, urągać się z księży katolickich i Papieża, w obec katolików. Niemasz prawie Anglika, niemasz książki z nowszych czasów, niemasz anglikańskiego kazania, któreby zupełnie wolne było od téj wady. Lud o tolerancyi mówiący, a jednak tak surowy, że bez względu na osoby z któremi żyje, na ich wewnętrzne przekonania i wiarę, popisuje się z nietolerancyą swoją protestancką i z większém uszanowaniem o kramie swojego sąsiada, niźli o wierze i religii swojego bliźniego mówi.

Najbardziéj zatwardziali w tej wadzie i nieuważni są żeglarze, uczniowie Oxfordscy i z Cambridge, anglicy wiele wojażujący i niższéj klassy torysowie; że nie powiem nic o księżach, z którymi nie przestawałem.

Oprócz tlejącego z dawnych czasów ognia i wewnętrznych przyczyn, istotnych, które temu ludowi miłości ku swym braciom niedają, a które Bóg tylko widzi, są też przemijające, tegoczesne przyczyny, podrażniające anglików przeciw katolikom.

Kraj ten porządnie zagospodarzony, lud wiele pieniędzy i wiele okrętów mający, ma bogatych księży, chodzi raz w niedzielę na kazanie i dobrze mu się dzieje. Tymczasem w państwach katolickich częstokroć niezgody, wojny, ubóstwo; jedne z nich w niewoli, drugie z silniejszym mocują się nieprzyjacielem, nie jedno, jako ów celnik, stoi u przysionku kościoła, nieśmie oczu podnieść o ratunek, pokutuje. Patrząc na to bogaty i szczęśliwy, pyszni się, sobie i swoim zaletom przypisuje zamożność swoją, a w uboższym widzi zło, oskarża go o wiarę, urąga się z jego ofiar i łez, i z jego sukni.

W istocie, serce mię nieraz bolało słyszeć z jaką pogardą, surowością i uprzedzeniem mówili ci ludzie o Włochach, o Hiszpanach, o Portugalczykach, o całéj nakoniec Ameryce południowéj, rzucając winę na kato-

licyzm, na księży i na Papieża. Uprzedzenie to raz zaszczepione w Anglikach tém trudniejsze jest do wytępienia, że ci nawet z pomiędzy nich, którzy wojażują, nie uczą się języka, nie uczą się ludzi, nie starają się ich zbadać, żyją po restauracyach, mają do czynienia z kupcami i weturynami, a nadto są bogaci i szczęśliwi iżby uboższych i uciśnionych wyrozumieć mogli.

Prócz tego, inną jeszcze, domową przyczynę złego chowają u siebie Anglicy: jest to nieszczęśliwy stan Irlandyi, długo-wieczna niesłuszność temu krajowi przez nich wyrządzana i pokilkakrotny przelew krwi w ostatnich czasach. Najcięższa wina o którą ten kraj oskarżają, jest *ubóstwo:* wybierają z niego ostatni grosz dla siebie i mówią, że lud ubogi, bo katolicki; dziesięciny własnym oddają księżom a urągają się katolickim że ubodzy, niepamiętają na poniżenie w jakiém ten kraj tak długo trzymali, na złe i okrucieństwa jakich się na nim dopuszczali, a nieposiadają się ze zgrozy, gdy się jaki zły uczynek między Irlandczykami popełni.

Ale wróćmy do okrętu i naszéj podróży. Anglicy, a szczególniej kapitan i jego podwładni nie byli wolni od powyższéj wady prześmiewania katolików. Kapitan wielki *anglikanin,* miał przytém chętkę do nawracania wszystkich na protestantyzm i robienia prozelitów swemu kościołowi. Było też komu potakiwać i szczególnie przy grogu, pod koniec obiadu, nie przebaczano i jednej świécy na ołtarzach naszych zapalanéj. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć dla czego ci ludzie tak się poburzają przeciw rzeczom, których ani rozumieć nie mogą, ani się uczyć mają ochoty; nie pojmowałem dla czego z taką zawziętością powstawali na ludzi którzy im nigdy nic złego nie uczynili.

Jakkolwiek bądź, w niedobrém byli usposobieniu nasi Anglicy względem katolików, kiedy, jakem powiedział przybył do nas w porcie Funchal na Maderze jeden

ksiądz, brezylijczyk, powracający do swego kraju, chory a przytem bardzo grzeczny i spokojny człowiek. Ksiądz i Brezylijczyk, dwie rzeczy nie do smaku Anglikom.— Jakoż, jeszcze był nieodbył swojej choroby morskiej, kiedy się mu naprzykrzać zaczęli protestanci i srogo cenzorować. Master B. za jakąś awanturę w Lisbonie szczególny nieprzyjaciel Portugalczyków, rozciągał swoją nienawiść i do Brezylii, nie umiejący obcych języków dawał pokój księdzu ale stronił od niego i niemile nań spoglądał. Inni grubemi żartami uprzykrzali mu się, a szczególnie kapitan docinał i próbował na nim swojego dowcipu.

Przeciwnie ksiądz niemiał najmniejszéj ochoty do dysput; że zaś był człowiek dobrze wychowany i nieśmiejący obrażać osoby tak urzędowéj na okręcie jak kapitan, wszystko powolnie znosił, łagodnie, z uśmiechem. Ośmielony tém kapitan jął się do nawracania, i począł obszernie wywodzić doktryny, swoje refutacye; cytował książki których nieczytał i powszednie koncepta przeciw Rzymowi. Brezylijczyk milczał oczy spuściwszy, czasem się uśmiechał, książek angielskich nierozumiał a niedobréj francuszczyzny kapitana i błahych jego argumentów nie lękał się. Po niejakim czasie zniecierpliwiony kapitan, przymuszał księdza do potakiwania, lub do powiedzenia czego po protestancku, ale ile razy oto się pokusił nasuwając zręcznie zapytania, ksiądz mówił że nierozumié lub jaką ni to ni owo dawał odpowiedź. Z poważnej rozmowy znowu w żarty: żartował kapitan, gniewał się, dąsał a kończył żarty po angielsku, między swoimi, nie mogąc księdza rozgniewać: bo Brezylijczyk był zawsze jednostajny, na żarty uśmiechał się, na serio milczał.

Czasem jednak do niewytrzymania było księdzu i w tenczas pod jakimś pretekstem uciekał od kapitana, a że mu najmniej dokuczał Master B. szedł do niego

i starał się mu podobać: dawał cygara, pomarańcze, probował rozmowy, wiedząc że Master był wielokrotnie w Porto i w Lisbonie; ale Master bardzo go nielubił, wiele złego wiedział o Portugalczykach, a po portugalsku umiał tylko przeklinać i tem jak kijem odpędzał od siebie księdza.

W takich to obrotach był spokojny Brezylijczyk, chory, wojując cierpliwością i słodyczą przeciw grubéj i nieokrzesanéj zarozumiałości. — I rzecz dziwna, więcéj tem dokazał, niż ja gniewem i ostremi częstokroć wyrazami. Byliśmy dobrze z Brezylijczykiem i nieraz mię hamował, dając poznać że się nie godzi gniewać i nie warto dysputować przeciw uprzedzonym a zarozumiałym.

Jakoż, jeszcześmy niedopłynęli do ekwatoru, kapitan zaczął miarkować swoją protestancką gorliwość, a jeden z konfraternii powziął ku księdzu wiele szacunku i uprzejmości, przestając z nim dłużéj od innych i niejedną godzinę pędząc na rozmowie.

Co widząc Master B. odprowadza na stronę Anglika i rzecze mu: „ostrzegam żebyście się z tym Portugalczykiem niespoufalali; nie wiecie co to są za ludzie, może się wam zdarzyć przypadek podobny temu co mi się przytrafiło niedawno. Płynęliśmy z Lisbony do Londynu; mieliśmy na okręcie dwóch takich jak ten Portugalczyków. Spotkała nas burza, przez wiele dni mieliśmy wiatr przeciwny i wieleśmy cierpieli. Jednego dnia nad wieczór wiatr zmienił się i zeszedłem na moment do kapitana oznajmić mu, że płyniemy dobrze i że za parę dni będziemy w Londynie. Dwaj ci... byli w izbie, i wiesz Pan co zrobili? — nie uwierzysz — oto przyskoczyli do mnie jeden z jednéj, drugi z drugiej strony, i poczęli mię w twarz całować i radować się jak szaleni. Patrz Pan jak to źle poufalić się z ni-

mi — Ja nawet nie bardzo byłem blisko z nimi, tylko czasem dawałem dobrydzień, jak się masz, co słychać“?

IV.

Dalszy ciąg żeglugi — noc pod ekwatorem — przejście na pół kule południowe.

14 marca.—Jesteśmy pod 6⁰24 SG a 26⁰8 Dł. Ciepłomierz w cieniu dochodził do 82⁰ Far. (28⁰ na moim setkowym).

Tego wieczora całe morze błyskało światłami. Nie mowię już o tych iskrach które nasz okręt ocierając się o wodę dobywał z fali: iskry te drobne, żywe, jasne, zmięszane z morską pianą, gasły — na trakcie po którym płynęliśmy:—ale z daleka po całej powierzchni oceanu, pokazywały się większe światła, które nie od razu nikły ale przeciągały powoli w rozmaitych kierunkach. Niekiedy, otoczone tą dziwną jasnością, widać było o podal, jakby z pochodniami przechadzające się, potężne ryby. Inne, stworzenia żywsze, mniejsze, kilkakrotnie podnosząc się i zapadając do wody tworzyły mnóstwo sztucznych błyskawic i jakby ochotnemi ogniami nas bawiły. Potém znowu morze było ciemne i tylko od czasu do czasu przybliżały się do okrętu i zapadały w głąb jakieś okrągłe ryby, koliste, blado świecące, jako błędne po cmentarzach światła. Niebo było przymroczone obłokami; ale obłoki nad tem nadoceanowem niebie nie są jak nasze, pełne, wydatne i rozległe: tutejsze jakieś drobne, nastrzępione, z lekka przykrywają niebo i nigdy go tak czarno nie zaciemnią jak nasze.

Nie widzę dostatecznych powodów do przypuszczenia z panem Humboldt i innymi uczonymi, jakoby te piękne światła o których mowa, pochodziły od organicznéj materyi czy polipów zawieszonych w wodzie, gnijących a prawie niewidzialnych. Woda morska tego wieczora, była czysta, najmniejszego nie miała odoru, a wzięta pod mikroskop, nie widać w niéj było najmniejszego śladu jakichkolwiek bądź jestestw. Główny warunek do wydobycia z niej światła było jak uważałem tarcie, i światło to nie zależało od powierzchni ocierającéj wodę, bo zarówno dawało się spostrzegać w ocieraniu się ryby o wodę jak téż w tarciu okrętu o wodę, a nawet w ocieraniu się wody o wodę. Uważałem bowiem, że tego wieczora około 10éj, kiedy najwięcéj świateł pokazywało się na oceanie, wszystkie nawet wierzchy fali, to jest miejsca gdzie się woda rozbija na krople i zamienia w pianę, świeciły. Może być, że przyczyny tego fenomenu szukać wypada w stanie elektrycznym atmosfery, od któréj téż zależy stan elektryczny powiérzchni wodnéj, większe lub mniejsze nagromadzenie elektryczności *wolnej* przy powierzchni wody, która przez lada tarcie lub uderzenie objawia ten zbytek elektryczności pod postacią świateł.

15 marca.—Jesteśmy pod 4°19′ szerokości, termometr dochodził do 84° Far.—Barometr nieporuszony. Wiatr *stały,* który w północnéj części gorącego pasa, począwszy od Teneryfy wiał od północo-wschodu, w miarę jakeśmy się przybliżali do równika zbaczał coraz bardziéj ku zachodowi. Od dwóch dni spostrzeżono wielką zmianę w jego kierunku, który z ENE—OSO przeszedł w kierunku E—O a dziś zarywał już na ESE—ONO. Ten ostatni jak widzimy, należy już do wiatru *stałego,* południowéj półkuli, a miejsce na którém jesteśmy, jest właśnie na walce czy ścieraniu się z sobą dwóch wiatrów *stałych* to jest północno-wschodniego z półkuli pół-

nocnéj, z południowo-wschodnim półkuli południowéj. Z tego to ścierania się dwóch wiatrów wynikają owe cisze których się tak bardzo lękają żeglarze pod ekwatorem. Dla tego to nasz kapitan, by czem prędzéj wyminąć ten pas niebezpieczny płynął w prostym kierunku od północy ku południowi. Cisza bowiem morska, częstokroć bardziéj jest niebezpieczna niż sama burza. Niedawno zdarzyło się kapitanowi jednego kupieckiego statku być zatrzymanym przez cztery tygodnie przy *linii* (pod równikiem) i przez ten czas, dwa zaledwo stopnie szerokości był uszedł; zabrakło było wody na okręcie, a suchość ciągła i skwar podrównikowy były do niewytrzymania. W ostatniéj rozpaczy znajdowali się ludzie gdy spadła ulewa: podstawiono żagle i wszelkie naczynia do zebrania deszczowéj wody a i to na niedługo wystarczyło: aż w końcu wiatr przyszedł i kapitan zmuszony był skierować swój okręt do wysp Cap Vert dla odświeżenia żywności i nabrania wody.

Należy też wiedzieć, że była jeszcze inna przyczyna dla któréj nasz kapitan wolał płynąć po za 26 południkiem, niżeli trzymać się południowo-zachodniego kierunku. Powiedziałem już że po drugiéj stronie równika wiatr *stały* wieje od południo-wschodu: Bohia do któréj płyniemy znajduje się pod 18° szer., a przytem, przy brzegach Ameryki wiatr stały bardziéj jeszcze zawraca się ku północy i panują prądy morskie od południa ku północy. Dla tego to żeglarze starają się przecinać równik jak można najdaléj do brzegów Ameryki: po przejściu bowiem przez ekwator, pewni są wiatru południowo-wschodniego który im niedozwala płynąć ku południowi, ale za jego pomocą, nastawiwszy żagle bokiem ku temu wiatru, wszelkie okręta płyną ku południo-zachodowi i nielękają się ciszy ni wiatrów zmiennych. Im bardziej na wschód znajdują się okręta po przejściu przez równik, tem bespieczniej i pewniej dochodzą

do brzegów południowej Ameryki pędzone od południowo-wschodniego wiatru; przeciwnie, porwane tym wiatrem okręta blisko amerykańskich brzegów, muszą biedz na północ i częstokroć krążą daleko nim znowu im się uda przeciąć równik na wschodzie. Z tem wszystkiem niemogą też żeglarze zbyt daleko zapuszczać się na wschód w przejściu przez równik, z przyczyny, że po za brzegami Afryki panują cisze lub wiatry zmienne, które zbyt utrudzają żeglugę. Doświadczenie nauczyło, że najbespieczniéj jest płynącym na południe, przecinać równik między 26 a 27 południkiem (licząc od połud: Londyń :)

Ciepło dnia tego było nieznośne, duszące; wiatr wolniał, niebo chmurzyć się zaczęło i zanosiło się na deszcz. Jakoż około go. 7mej wieczorem spadł deszcz ulewny, a w godzinę chmury się rozstąpiły i ukazało się niebo czystsze i wspanialsze niż nocy przeszłych. Tego wieczora gwiazdy prawie przy samym morzu świeciły i niebyło owéj pomroki ponad widnokręgiem, która ni to mgła ni obłok zasępia do koła niższą część nieba i rzadko kiedy pogodnie pozwoli zajść słońcu lub wejść księżycowi.

Dziwna to być musi i osobna w swym rodzaju roskosz jakiéj doznaje stary, wyćwiczony żeglarz, patrząc na niebo w noc pogodną. Tam się on przegląda w gwiazdach z takiem upodobaniem, jak my lud rolniczy w polach łąkach i gajach. U gwiazd on pyta się drogi, i kiedy na zmarszczonem zawsze jednostajnie morzu niewidzi nawet biegu swojego, cała rozmaitość dla niego na niebie, cała odmiana na przechylającem się sklepieniu gwiazdzistém.

Czas nie mały przestając z żeglarzami i co wieczór z nimi przypatrując się niebu, wyprostowałem był już nieco głowę, długoletniem pożyciem w Paryżu do bruku schyloną. Widziałem jak co noc o jednéj godzinie

nowe gwiazdy ukazywały się na południu, a północne dawne moje znajome do widnokręgu chyliły się.

Tej nocy okręt płynął prosto na południe a był już tylko o trzy stopnie, i może bliżéj od równika. Łatwo się było orientować. Linija podłużna okrętu dzieliła całą przestrzeń na wschodnią i zachodnią; linija jego poprzeczna na północną i południową; zenit wielkiego masztu dotykał niebieskiego ekwatoru.

Oparty na wschodniej krawędzi okrętu widziałem na północy rozciągniętą *niedźwiedzicę,* nisko już, o 50 stopni niżéj, niźli na naszém domowém niebie. — Po drugiéj stronie od południa, nowa dla mnie znajomość, konstellacya *krzyża:* dwie gwiazdy pierwszéj wielkości, jedna u stóp druga na prawem ramieniu; trzecia czerwieńsza u głowy, a czwarta nieco ciemniejsza na lewém ramieniu. Krzyż był pochylony, a coraz się podnosił o dwónastéj i co północ stał prawie pionowo. Konstellacya ta szczególnie na siebie zwraca uwagę żeglarzy i jeden przed drugim mi ją pokazywali, jako najznamienitszą na południowém niebie.

Tuż przy niej większa, bogata w gwiazdy rozmaitego koloru i wielkości, *okręt;* a dalej w głębi, przy południowym biegunie, dwie blade plamy, *mgły Magielana.*

Gwiazda północna nikła już przy morzu, oba bieguny dotykały prawie widnokręgu a na pół drogi między niemi, podnosił się księżyc z morza, w miejscu, kędy się poczynał i po nad głowy nasze ku zachodowi przerzucał zodyak.

Tak były wyraźne główne punkta i koła na niebieskiéj kuli i w tak prostém ona względem nas była położeniu, że z łatwością szukać było na niej znamienitszych gwiazd i ich gromad. Pokazywał mi je kapitan i większe po imieniu nazywał: jak kiedy osiadły z dawna w jakiej okolicy szlachcic, pokazuje gościowi zda-

leka po roskosznych błoniach rozsypane celniejsze domy wsi i folwarki.

A kiedyśmy tak zajęci, przechodzili z konstellacyi do konstellacyi, utopione oczy mając w niebie, stojący na przodzie okrętowym, majtek zawołał, że jakiś okręt do nas się przybliża. Podbiegli wszyscy na przód, i obaczyliśmy, może na parę staj od nas dwómasztowy okręt, który nam przebiegłszy drogę płynął ku północo-zachodowi. Szedł dosyć prędko, i niknął przy horyzoncie, kiedy stary Matros z wyprawy kapitana Parry, rzekł do swego kolegi: „idzie do domu". Wyraz *home* uwiązł mi głęboko w duszy; odszedłem.

16. Zrana gorąco nieznośne, ciepłomierz w cieniu przechodził za 86 stopni, zanosiło się na deszcz, przeciągały chmury, powietrze było ciężkie, a do koła po morzu [pluskały świnie morskie (marsuiny, *marsouins*) i dwa potężne rekieny (*requins*) przybliżyły się do nas może na paręset kroków od okrętu. Ukazało się też wiele ptaków wodnych *) i od czasu do czasu zrywały się i zapadały stada ryb latających. O południu byliśmy jeszcze o 2⁰ 7' od równika a okręt był nieco zeszedł z 26⁰ południka i znalazł się pod 25⁰ 47' Dłu. Geogr.

17⁰. Przypadła na nas cisza, którój się tak lękaliśmy. Żeglarze bardzo się zasmucili. — Ale koło 10téj rano zaobserwował uważny Master jakiś ruch między obłokami i zwiastował nam nadejście wiatru. Jakoż w godzinę, spadła ulewa i o południu znowu zaświeciło nad głowami naszemi słońce. Okręt był jeszcze o jeden stopień i siedm minut od równika.

Pod wieczór, wiatr znowu zawiał, uchodzimy po dwie do trzech mil na godzinę. Rozweselili się majtkowie.

---

*) Od marynarzy Angielskich zwane Mother's Crady Chiken.

Nie było wątpliwości, że nazajutrz przejdziem przez ekwator; że zaś nazajutrz przypadała niedziela, a w całéj Anglii ludzie niepozwalają sobie pracować ni bawić się w niedzielę, umyślili majtkowie dziś wyprawić ową marynarską krotofilę, która się powszechnie z okazyi *przejścia przez liniją* na wszystkich okrętach praktykuje. Nie był przyjacielem tej zabawy nasz kapitan, i niepozwalał majtkom targnąć się na *arystokracyą* okrętową, to jest na tych podróżnych, którzy z nim do stołu siadali. Obrządek więc tak nazwanego *chrztu morskiego*, niebył ani tak okazały ani tak zabawny jak się zwykle obchodzi na innych okrętach.

W istocie żaden żart ni zabawa na lądzie nie może być grubsza, mniej dowcipna, i boleśniejsza, od téj krotofili morskiej: przy żadnej jednak zabawie na lądzie nie masz tyle śmiechu i krzyku co przy téj jedynéj zabawie na morzu.

Najstarszy z okrętowéj czeladzi, najpoważniejszy, ubiera się jakoś dziwacznie i niby jest bożkiem morskim, który przychodzi w odwiedziny do okrętu, a ma swoje mieszkanie pod samym równikiem. Natychmiast drudzy, którzy już nie po raz pierwszy *liniją* przebywali, porywają za wiadra i rozmaite naczynia, spuszczają je do morza po wodę, i wyciągniętą wodą polewają tych wszystkich co niebyli jeszcze nigdy pod równikiem. Poczyna się krzyk, śmiech, prawie szaleństwo: w momencie cała połowa okrętu należąca do *gminu*, cały sprzęt na pokładzie zlany jest wodą słoną i wszyscy majtkowie do nitki przemokli. W ten czas starsi porywają z kolei po jednemu z nowiciuszów, niosą go i przewracają nogami do góry przed bożkiem i jedni sikawkami, drudzy z wiader leją nań strumienie wody, a mistrz obrzędu szoruje mu twarz i wciska wodę do gęby: tak, że biedny człowiek krztusi się i zsiniały, z wytrzeszczonemi oczami, prawie umiera w kon-

wulsyach, a wszyscy zachodzą się od śmiechu. Nazywa się to *golić marynarza*. Po tém, uwięzują po dwóch czy po trzech tak ogolonych na sznurze, ciągną ich w górę i leją wodę tak na zawieszonych jako i na tych co ciągną. Nakoniec, wszystko się miesza, niknie różnica między starszymi a młodszymi i jedni na drugich ciskają wodą, tak, że sam bożek, jakby świeżo wyciągnięty z morza usiedzieć nie może, ucieka a cała kompanija do zwyczajnej powagi i rozsądku powraca.

18. Była to trzecia niedziela postu. Rano zwyczajem swoim cały poczet okrętowy gotował się do nabożeństwa. Majtkowie w białych półkoszulkach z błękitnemi kołnierzami, w białych okrągłych kapeluszach, i każdy z książką w ręku, czekali u steru na kapitana i zawieszono banderę. Paradnie ubrany kapitan ze złotą szlifą i biblią wyszedł o godzinie dziesiątej po śniadaniu na pokład, i nabożeństwo rozpoczął, a sam był promotorem i zastępował miejsce księdza.

O jedynastéj było już po nabożeństwie; wrócili majtkowie do swojej połowy okrętu, i nastąpiła świąteczna spokojność; gdy okrętowy chłopak spostrzegł *rekiena* tuż przy okręcie. Podano kapitanowi uwiązany hak na sznurku i sam kapitan zarzucił na tym haku kawał wieprzowiny. W parę minut wyciągnięto na parę łokci długiego rekiena, silną sztukę, którą natychmiast popłatali majtkowie i z niéj uwarzyli dla siebie zupę. Mięso tego zwierzęcia twarde jest, niesmaczne, oddające tranem, i dla tego niepodano go na stół kapitana.

O południu obserwacye oficerów okazały, żeśmy już wyminęli równik i byli od niego na dwie minuty na południowéj półkuli. Słońce dnia tego miało tylko 1° 19' zboczenia i nie bez przyjemności widziałem cień głowy mojéj u nóg a słońce nad głową. Ciepłomierz nieprzechodził 83° Far.

Tego więc dnia o pół do dwunastéj Pan Bóg dozwolił mi szczęśliwie przejść przez równik ziemny. — Nie śniło się rodzicom moim, że ja najspokojniejszy z rodzeństwa, lubiący wieś i cichość zabiegę tak daleko i jeszcze dalej: bo jeszcze ledwo w połowie drogi jesteśmy.

Wiatr był przerywany, słaby. Zwyczajny prąd podrównikowy podpędził nas ku zachodowi, chociaż sternicy jeszcze trzymali się linii południowéj. Dziś wieczorem odmieniono kierunek okrętu; opuściliśmy południk po którym nasz okręt płynął przez 18 stopni szerokości i zawracamy się ku zachodnio-południowo-zachodniej stronie (WWS) w linii prostéj ku Bahia, dokąd nasz kapitan miał polecenie od swojego rządu, wstąpić po drodze do Rio Janeiro.

19—20. Płynęliśmy z obawą ciszy; wiatr zmienny, niebo się chmurzyło, a jednak barometr dzienne tylko (diurnes) peryodyczne, małéj wagi wskazywał odmiany. Termometr w cieniu dochodził do 84° a na słońcu wskazywał 110° F. Po kilkakrotnie spadał deszcz rzęsisty: co godzina zmieniała się hyżość wiatru. Słońce w tym czasie na północną przechodziło stronę i 19° mar. nieco przed południem było u zenitu.— 20 marca o południu znaleźliśmy się już pod 1° 21 Sz. a 27° 41' Dł. Gr.

21. O południu pod 3° 2. 5. a 28° 47 Dł. Wiatr południowo-wschodni, nieco stalszy. Żeglarze pokilkakrotnie dwa wyższe żagle, zwijać musieli w obawie burzy.

22. Wiatr pomyślny, *stały* SO, równie pomyślny dla płynących do Ameryki jako i dla powracających, z tą różnicą, że ci ostatni przeszedłszy za równik muszą daleko ze swéj drogi ku zachodowi zbaczać i płyną na północ (w kierunku NWN) aż po za szerokość Nowe-

go Jorku, żeby tam spotkać ciąg wiatrów od zachodu wiejących.

23. — 4° 12' S — 29° 30' Dł.

24. — 6° 48' S — 31° 17' Dł.

25. — 26. Ubiegamy po 7, 8 do 9 mil na godzinę. Obłoki poczynają się zaokrąglać, wypełniać i czyściej odrywać od nieba: przybierają wejrzenie naszych lądowych obłoków. — 26 marca byliśmy pod 12tym stopniem poł. szer. a mijaliśmy 35ty południk kiedy na morzu ukazał się brud jakiś szarawy na rozległość nieprzejrzaną okiem. Brud ten obserwowany w wodzie przez mikroskop, wydawał się jakby złożony z drobniutkich słomek, nieco żółtawych, i bez najmniejszego śladu organizacyi; potarty w palcach oddawał jakby tłustością wielorybią nieco przegniłą: co zapewne dało powód żeglarzom do domysłu, że był to brud wielorybi. Nie byłem w stanie odgadnąć co to znaczyło: z wejrzenia, na szkle mikroskopu, brud ten podobny był do nasienia roślin jakichś, czy mchów morskich, ale z zapachu oznaczał jakąś materyą źwierzęcą. Zapach ten nieprzyjemny był w atmosferze nawet, a morze było mętne.

W parę godzin minęliśmy to oceanowe błoto, oczyściło się powietrze z nieprzyjemnego zapachu, woda jasna i czysta przybrała swój zwyczajny błękit, i nastąpiła noc piękna, wspaniała: okręt biegł pełnemi żeglami rzucając na wszystkie strony srebrną jasnością i cała piana była jakby z ognia.

V.

Brzegi Brezylii — Bahia. — Dalszy ciąg podroży morskiej do Rio - Janeiro.

27 marca. — Rano niewidać jeszcze było ziemi oczy wszystkich zwrócone były na zachód i mało mówiono. Czujny master od świtu wyglądał przez swoję lunetę i o kwadrans na 10tą zawołał *land!* Podbiegliśmy do niego; a zaledwo znaczna była mała plamka przy horyzoncie. Okręt biegł prędko i wpółgodziny plamka ta rozciągnęła się jakby wąska liliowa wstążka, nad którą coraz milsze i jaśniejsze świeciły obłoki. Podano mi lunetę; obaczyłem nie tylko brzeg wyraźnie ale i lasy i pojedyńcze drzewa. Uczułem, co za radość musiała bydź pierwszych wynalazców nowego świata, na pierwszy widok ziemi.

O południu mieliśmy przed sobą brzeg Ameryki tak blisko że gołym okiem obejrzeć można było całą okolicę. Ciemny czarniawy las pokrywał płaszczyznę nadbrzeżną; las wydawał się jako nasze puszcze, a od niego przy horyzoncie odrywały się na błękitném niebie wyższe, pojedyńcze drzewa z czarnemi wiechami, jakby dobrego gatunku sosny nasze, które zrzucając z siebie niższe gałęzie, zachowują tylko wierzchy u góry. Wśród tego lasu i przy samėj wodzie przeświecał szerokiemi płytami biały jak śnieg piasek. W północnėj stronie unosił się dym gęsty z jakiejś pasieki a u dołu bliżėj nas widać było wieś niemałą o niskich, ubogich chatach.

Cały ten brzeg jakże różny od wólkanicznych, skalistych, wysokich brzegów Madery i Teneryfy. Tu ląd przy samém morzu, rozległa równina — w istocie, jest czem nie jedno północne oko oszukać: zwłaszcza tym

białym piaskiem, który do śniegu, a lasy do naszych czarnych lasów a całe łagodne podniesienie płaszczyzny do naszych równin tak podobne, że patrząc, oczom nie wierzyłem swoim; mając Brezylią przed sobą, o Polsce myślilem i to wrażenie tem żywsze było że niespodziane.

Tymczasem na okręcie miłe przygotowania czyniono do zatrzymania się u portu. Wyciągano łańcuchy od kotwic, dobywano paki, zawieszano bandery, przygotowywano czółna i psy okrętowe rozwartemi nozdrzami piły lądowe powietrze, czuły bliskość ziemi.

W miarę jakeśmy się przybliżali do brzegu, rozwijała się w całem swém bogactwie zieloność i nieznajoma dla mnie wegietacya. Owe lasy, które zdaleka miały wejrzenie sosnowych, były zielone, rozłożyste drzewa, całym niebem rożne od naszych, a owe wyższe, wysmukłe, nieco pochylone z czuprynami sosny, były kokosowe palmy.

Z mocnym wiatrem, rospuszczonemi żaglami wpłynęliśmy na zatokę zwaną, jużto zatoką Wszystkich Świętych, (Bahia de Todos os Santos) już to zatoką zbawiciela (Bahia S. Salvador). U wejścia, po prawéj ręce stoi przy samym morzu zamek Ś. Antoniego i na nim kaganiec morski; a ledwośmy minęli ten zamek, ukazał się nam port w całéj okazałości. Na czele stała fregata angielska, za nią Safo fregata wojenna francuska, tuż bryg wojenny angielski, daléj okręta wojenne brezylijskie, wśród których jedna duża fregata była na straży. Za temi okrętami widać było na wyspie nie wielką, okrągłą forteczkę, a za nią, okręta handlowe, schonery i statki rybackie. Rzuciliśmy kotwicę obok fregaty francuskiéj niedaleko brzegu, między zamkiem Ś. Piotra i placem gdzie się wylądowywa.

Natychmiast przybyli do nas oficerowie od rozmaitych okrętów i portowi urzędnicy. Od nich dowiedzieliśmy

się, że niedawno (dwanaście dni temu) wojsko cesarskie odniosło wielkie zwycięstwo i przytłumiło rewolucyą w Bahia podniesioną przez czarnych i metysów. Dowódzcą téj rewolucyi był Sabino, lekarz z profesyi, pobierający niegdyś nauki w Paryżu, zręczny, dumny, chciwy panowania i folgujący namiętnościom swoim. Poburzył on ludność czarną i opanowawszy miasto, wyniósł na naczelnika niejakiego Rega, mającego wiele stronników i powinowatych w kraju, a sam poprzestał na podrzędnym tytule sekretarza z władzą rządzenia. Miano organizować rząd, stanowić prawa, a tymczasem wybierano podatek. Pierwéj nim się o tem dowiedziano w stolicy i nim ściągnięto wo:ska, już formę udzielnego, republikańskiego państwa poprzedziły zdzierstwo nieład i swawola czarnych i metysów, którzy na sto tysięcy mieszkańców w Bahia tworzyli dwie trzecie ludności. Przybyła na koniec eskadra, i sprowadzono wojsko z Fernambuku; oblężono miasto i prawie do głodu przywiedziono mieszkańców. W tenczas podej ściem i siłą wpadli cesarscy żołnierze na rewolucyonistów i z obu stron zacięta była bitwa. Cesarskiemi dowodził Jan Krzysztów Callado, a murzynami i liberalném wojskiem Józef Velloso. Poczęła się bitwa od lądu 13 marca: oddział Fernambuczyków wpadł na przednie straże powstańców i bagnetem zdobył ważniejsze stanowiska. Po długim odporze wojsko rewolucyjne musiało cofać się a cesarscy we trzy brygady podeszli aż do la Cruz do Cosmo, pod same miasto. Nazajutrz bitwa przez cały dzień trwała i zaledwo o szóstéj wieczorem wojsko Cesarza weszło do miasta a powstańce zajęli zamek Ś. Piotra y Gamboa. W tenczas to bitwa zamieniła się w rzeź i najdziksze morderstwa. Rzucono ogień między domy czarnych i metysów, burzono je i do zgliszcza rzucano żywych murzynów. Noc odpoczynku niedała. Ze świtem rozpoczęto bitwę; brygada

Fernambuczyków rzuciła się na zamek S. Piotra i zaledwo po długiej zaciętéj bitwie, rowolucyoniści wywiesili białą chorągiew, i zdali się na łaskę. Nieznaleziono między nimi hersztów. Sabino zemknął był przed końcem, i jak mówią, krył się w domu konsula francuskiego. Rego też był uciekł, ale w parę dni złowiono Sabina i Rega i obu osadzono na brygu wojennym *Trzeci Maja*, gdzie ich męczą, katują i jak nam powiadał jeden urzędnik, chcą głodem zamorzyć. Wszystkie więzienia i szpitale przepełnione nieszczęśliwemi a o liczbie umarłych nikt nie wié.

Zaledwo pod wieczór dano nam czółno do wylądowania. — Bahia była przez długi czas stolicą Brezylii (aż do 1763) i liczyła jak mówią do sto dwudziestu tysięcy mieszkańców. Leży na północnym brzegu zatoki i ma przed sobą piękny, bespieczny i rozległy port. Piękniejsza część miasta, mieszkania białych, i publiczne budynki ciągną się po za wzgórzu, a u dołu brzegiem saméj zatoki idą ciemne, wąskie uliczki, prawie przez samych Negrów zamieszkałe. Ku nim od górnego miasta spuszczają się ogrody, bogate w ową ciekawą gorącego pasa wegietacyą, wśród któréj palmy banany i inne dziwnych kształtów i wejrzenia drzewa panują. Na górze, widać kościoły, teatr i dom rządowy; na dole jatki, rynek owocowy, komory, szpitale i magazyny.

Ciężki smutek mię ogarnął skoro dobiwszy do brzegu, obaczyłem świeżo poniszczone, poczerniałe od pożaru, powyszczerbiane od kul, wielopiętrowe domy. Nagie pospólstwo czarnych niewolników zalegało brzeg, niższą ulicę i ciasny, brudny, śmierdzący rynek. Po rozwalinach domów gdzie nie jedno jeszcze zgliszcze dymiło, kryli się wychudli, jakby poczerniałe skielety ludzie. Ledwo gdzie niegdzie bielszy jaki człowiek przebijał się między czernią, a ci bielsi, po furażerkach

i strzelbach znać było, że są żołnierstwem, używającem tryumfu. Handel i rzemiosła nie przyszły jeszcze były do swego porządku; i snuły się tu i owdzie leniwe grupy murzynów z jakąś niedołężną obojętnością, białe zęby tylko i białka od oczu pokazując słońcu, które duszącym skwarem dopiekało dnia tego. Niepodobna było ni jednéj myśli smutnéj ni wesołéj odgadnąć na twarzach tych ludzi: potężne tylko kule uwięzłe po ścianach i szczerby w murze mówiły czem są i jakiej siły na nich użyto. W tym smutnym obrazie smutniejsze jeszcze na mnie wrażenie czyniły czarne niewolnice. Liczne ich gromady znaleźliśmy na owocowym rynku: jedne z nich przedawały ogromnéj wielkości pomarańcze, jeszcze niedojrzałe, i małe, bardzo soczyste cytryny, inne próżnowały lub bawiły się jako małe dzieci. Głowy ich golone, przypłaszczone czoła, szerokie usta, szerokie nozdrza i odstające uszy czynią je okropnie szpetnemi na pierwsze wejrzénie. Szczególnie przykro widzieć je z dziećmi: murzynki bowiem noszą swe dzieci na plecach, i uwięzują je prześcieradłem do pasa; dziecko zaś ssące trzyma się boku kobiety, nożkami i rączkami obejmując matkę, która je jakby od niechcenia jedną tylko ręką przytrzymuje. Między starszemi, widać było trzęsące się, zgrzybiałe, smutne i milczące. Młodsze puste, głupawe, śpiewały i tańcowały wpośród świeżych rozwalin i wpośród zapadających od ostatniéj klęski murów. Zwróciłem oczy na jednę gromadę kobiet u drzwi pustego domu: trzy murzynki młode, na przeciw siebie siedzące klaskały w ręce i śpiewały, śmiejąc się pustym, głupim śmiechem, a ramionami i głową dziwnie wyrabiając; obok nich inne zachodziły się ze śmiechu, inne dopomagały minami, jak to czasem małe swawolne dzieci czynią, tuż inne smutne, znędzniałe, chore, i jakiś człowiek grubém okryty suknem, schylony nad żarem leczył się jak nam mó-

wiono, od ciężkiéj choroby. — Słońce zaszło i natychmiast noc zapadła; zadzwoniono na pacierze i wpośród tego pospólstwa świeżą jeszcze afrykańską oddychającego pustynią, widać było modlących się. Przeszedł ksiądz z Panem Bogiem, otoczony licznym orszakiem sług kościelnych i księży, a cały lud po drodze upadł na kolana.

Wróciwszy do okrętu już o księżycu, nie znalazłem kapitana, który był na ten czas na fregacie angielskiéj. Siedliśmy do wieczerzy z Brezylijczykiem, kiedy o kwadrans na ósmą uczułem mocne uderzenie o spód okrętowy. Wbiegł murzyn z wiadomością, że okręt nasz na mieliznie.

Wielki rozruch powstał na pokładzie, a rzecz się tak miała — Kapitan i jego podwładni tak tego dnia byli roztargnieni i tak zaufali karcie morskiéj, że wszedłszy do zatoki, rzucili kotwicę niesądując głębi. Według karty miało być 4 do 5 sążni wody w miejscu gdzie się zatrzymano, a nie było więcéj jak 3 do 4. Nadto w chwili rzucenia kotwicy zboczono nieco ku brzegu, i zostawiono okręt w miejscu; gdzie czasu *wezbrania* (fluxus) 20 stóp głębi, a czasu *opadnienia* 9 tylko stóp do 10. Okręt nasz brał 12 stóp wody. Czas najniższego morza przypadał o 10 ½ godzinie.

Nie było już czasu myśleć o podjęciu kotwicy i skierowaniu okrętu na głębinię. Na nieszczęście, wiatr był silny i woda na zatoce bardzo poburzona, tak że odrazu poczęły fale silnie uderzać o ściany okrętowe, podrzucać okręt i ciskać nim o ziemię. Zarzucone wkoło okrętu sądy okazały że okręt był na samym brzegu mielizny i tuż poczynała się głębinia. Umyślono więc tak obrócić okręt iżby przynajmniéj tylna jego połowa niedotykała dna, a tym sposobem rudel był zabezpieczony. Zaciągnięto liny i część żagiel rozpięto. Kapitan przybył wśród trwogi. Z wielką pracą i męką ruszono

z miejsca okręt i obrócono tył jego ku głębini. O godzinie dziewiątéj sądowano i nieznaleziono więcéj nad 10 stóp wody pod przednią częścią okrętu; przez półtory godziny jeszcze woda miała spadać. Tymczasem wiatr coraz się powiększał niebo się zachmurzyło i w kwadrans nadeszła burza z nawałnicą. Fale zaczęły przerzucać przez pokład a okręt tak silnie uderzał o dno że ściany trzaskały, maszt i liny drżały jakby od trzęsienia ziemi. O dziesiątéj niebezpieczeństwo było widoczne; przelękniony kapitan powtarzał tylko *bad very bad* (źle bardzo źle) a cały poczet okrętowy poczynał tracić nadzieję. O pół do jedynastéj; było już tylko 9 stóp wody u przedniéj połowy okrętu. Co chwilę biegali oficerowie do zegaru, liczyli minuty, sekundy; burza nieustawała a trzeba było jeszcze czekać najmniéj do pierwszéj żeby się woda podniosła do téj wysokości o jakiéj okręt poczynał był dotykać ziemi. O pół do 12téj jedno straszne uderzenie zatrzęsło całym budynkiem, tak że wszystkie ściany zaskrzypły i jęknął rudel. *I am distresfully* (zginęliśmy) zawołał kapitan; ale zimny Master nie tracił serca, i spokojnie odpowiedział. *I am not afraid so* (ja się tak bardzo nie lękam). Ktoś z boku poradził wezwać na ratunek najbliższą fregatę; Anglik aż zadrżał na tę radę, bo fregata była francuzka. O północy burza jeszcze nieustawała, ciemno było że człowiek człowieka niewidział, deszcz lał jak z wiadra a majtkowie zaczęli z pod pokładu paki i liny i łańcuchy wyciągać. Długa jeszcze była godzina przed nami. Kapitan posłał dwóch najśmielszych majtków do dalszéj angielskiéj fregaty prosząc o dwie liny (horses) o ludzi i o wielkie czółno. I znowu się wzięto do pracy by okręt czem prędzéj ruszyć z miejsca za nadejściem wody. W téj trwodze wśród burzy, okręt był jak pasujący się ze śmiercią człowiek: z tą różnicą że w sile tego człowieka była siła trzydziestu ludzi silnych, wy-

tężających siły swoje, a w jego śmierci, była śmierć czterdziestu. Przypłynęli ludzie od fregaty, kiedy niespodzianie wiatr zwolniał i o godzinie trzy kwadranse na pierwszą, lekkie tylko uderzenia przywracać zaczęły ludziom otuchę. O pierwszéj wiatr jeszcze zawył, i potrzykroć stuknął okrętem; zatrzęsły się maszty i ucichło: a tylko drżały liny okrętowe i głos majtków nieustawał. W kwadrans niebo się odsłoniło, i nasz chory zaczął drzemać na słabiejącéj fali. Odpłynęli ludzie obcy, majtkowie do spoczynku poszli, a kapitan ze swoim Mastrem zapili to nieszczęście grogiem.

28.— Wstyd trochę i niemiły na wczorajszem miejscu pobyt nagliły kapitana i jego podwładnych do opuszczenia portu. Na nieszczęście, ze świtem wróciła burza ze straszną ulewą. Niecierpliwy kapitan kazał podjąć kotwicę. Przez parę godzin ubijaliśmy się po zatoce i byliśmy już na morzu, kiedy silny wicher od południa porwał nas i pędził na mieliznę, która począwszy od zamku Śgo Antoniego i kagańca zapuszcza się daleko w morze ku wschodowi. Nie odważył się kapitan po świeżéj przygodzie narażać okrętu na powtórną próbę; dał rozkaz i wróciliśmy do portu.

Mądrzy po szkodzie, stanęliśmy na ten raz w bezpiecznem miejscu na dziesięciu sążniach wody, i postanowiono czekać do jutra. Przez cały dzień deszcz padał i fala była wielka na zatoce. Nie miałem sposobności dostać się do miasta i anglikom dzień zeszedł na grogu. Pod wieczór nadesłano nam z miasta wiele owoców i świeżéj ogrodowizny na drogę, a między tem były kawony i ogórki, nielepsze od europejskich.

Przypadek zdarzył że tegoż dnia obok naszego okrętu stanął na kotwicy jeden okręt angielski prosto z Coquimbo płynący, a bardzo uszkodzony w przejściu koło przylądku Horn. Okręt ten wypłynął jednegoż dnia

z Coquimbo kiedyśmy wypłynęli z Falmut. Jesteśmy więc jakby na pół drogi do Chili.

29.— O siódméj rano rozwinięto żagle i ruszyliśmy. Ranek po deszczu był dziwnie piękny. Cała rozległa, do 30 mil ang. obwodu mająca zatoka była jak zwierciadło jakie, czysta i spokojna. Okręta porospinały żagle swoje dla wysuszenia po wczorajszym deszczu. Od strony miasta ciągnął się równy brzeg, może na pięćset stóp po nad wodą, cały zielony; daléj w koło zatoki podnosił się i zapadał ląd, tworząc wiele wysp cudownie pięknych, z których największa Taparica (czy Itaparica) pomarańczowemi i palmowemi gajami okryta dostarcza owoców miastu i jego okolicom. Po za tą wyspą nieco ku zachodowi, ujście szerokiéj rzeki Paraguaçu, po któréj spuszczały się białe, wązkie wysokie żagle, od lekkich, kupieckich statków. Jakieś niedoopisania światło, właściwe krajom gorącego pasu rozlane było po tym rozległym obrazie, że się nim nasycić nie można było i nie z ochoty człowiek odpływał na mordujące niezmiernością swoją morze.

30.— Musieliśmy daleko płynąć na wschód żeby się ile możności oddalić od brzegów, których sąsiedztwo niebezpieczne jest w żegludze. Lękają się tu prądów morskich które częstokroć znoszą okręt z drogi, i pędzą ku skałom. Potrzeba tu było daleko zejść na wschód by korzystając z południowo-wschodniego (*stałego*) wiatru obrócić okręt ku południowo-zachodniéj stronie na drogę do Rio-Janeiro.

1—3 *kwietnia.*— Cisza morska któréj się tak lękano pod równikiem, zaszła nam drogę w miejscu gdzieśmy się jéj niespodziewali. Przypadek w zatoce Bahia zanadto może ostrożnymi uczynił naszych żeglarzy; więcéj niż na sto mil odbiliśmy od brzegu i niemało czasu stracono.

Drugiego kwietnia byliśmy na szerokości wysp Abrolhos, których się wielce lękają żeglarze. Przed temi wyspami zapuszcza się daleko w morze grunt płaski nie więcéj jak na 30 do 40 sążni pod powierzchnią wody i w tem miejscu, zazwyczaj wiele się ryb poławia. Nasz kapitan miłośnik rybołóstwa rozkazał na czas zwinąć żagle i zapuszczono wędy. Nie bardzo był pomyślny połów, ale przypadkiem wyciągnięto ze dna kilka kawałków wapiennéj skały z samych żwierzokrzewów i wapiennego tufu złożonéj. Wierzchnia część składała się z koralów, gąbek i rozmaitych polipów; a tworzyła dziwnie piękną tkankę rozmaitego koloru i kształtu pod nią zaś i w pośród samychże polipów były konchy z rodzaju *pecten patela* i małe jakieś ostrygi. Dziwna rozmaitość kolorów i kształtów była na tym ułamku podwodnego świata: widać było nie wielkie jasno zielone gąbki o trzech ramionach, tuż mniejsze cytrynowego koloru, i inne białe o długich delikatnych wąsach polipy; przy nich wyrastały kuliste czerwone żwierzokrzewy drobnemi włosami jakby puchem nastrzępione, i między wielu innemi pokazywały się jakby kwiaty jakie liliowe z zieloną obwódką stworzenia, a wszystko to było powiązane niezliczonem mnóstwem *serpulów*, i niejakich koralów z rodzaju *cariofilla (?)*.

4. Złowiono potężnego na 7 stóp rekiena w którego brzuchu znaleźli majtkowie świeżo połkniętego węża, na łokieć długiego. Nad wieczór ujrzeliśmy w stronie południowo-zachodniej okręt. Kapitan kazał wywiesić banderę i natychmiast zwyczajem żeglarzy okręt ten odpowiedział wywieszeniem swojéj bandery, z któréj poznano że okręt był Hamburski. Przeprowadziłem go oczami jako sąsiada, aż w pomrokę nocną. — Byliśmy dnia tego pod 19° 54' Sz. G. a 39° 12' Dł.

5—6. Niespodzianie nadszedł wiatr od północy: Był to wiatr niestały, rzadko się zdarzający przy brzegach

Brezylii. Korzystając z niego prędkośmy ruszyli, tak że 6go o południu wyminęliśmy przylądek Frio (Cap Frio) (Cabo Frid) i potem zwracać byliśmy zmuszeni na zachód i nieco ku północo-zachodowi. Tegóż dnia przed wieczorem obaczyliśmy urwiste brzegi przylądku Frio, a o zachodzie słońca zbliżyliśmy się do przylądku Nero niedaleko zatoki Rio Janeiro.

Noc była dziwnie spokojna i piękna, morze ciche, i w powietrzu jakaś przyjemna woń lądowa od porosłych roślinami brzegów. Uważałem że z przyczyny ziemi która na daleką przestrzeń rozciągała się przed nami, czysty i pogodny horyzont miał eliptyczną formę, nieco bardziéj wydęty od lądu a przybliżający się ku nam od oceanu. Na widok bowiem ziemi wzrok nasz ochotnie zapuszcza się w daleką przestrzeń między wzgórza i wyniosłe cyple, które z zakrzywizny globu wyrastając, rozszerzają że tak powiem sferę widzenia; — gdy tymczasem od morza, nudna jednostajnością swoją płaszczyzna na bliższą metę zapada i wzrok nasz ją prześciga, żadnym przedmiotem nie zatrzymany. Księżyc był na wschodzie i niewysoko podniesiony nad morze, okrywał swoją łagodną jasnością sam brzeg horyzontu, który się przez to bardziéj jeszcze ku nam przybliżał i był zakończony wydatną krawędzią, jakby prostopadle uciętą przez niebo. Patrząc na to przyszło mi na myśl, jak się mylą ludzie, którzy sobie wyobrażają że na morzu horyzont zawsze jest rozległy, obszerniejszy od lądowego, jako żadnemi górami i żadnem podniesieniem nie ukrócony.

(D. c. n.)

NEGOCYACYE ZE SZWECYĄ

O POKÓJ

1651 — 1653.

(Przyczynek do historyi wojen Szwedzkich).

II.

Tego rodzaju wyprawy, jak Gustawa Adolfa do Niemiec (1630), nie dadzą się nigdy z góry oznaczyć dokąd zaprowadzą i gdzie się zakończą. — Sam Gustaw, chociaż zwycięztwa swoje i śmierć zdawał się przeczuwać, i przedsięwziąwszy wojnę widział jasno a dzielnie wykonywał co w pierwszéj chwili było do czynienia, nie zdawał sobie sprawy z dalszych jéj następstw. Pragnął on aby wszyscy członkowie Rady Państwa, którym

Szwecyą zostawiał i od których energii utrzymanie i w razie jego śmierci dalsze prowadzenie wojny zawisło, przejęli się mocno jego duchem. To téż, kiedy na sesyi 3 listopada (1629) wota swoje zgodnie z myślą królewską odprawili, Gustaw zamykając naradę rzekł do nich: „tak działajcie, upominam was, abyście wy, albo dzieci wasze, pożytek z téj wojny odnieśli; co do mnie, ja już nie znajdę spoczynku, chyba w grobie“.

Razem z pomyślnościami wojennemi, i niedołężnym oporem który u sąsiadów swoich spotykali, wzrastały chęci zaborcze Szwedów, i ustalały się jako tradycye narodowéj ich polityki. — Kiedy Karol, jak powiedzieliśmy, w roku 1601 do polskich Inflant wtargnął, strach wielki zdjął Szwecyą tak możnego sąsiada zaczepiać. Zagrożony podobnież przygotowaniami Zygmunta, Gustaw równo jak ojciec jego bronił się wojną zaczepną; ale w zamian pokoju ze starszą linią Wazów, gotów był wszystkich, świeżych zdobyczy jéj odstąpić. Aż gdy pokazało się że w Polsce zdobywać tak łatwo, i prawie bez oporu, część Kurlandyi i niemal całe Prussy Szwedom dostały się, obudziła się w nich myśl i to zatrzymać co zabrali, i resztę pobrzeży zagarnąć, i w ten sposób państwo swoje na około morza Baltyckiego ufundować.

Ze śmiercią Gustawa, plany jego doznały losu większych części ludzkich nadziei. Było w życiu jego coś wyższego, co łatwiéj czuć niżli opisać. Był w nim szeroki i wzniosły pogląd na świat, wielkim zdobywcom właściwy. Widno że nim kierowała ręka przeznaczenia, która ludzkiéj pracy i rachuby niewyłącza, owszem obudza je czasem, a zawsze summuje. Jak jemu podobnych nie dziwiło go wcale jego szczęście, jakkolwiek zdumiewające. Głęboka wiara przebijała u niego we wszystkiém, w jego czynnościach i mowie, w listach których zbiór po nim przechowany wiernie odbija tę duszę

pełną życia, energii i wzniosłych uczuć. — Richelieu podsuwał mu projekt ogłoszenia się cesarzem wschodu. Na wieść jego zwycięztw odniesionych za wolność religijną, Grecy obudzili się ze snu długiego i błagali aby ich wyzwolił z tureckiego jarzma! Sam Gustaw zamyślał prawdopodobnie o utworzeniu w Niemczech protestanckiego Cesarstwa, ale wątpić należy aby przyszedł był w sobie do jakiejś stałéj decyzyi. Lubił w ręku swém zatrzymywać możność téj lub innéj politycznéj kombinacyi; i jak ludzie którym nie dano siły albo czasu dokonać jednego oznaczonego zamiaru, niechętnie wypuszczał różnorodne, rozstrzelone środki działania, z których nigdy niemiał korzystać.

Zdaje się że rozmowa którą Gustaw miał z Krzysztofem Radziwiłłem (we Wrześniu 1622) przy zawarciu zawieszenia broni, obudziła w nim myśl korzystać z niechęci różnowierców polskich ku rodzinie Zygmunta i skłoniła go, przez chwilę, do starania się o polską koronę. W Stralsundzie, dokąd się już z wojskiem przeprawił, podpisał instrukcyą dla Jakóba Roussela radcy nadwornego, i tegoż do Polski wysłał dla wybadania chęci i umysłów polskich. — Według instrukcyi téj [1], zapewniwszy panów polskich o szczeréj ku nim przyjaźni Gustawa króla, powinien poseł im przedstawić „jak gorącą król Jmć pała chęcią przywrócenia i ubezpieczenia wolności świata chrześciańskiego, a mianowicie rzpltéj polskiéj, która w coraz to większe pójdzie pohańbienie, jeśli, sama, nie stanie naprzecz wykonaniu projektów hiszpańskich i jezuickich.“ Daje bowiem król do zrozumienia, że istnieje spisek katolicko-hiszpańskiéj partyi, w któréj ręku Zygmunt jest narzędziem, aby całą Europą absolutnie zawładnąć. Sam jeden, król

[1]) Instrukcya ta, któréj oryginał mieliśmy w ręku, znajdowała się w Bibl. Puławskiéj z podpisem i wielką pieczęcią króla.

szwedzki, dobył oręża dla obrony uciśnionych; a przeto wszyscy podobném niebezpieczeństwem zagrożeni, jakiegobądź są narodu, a tém bardziéj polskiego dla którego Gustaw takiém uczuciem jest przejęty, powinni z nim połączyć się. „Niewątpi JKMość, że panowie polscy nareszcie tak licznemi przykładami nauczeni i smutną koniecznością znagleni, wejrzeć zechcą w szczerość jego rad; i jak doświadczenie wskazuje, okoliczności objaśniają, rozsądek doradza, przykład przodków zachęca, zechcą czuwać nad bezpieczeństwem swobód i wolności swych, krwią i tyloma ofiar zdobytych, a dziś już, już, nad przepaścią zguby zawieszonych". Skąd zaś to niebezpieczeństwo groziło? Nie zinąd, tylko od Zygmunta i jego rodziny! Skoro zaś poseł wyrozumie umysły Polaków i ujrzy ich skłonność ku opinii Gustawa, postara się, mówi instrukcya, rozmowy swoje skonkludować i porozumieć się wyraźniéj, na piśmie. „JKMość daje uroczyście moc posłowi swemu, aby w jego imieniu stanowił i umawiał się z panami polskimi we wszystkiém, co zmierzać będzie do jedności z najjaśniejszą rzpltą polską; do łatwiejszych między obydwoma krajami stosunków; do ugodzenia sporów, jeśli są jakie, z sąsiadami; do poskromienia i zniweczenia nieprzyjacielskich, nieustających zamysłów, rzpltę aż do głębi szarpiących; do zabezpieczenia wieczystego pokoju; a najbardziéj *do zapobieżenia przyspieszeniu nowéj elekcyi,* któraby i szkodę całéj rzeczpospolitéj chrześciańskiéj przyniosła, i nową hańbą okryłaby naród polski a pozbawiłaby go wszelkich swobód; a tak z upadkiem wolności polskiéj, niéby już wspólnego nieprzyjaciela niepowstrzymało od zagnieżdżenia się w całém chrześciaństwie, czego JKMość wszystkiemi siły, dniem i nocą, niedopuszcza."

Z tegoż samego czasu (6 stycznia 1631) mamy list Gustawa pisany do Kanclerza Oxenstierny, który myśl jego dokładniéj przedstawia. „JKMość pragnie aby Kan-

clerz (wówczas gubernator Prus) przekładał prywatnie panom polskim, mianowicie ewangelikom i malkontentom, że mało jest nadziei zgody dwu państw chyba że po śmierci dzisiejszego króla polskiego, oba jednego monarchę mieć będą. Chociaż bowiem JKMość niekoniecznie pragnie korony polskiéj, dobrze byłoby dla innych powodów, na tém polu, stronnictwo w Polsce formować“. W późniejszym liście (z d. 13 lutego) pisze sam król do tegoż Oxenstierny. „Wyrozumiewamy z twojego pisania trudności, któreby staranie nasze o koronę polską znalazło. Dosyć też mamy ciężaru jednéj korony. Ale wolą naszą jest, iżbyś głośno rozpowszechniał korzyści, któreby stąd polskie stany odniosły; *przez co się w ich radach sprawi zamięszanie*“.

Głównym celem poselstwa Roussela do Polski było, jak mówi Gustaw, „przeszkodzić przyspieszeniu nowéj elekcyi“. Właśnie też Zygmunt starością znękany a sześcioletnim rozejmem w wojnie ze Szwecyą zatrzymany, usiłował przeprowadzić za życia swego elekcyą Władysława. Był w tym celu podany wniosek od tronu na ostatnim za Zygmunta sejmie, w marcu 1632. Ale w téj sprawie Stany polskie zgodziły się z wywodem Gustawa, że taka, za życia króla, następcy jego dokonana elekcya „ruiną byłaby swobód ojczystych i otworzyłaby drogę do *absolutum dominium!*“.

Tymczasem Roussel nieżałował trudu. Zaraz też po śmierci Zygmunta odezwały się za Gustawem głosy na sejmikach konwokacyjnych. W Sieradzkiem, wojewoda tegoż miejsca Baranowski, mający nadzieję wejść w powinowactwo z Kurfirsztem Brandeburskim, próbował skłonić szlachtę ku stronie szwedzkiéj i rozprawiał obszernie o wolności, którą mają Polacy, wybierać sobie króla z pośród obcych. Ale tak gorliwość religijna narodu i powszechna skłonność ku Władysławowi, jak pamięć klęsk świeżo doznanych od Szweda, a stąd uczucie go-

dności narodowéj jeszcze ożywione, zapaliły do tego stopnia rycerstwo, że wszędzie, nawet w Wielkopolsce (gdzie znaczna ilość dyssydentów kazała się domyślać życzliwości dla Gustawa) stanęły głośnemi okrzykami uchwały, mocą których popierający kandydaturę Gustawa za nieprzyjaciela ojczyzny uważany być miał. — Na jednym z sejmików spalono publicznie listy Gustawa, a ów wojewoda sieradzki, jedyny, jawny, strony szwedzkiéj poplecznik, gdyby był w zgiełku nie ratował się ucieczką z miejsca obrad, nie uszedłby był pewno gwałtownych skutków rozjątrzenia szlachty [2]).

Kiedy, w ten sposób, zdrowe uczucie narodowe zniweczyło staranie Gustawa o koronę polską, Szwedzi odwoławszy Roussela, kładli żądanie, aby przynajmniéj żaden z synów Zygmunta na tron wyniesiony nie został. Lecz gdy i to okazało się niepodobném, nowy poseł szwedzki Bielke domagał się już tylko aby niewprzód wybrano Władysława, aż się wyrzecze praw swych do Szwecyi. Deputowani z Sejmu, wyznaczeni do traktowania z tym posłem, wyrzucali mu mniéj zgodne z prawem narodów intrygi jego poprzednika. Wyparł się ich Bielke. „Ów Rosselius, zawołał on, to szubienicznik; nigdy go N. Król Gustaw do téj sprawy niedestynował [3])“. Sejm nie zważał na protestacye Szwedzkie i zaraz po śmierci Zygmunta, Senat przyznał Władysławowi tytuł króla Szwedzkiego.

Niełatwym jest do skreślenia charakter Władysława. Zbytnia jawność naszych obrad sejmowych, uparte domaganie się stanu rycerskiego aby nawet senatorskie narady wszystkim były wiadome, zbytnia otwartość w charakterze narodowym, i to wrodzone szlachcie, mo-

---

[2]) Piasecki *Chronicon ad an.* 1632.—Geijer *Geschichte Schweden's* III. 249.

[3]) Pamiętniki Albr. Radziwiłła I. 80.

że do dziś dnia, zarozumienie, że każdą sprawę umié jak należy ocenić i prowadzić, a czego szczegółowo nie wié, to już śmiało potępiać, temu sprzeciwiać się może i powinna, zmuszały właśnie królów naszych do wielkiéj ostrożności i do jak najdłuższego, ile podobna, ukrywania planów swych i gotowanych środków. Celował w téj skrytości, czyli jak wówczas nazywano długiéj „dyssymulacyi“ Władysław, podobny w tém, jak z wielu innych miar, do Zygmunta Augusta. — Nadto niemiał on już nikogo z téj plejady wielkich ludzi, któremi rzplta za Zygmunta III kwitnęła. Przeżył ich, i był sam jeden, głową i sercem znakomitszy, wśród powszechnéj już, za jego czasów, panów i szlachty mierności. Prócz Koniecpolskiego a późniéj Osolińskiego, mimo częstéj zmiany wielkich urzędników, niemiał Władysław nikogo, komuby mógł się zwierzyć, od kogoby mógł spodziewać się pomocy bezinteressownéj w sprawach publicznych. Sam jeden, przy oporze wszystkiéj szlachty, przy nikczemnej senatorów i ministrów prywacie, mimo szczęśliwych usposobień i najszczęśliwszych okoliczności, niepotrafił nic wielkiego dokonać, żadnego z swych zamiarów przeprowadzić, a cała jego czynność, przezorność i zabiegliwość zaledwo już starczyły do zasłonienia od klęsk, które zaraz po jego śmierci rzpltę przygniotły. Tym to następnym klęskom winien Władysław późniejszą popularność; za życia nieznany i nienawidzony.

Nuncyusz Visconti wysłany do Polski w r. 1635 témi słowy opisuje Władysława [4]). „Król Polski ma lat 40. Z natury równie bystrego dowcipu, jak zręczny

---

[4]) Relatione della nunziatura di Polonia di Monsignore Honorato Visconti Arciescovo di Larisso e nuntio di S. Sta il Papa Urbano VIII scritta l' anno 1636 ex Bib. Chisiorum ms. R. I 27. Jestto jedna z najważniejszych relacyj Nuncyuszów do Polski wysłanych. Po szczególe opisuje w niej wszystkich członków domu królewskiego, Biskupów, wielkich urzędników i przedniejszych Senatorów.

w pokrywaniu swych uczuć i w miarkowaniu ich wedle okoliczności. Budowy silnéj ale ją osłabiła młodzieńcza pustota. Skład ciała piękny, tylko że teraz z postępem wieku i dla wzmagających się dolegliwości, zaczyna tyć i traci swą pierwotną udatność. O obyczajach jego różnie mówią; — maxyma, że wszelka reguła ma swoje wyjątki, będzie podobno najlepszem ich określeniem. Przy wrodzonym darze ujmowania serc ludzkich, ma on nadzwyczajną zdolność do wszelkiego rodzaju interesów; nader pilny w tém co przedsięweźmie. Sam czytuje starannie wszystkie pisma, które go dochodzą, lubi też, może nad miarę, sam pisywać. Trafnie poznaje ludzi z pierwszego wejrzenia, szczęśliwy w wykładzie swych myśli; w sztuce wojennej wielce lzakochany i biegły. Wyćwiczony w naukach wyzwoonych znać że dużo czytał i z ludźmi uczonymi obcował. Włada doskonale językiem polskim, łacińskim, włoskim i niemieckim, i każdego z nich używać może nawet w żartobliwéj rozmowie. Łatwy w obejściu niestoi bynajmniej o owe ceremonie, które gdzieindziej czynią tak trudny stósunek z Monarchami, i często dla błahych drobnostek gubią ważne interesa. Niedbały w pilnowaniu wydatków, stąd zarząd jego domowy zawsze jest w nieładzie i nieraz na dworze królewskim niema pieniędzy na codzienne potrzeby. Pomimo to jest często surowym, zwłaszcza w wojsku; gdzie najmniejszych uchybień nieprzepuszcza. Niemile też znosi przeszkody, a cały oddaje się projektom swoim.

„Natura udarowała go przymiotami, które go stawiają na równi z najpierwszymi książętami Chrześciaństwa. Ale gdzie światło jest, tam bywa i cień. Co powiadano o dwóch monarchach, że jeden nigdy nie mówił tego co robił, drugi zaś nigdy nie czynił tego co robił, to podobno oboje bez wachania i zdaniem wszystkich, zastósować można do dzisiejszego króla Polskiego. —

Jest także pewna, że jeśli Polacy nie głoszą tego, iż mu niewierzą, dają to do zrozumienia przy każdéj sposobności, powtarzając: że mają króla mędrszego niżli im potrzeba. I rzeczywiście dowiódł on nieraz, że więcej waży swoje zdanie, niźli ich wolą, a nawet w czasie bezkrólewia kiedy przyszłość jego od ich wotów zależała, choć mu wytykali wady, niezadawał sobie pracy w niczem, coby pokazywało że się z nich chce poprawić. W życiu prywatném nie lubi sobie również zadawać przymusu, i nie bez przyczyny uchodziło ono za zbyt wolne. Tego jednak zarzutu nie trzeba stósować do domowych zabaw króla ze szlachtą, bo one nieprzynoszą ujmy godności królewskiej. Był i ojciec w tym względzie dosyć pobłażliwym, a syn tém bardziej popuszcza wodze jako jest żywszéj natury i musi szukać ulgi w ciężkich pracach umysłu i troskach, które go zdejmują na myśl niepewnego losu jego rodziny. Atoli namiętności tego rodzaju, kiedy wezmą górę nad umysłem, łatwo go rozstroją i od Boga oddalą. Stąd też uważano nieosobliwą gorliwość króla w wypełnianiu obowiązków religijnych, tak dalece, że pod koniec życia nieboszczyka króla głośno mówiono o niereligijności najstarszego syna. Czem ojciec srodze się niepokoił, tém bardziej, że Władysław rzadko przy nim przebywał, i raz tylko widziano go z ojcem w kościele. Może to jednak mieć swoje przyczyny; temu lat wiele, kiedy z Ojcem był w kościele Dominikańskim w Gdańsku, napadła go słabość, chorobą Śgo Walentego zwana. Od tego czasu, mówi król, zawsze w kościołach czuje przykrą woń jakoby ckliwość grobową; a obawiając się aby go podobna dawniejszéj choroba nienapadła, unika on w publicznym orszaku słuchać nabożeństwa. I to także mogę zaręczyć, że kilka razy, kiedy byłem z nim na mszy, postrzegłem mimowolne w nim drgania, jakby cała jego istota mocno cierpiała. — Nic

dziwnego, że niebrakuje domysłów, iż sposób ten życia królewski skutkiem jest rachuby politycznéj, bo toż samo co katolików tak mało pociesza, jedna mu stronnictwa heretyckie wewnątrz i zewnątrz kraju. Na pomoc zaś heretyków, w kwestyi szwedzkiej, wielce on liczy i od swéj elekcyi znaczny im dał udział w rozdawnictwie wakujących urzędów publicznych.

„Zapewniają nadto, że król codziennie każe u siebie odprawiać mszą Śtą, a sam widziałem kaplicę z roskazu króla dla prywatnego nabożeństwa, urządzoną w ogrodzie, na przedmieściu.“

Wiadomo, że gdy podczas elekcyi wszczęły się spory z szyzmatykami, Władysław wziął na siebie ich załatwienie. Zdziwiła wówczas wszystkich życzliwość króla ku szyzmie, Władysław zaś okazywał ją w zamiarze prowadzenia wojny z Moskwą zaraz po koronacyi, jakoż chociaż z nią nader korzystny pokój zawarł w Polanówce (1634), niebyłby pewno odstąpił za korzyści zapewnione tym traktatem swego tytułu Cesarskiego, gdyby niegroziła mu niebawem wojna z Turcyą i niewychodził rozejm ze Szwecyą. Nuncyusz upewnia, że król już na sejmie 1635 znacznie był umiarkował gorliwość swoją dyzunicką. „Spodziewać się zatem należy, mówi następnie Visconti, że skoro straci nadzieję odzyskania korony Szwedzkiej ochłódnie w przyjaźni swéj dla heretyków; może w ówczas potrzebniejszymi mu będą katolicy. Zawsze jednak, mniemam, nader ostrożnie postępować będzie z obydwoma stronnictwami religijnemi, chyba że ocucą się wszczepione w nim za młodu zasady pobożności i odrzucą te względy, któremi się dziś krępuje, a zawarte małżeństwo położy koniec dotychczasowéj wolności. Co do mnie jak nie powątpiewałem nigdy o uczuciach religijnych króla, chociaż o tém źle mówiono, tak znowu za rzecz podobną uważam, że w tak rozmaitych dzieł czytaniu, co król

lubi, mogły mu być złośliwie przez heretyków podsunięte takie, które chociaż niesprowadziły go z drogi obowiązków dla wiary, zdolne były, jako powolna trucizna, wystudzić w nim ogień święty, pobożném wychowaniem rozniecony.“

Mamy wiele powodów do mniemania, co nawet tenże Nuncyusz jak zaraz obaczemy poświadcza, że Władysław zdecydowany był szukać zgody z Gustawem, a wszystkie swoje siły podobnie jak Batory na Moskwę obrócić. Zdawał się on być przekonanym, że panując w jednéj Polsce, z siłami które tu miał do swego rozporządzenia, niepodobna już było dobry rząd w Rzeczpospolitéj zaprowadzić. Całe też jego, panowanie zeszło na sporach z sejmami, a na szukaniu pomocy, tej poza sejmem i Rzeczpospolitą. Śmierć Gustawa rzuciła go całkiem i wyłącznie, nie bez szkody dla Polski, w kwestyą Szwedzką. Od tej chwili aż do rozejmu Sztumdorfskiego a nawet później, wszystkie projekta, czynności i związki zagraniczne, które Władysław formował, zmierzały tylko do Szwecyi. „Ta kwestya, powiada Visconti, jest osią około którój wszystkie interesa tutejsze obracają się, a lubo jest wiele innych ważnych przedmiotów, król żadnego z nich nie spuszcza z oka, lecz do jednego tylko lgnie sercem. Tam wszystkie swoje myśli i chęci wytężył, tam ostatecznie wszystkie pociągi dzisiaj go skłaniają. A naprzód niewątpliwa że ta kwestya jest niezmiernie trudną, ze względu mianowicie na obecne siły króla. Nie mogąc sam podołać ak wielkiemu przedsięwzięciu, potrzebuje obcéj pomocy, w niej nawet widzi główny swój fundament. Polacy nie skłonni są pomagać jemu, tak dla tego, żeby nie wikłać się w wojny, jako i stąd żeby to mogło zagrażać ich wolnościom, gdyby ten książe tak przedsiębiorczy i przemyślny wzmógł się jeszcze dziedzicznym nabytkiem. Szwedzi przeciwnie, opatrzeni wybornym

żołnierzem i flotą któréj Polakom brak zupełny, wyćwiczeni w wojnach niemieckich, mają za sobą przymierze z książętami zagranicznemi, z którémi ich wiążą różne inne interesa. Jeżeli dodamy to długie wygnanie królewskiego szczepu ze Szwecyi, nie troskliwość Zygmunta o los swych stronników, tyrania i prześladowania, Karola stryja jego, buntownika, i Gustawa dokonywane na wszystkich o wierność prawemu królowi podejrzanych, to zrozumiemy dla czego wątpić wypada aby tam znalazł się jeszcze jakiś punkt oparcia lub nawet zaczęcia téj wielkiej sprawy. Zważyć także należy i różność religijną, która jeżeli u Panów jest pozorem (jako u heretyków religia zawzdy bywa sługą państwa) to u pospólstwa stać się może narzędziem wielkiej wagi. Nie małą też przeszkodą będzie miłość żywa, którą w narodzie zostawiła pamięć Gustawa; córkę jego jako *prawną*, jak mówią, *dziedziczkę* tego królestwa, uznano już królową. Jéj odstąpienie uważaliby Szwedzi za wiarołomstwo i raczéj uciekliby się do ostatnich środków, których potrzeby nic dotąd nie wskazuje. Dopóki zaś królowa jest małoletnią nie ma sposobu zagodzenia kwestyi drogą małżeństwa.

„Najważniejsze atoli przeszkody znajdą się w pretensyach osobistych niektórych znakomitych Szwedów, a mianowicie Oxenstierny, który dąży do korony i królewnę Szwedzką chowa dla swego syna [5]). Ośmiela go w tém przedsiewzięciu wielka powaga któréj używa, znaczna liczba przyjaciół i pewne powinowactwo z domem królewskim, co wszystko, jak w tym narodzie, ważném jest, bo tam nie tak dawno wyniesiono Gustawa Igo z rzędu prywatnych do tronu królewskiego. Otóż Szwecya nie jest dzisiaj w téj co wówczas osta-

---

[5]) Było takie mniemanie wówczas powszechne; co o tém sądzić należy czytelnik znajdzie później.

teczności, kiedy na poły we krwi własnéj zatopiona, potrzebowała aby jéj kto podał rękę. Dzisiaj kwitnąca tylą zwycięztw jak nigdy przed tem, znajdzie zawsze Oxenstiernów lub innych rywali a w niezgodzie o wyniesienie rodaka, Szwedzi przystaną raczéj na każdego cudzoziemca, byle nie króla Polskiego, aby pozyskać swobody którym sprzeciwia się prawo dziedziczne Władysława i warunki poddaństwa przez Gustawa Wazę wprowadzone. Tak więc gdyby i dzisiejsza królewna umarła, co już po dwakroć tutaj głoszono, nie zdaje się aby sprawa królewska o wiele miała się polepszyć, ten tylko wypadek wyjąwszy, gdyby panowie rozdzielili się na fakcye, gdyby Oxenstiernowska upadła a król Polski pojawił się na granicy z orężem w ręku.

„Jednak król Polski który tyle ma rozsądku, chociaż poznał i zważył te trudności nie ustaje w zapale swego przedsięwzięcia. Może to ztąd pochodzi że wielkie umysły lubią walczyć z fortuną, może też jest skutkiem wady narodowéj Polaków, że łatwo wierzą temu czego pragną. Trudno jest odgadnąć zamysły królewskie; z tych tylko których utaić nie może, wnosić należy o ukrytych. Zaraz bowiem po śmierci Zygmunta (i nieczekając uznania Stanów Polskich) wziął on tytuł króla Szwedzkiego. Wybrany, natychmiast wyprawił posła do Gustawa aby zawiązać z nim stosunki przez tak długi czas pomiędzy dwoma koronami przerwane, w czem Władysław twardość króla swego ojca bynajmniéj niepochwalał. Poseł zastał już króla Gustawa zabitego w bitwie pod Lützen, Władysław zaś wierny swemu przedsięwzięciu, jawną pogardę okazywał pismom które sławę tego księcia, po jego śmierci szarpały i owszem z jak największem zawsze mówił o nim uszanowaniem. I w istocie śmierć Gustawa niebyła dla króla miłą wieścią, bo kto znał charakter tych obu monarchów, musiał wierzyć że byliby się pogodzili i złączyli, a Bóg

wie z jakim dla Europy pożytkiem! Dla obu wypadłaby ztąd korzyść; jeden byłby się uwolnił od niebezpieczeństw które grożąc hamowały go ciągle, drugi z pomocą zwycięzkiego króla przyszedłby łatwo do większéj u siebie swobody i pewności.“ Ale gdy ze śmiercią Gustawa Adolfa stan rzeczy, powtarzamy, odmienił się, i Władysław w miejsce sprzymierzeńca, przyjął rolę pretendenta, jawnem było że prawa jego o tyle będą miały wagi o ile je poprze zebranemi siły i gotowością swoją do wojny. Widzieliśmy poprzednio jak Zygmunt w téj saméj okoliczności, opierając się tylko na lidze katolickiéj wywołał dla siebie nieprzyjaźń wszystkich jéj przeciwników. Władysław niebył związany z żadnym z ówczesnych obozów; i owszem, Jezuitów nielubił, do domu cesarskiego i Hiszpanii mało miał sympatyi. Myślą jego zdaje się było chwycić się, w kwestyi Szwedzkiéj, polityki wprost przeciwnéj zasadom ojca. Starał się najprzód wciągnąć w swój interes Anglią; ile tego dokonał niżéj opowiemy; wszelako aby nie opuszczać żadnéj sposobności, do wielu innych dworów udawał się. Co Visconti tak daléj opowiada. „Po Anglii najwięcéj kładzie nadziei na królu Duńskim, którego zdaje się nadzwyczajnie cenić i szuka z nim osobliwszéj przyjaźni. Głosi że jako najstarszego z żyjących królów, uważa go za najmędrszego i najzdolniejszego w rzeczy publicznéj. Mówi o nim z wielkiemi pochwałami i niewiem czegoby nie użył aby go wciągnąć do swoich zamiarów. Duńczykowi też chodzi o to aby, kiedy sąsiad będzie zakłócony skorzystać z jego ucisku i nieszczęść.

„Wielkie także nadzieje pokłada na książętach niemieckich, niewiem doprawdy na jakiéj zasadzie. Cesarza, swego wuja, wybadywał przez posłów jakich posiłków może się od niego spodziewać w téj sprawie. Książe Kazimierz który niedawno w Wiedniu przebywał, miał niezawodnie i to między innemi zleceniami. Nie-

wątpliwem jest, że dopóki żył Wallenstein, król utrzymywał z nim prywatną korespondencyą, nie tylko jako z tak wielkim ministrem cesarstwa, ale i w innym zamiarze wymagającym jego pomocy. W liście wysłanym po bitwie w któréj zginął Gustaw, Wallensztein pisze do Władysława: „WKMość winieneś teraz pomyśleć o odzyskaniu swego dziedzictwa, ku czemu ja ofiaruję na służby, i siebie samego, i te wojska“. To też król aż z Moskwy wysłał do niego jednego ze swych komorników; ten przybywszy do Warszawy tam dopiero dowiedział się o buncie i o zgonie Wallensztejna. Francuzów znają tutaj jako zbyt połączonych ze Szwedami, i Polacy wcale temu narodowi nie ufają. Ale król inaczéj w tem myśli, może w zamiarze korzystniejszego urządzenia interesów swych z Cesarstwem. Siły Hiszpańskie są zbyt odległe i rozrzucone zanadto. Wszelako kiedy chodzi o obalenie spólnego nieprzyjaciela, mogłyby i one dopomódz, mianowicie pod względem pieniężnym; król właśnie wyprawił po nie jednego z swych agentów do Madrytu, zkąd teraz kuryer powrócił w innych interesach. Ale powszechnie mniemają że król nie jest chętny domowi austryackiemu, i téj opinii nie stara on się wcale zbijać, czy dla tego że tak istotnie czuje, czy też że tego rodzaju pogłoski korzystnemi były dla jego interesów i jednały mu Szwedów. Wiem z pewnością że kiedy raz wypytywał pewnego zakonnika przybywającego z Wiednia (zapewne księdza Magni) o Cesarza wuja swego, ten począł szeroko mówić o życzliwości Cesarza dla siostrzeńca. Król przerwał mu żartując że ukrywa prawdę i *io non lo credo*, rzecze, *perche Imperatore non ama ne se stesso ne i suoi populi;* jakby przyganiał polityce wuja i wspominał „o téj niewczesnéj pobożności, która dla odzyskania dóbr duchownych, wojnę prowadzi z dyssydentami Niemieckimi.“

Podczas sejmu koronacyjnego, na którym podatki na wojnę Moskiewską uchwalono, wyprawił król z Krakowa (20 stycznia) Jana Zawadzkiego w poselstwo do różnych książąt i monarchów protestanckich dla wybadania ich myśli w kwestyi Szwedzkiéj. Poseł miał odwiedzić Kurfirsztów brandeburskiego i saskiego, oraz być u Eleonory wdowy po Gustawie. Miał nawet szukać Oxenstierny któremu polecono oświadczyć szczery żal królewski ze śmierci Gustawa, i proponować przywrócenie Szwecyi pod berło prawego dziedzica i króla. „Ostrożnie jednak, mówi instrukcya królewska, poseł z tym człowiekiem traktować będzie, mniéj się rozwodząc nad prawami króla, jak odwołując się do dawnego przywiązania Szwedów do krwie Wazów, do usług i dobrodziejstw które naród ten odebrał od przodków JKMci, a które król powiększy nierównie. Jeżeliby zaś poseł, mówi król daléj za twardym znalazł Oxenstiernę w téj sprawie, niech zwróci mowę swoją do rozejmu. Z innymi panami Szwedzkiemi podobnymże sposobem poseł traktować będzie.“ Nie bez powodu zalecał Władysław ostrożnośc z Oxenstierną; wiedział bowiem między innemi i to, że kanclerz Szwedzki obawiając się aby Polacy przy wyjściu rozejmu (1635) wolnych rąk nie mieli i przeciw Szwedom się nie pokusili, podbudził Moskwę, i w Stambule, zapewnie przez Holendrów Portę do wojny z Polakami stroił.

Puściwszy się w swą drogę Zawadzki w Berlinie naprzód, to tylko uzyskał, że Kurfirszt któremu przedewszystkiem o pokój Rzeczypospolitéj ze Szwecyą chodziło, powiemy niżéj dla czego, zobowiązał się skłonić Szwedów do rozpoczęcia niebawem negocyacyi. W Szczecinie przedstawiał się królowéj Szwedzkiéj. Zalecono mu aby próbował czy nieuda się skłonić królowéj wdowy do widzenia się z Władysławem, rozkazano zręcznie postępować w kwestyi tytułów, unikając surowo

wszelkiéj obrazy [6]). Widząc się z baronem Stern Bielke miał wyrozumieć chęci jego co do połączenia Szwecyi z Polską pod jednym królem [7]). Lecz i tu także nic więcéj nie wyjednał jak zapewnienie, przez usta marszałka dworu dane, że wraz po zebraniu sejmu w Sztokholmie wysłani będą pełnomocnicy do układów z Polską.

Również niedowierzającymi Władysławowi byli Holendrzy. Nauczeni tak długą nieprzyjaźnią Zygmunta nieprzypuszczali łatwo zmiany w polityce jego syna, a wreszcie pod każdym względem dogodne im było usunięcie katolickich Wazów z tronu szwedzkiego. Jednak aby wybadać usposobienie króla, a w razie szczęśliwym pomnożyć Cesarzowi nieprzyjaciół, Stany odłożywszy odpowiedź swą na propozycye Zawadzkiego, wysłały do jego mieszkania jednego z swych radców: Humrada. Ten zapytawszy posła czy prawda jest że król w nowe związki z domem Rakuskim zamyśla wchodzić, usłyszawszy zaprzeczenie, począł wyliczać korzyści „które by na Władysława spłynęły, gdyby córkę Palatyna Renu, siostrzenicę króla angielskiego zaślubił; że natychmiast król angielski, w sporach swoich ze Szwecyą wdałby się za Władysławem, jako za bliskim krewnym swoim, że nawet siły zbrojnej użył by na to. Wychwalał potem księżniczkę, jéj piękność, urodę, dowcip, naukę, pobożność, znajomość wielu języków, i t. p.“ Być może, iż pytania tego była powodem wizyta którą Zawadzki oddał w Hadze, matce téj księżniczki a wdowie po Palatynie reńskim; lecz gdy nie miał nic w tym względzie zleconego, i tylko naglił aby Stany objawiły swoje zdanie względem upływającego między Polską a Szwecyą rozejmu, odpowiedziano mu na publicznéj audyencyi że Stany pisać będą do posła swego w Sztokholmie aby

6) Relacya Viscontego.
7) Geijer III, 250.

ich pośrednictwo w téjże kwestyi, co prędzéj, było przyjętém.

W Edymburgu, gdzie Karol odprawiał koronacyą, Zawadzki ofiarował pośrednictwo króla Władysława w wojnie niemieckiéj. Zadziwiony, ale i mocno tą propozycyą Karol był zainteresowany. Wiadomo że Fryderyk Palatyn Renu a zięć Jakóba, przyjąwszy w r. 1619 koronę Czeską, w jednéj bitwie stanowczo przegranéj królestwo to utracił, a cesarz Ferdynand mszcząc się za uzurpacyą wyzuł go z dziedzicznéj lenności i elektoratu pozbawił. Wielce ten wypadek strapił Jakóba. Nastąpiło wówczas pewne zbliżenie między Hiszpanią i Anglią, zanosiło się nawet na małżeństwo królewicza angielskiego z infantką hiszpańską. Z pomocą więc Hiszpanii Jakób miał nadzieję odrobić dekret cesarski. Świadczy Osoliński [8]) że gdy w roku 1621 przybył do Londynu z prośbą Zygmunta o posiłki na wojnę turecką, król Jakób pozwolił zaciągnąć 5000 szkotów i własnym kosztem odwiózł ich do Gdańska, za otrzymanem od Zygmunta przyrzeczeniem, że u Cesarza starać się będzie o zwrot Palatynatu córce jego Eleonorze i wnukom. Lecz ani Hiszpańskie ani Zygmuntowe pośrednictwo nie zmieniło postanowienia Cesarskiego. Rodzina Palatyna tułała się to w Anglii, to w Holandyi, mając jedynego opiekuna w Karolu który po ojcu swym gorącą chęć dopomożenia siostrze i synowcom odziedziczył. Kiedy więc jak wspomnieliśmy Władysław pośrednictwo swoje ofiarował, król angielski naprzód przez ministra p. Lenox, póżniéj sam na prywatnéj audyencyi Zawadzkiego zapytał: czy Władysław przez Cesarza do téj interwencyi był zaproszony, poseł odpowiedział, że król z własnéj swéj chęci, bolejąc nad rozlewem krwi chrześciań-

[8]) Z Dijaryusza Osolińskiego, z którego Bohomolec życie tegoż ułożył—ed Most. S. 138 et seq.

skiéj, ofiaruje pośrednictwo między strony walczące, i do tegoż dzieła króla Wielkiéj Brytanii zaprasza, nie wątpiąc iż ta jego dobra wola jak należy od stron interesowanych będzie przyjętą. Nie przestał na tém Karol i wybadywał Zawadzkiego czyli nie miał jakiego dowodu, z któregoby poznać można, że wdanie się króla polskiego miłem będzie Cesarzowi. A gdy poseł nic stanowczego nie umiał odpowiedzieć, Karol zaczął się skarżyć „jak był zwodzonym i obrażonym przez Cesarza, że nie tylko przez lat sześć niegodnie się z posłem jego obchodził, lecz danego Hiszpanii przyrzeczenia, że Palatynat siostrzeńcowi jego wróci, nie spełnił“. Po najsilniejszych ze strony Zawadzkiego upewnieniach, że król sprawę potomstwa Fryderykowego weźmie do serca, przeszła rozmowa do kwestyi Szwedzkiéj. Lenox, jakkolwiek uznawał prawa Władysława i jego rodziny, widział w odzyskaniu tronu przez starszą linią Wazów wielkie trudności jakoto: uznanie Krystyny królową jeszcze za życia ojca dokonane, nienawiść Szwedów ku katolicyzmowi, szczęście które dotąd uzurpatorom sprzyjało, i świetne czyny i zwycięztwa Gustawa które rzuciwszy nowy blask na królestwo Szwedzkie, prawych dziedziców téj korony niejako w zapomnienie podało. Karol którego poseł polski o szczere i braterskie wdanie się upraszał, nie wspomniał o żadnych trudnościach, owszem oświadczył „że radby widział to berło przywrócone tym, do których z prawa należy, że ile w tém od niego zawisnąć będzie nie omieszka tak dobréj sprawy popierać w dowód swéj szczeréj dla króla Polskiego przyjaźni“. Przedstawiał daléj Zawadzki szkody i uciemiężenia których handel polski i angielski na morzu Baltyckiém od Szwedów doznaje. „Nie wspominaj mi o tych zdzierstwach przerwał król; jużem świeżo posłowi memu w Sztokholmie polecił, by się o nie upomniał, naglił o jak najprędsze przyspieszenie negocyacyi i o

wolność żeglugi na morzu Baltyckiém; jużby się to nawet rozpoczęło gdyby N. Król Polski nie był zatrudniony wojną Moskiewską". W końcu wyznał Karol, że w tymże samym czasie przybyli z Holandyi i Niemiec stronnicy Szwedzcy, wszystkich używając sposobów by go odciągnąć od pośrednictwa między Polską a Szwecyą; ale Karol, jak upewnia Zawadzki, okazywał się niewzruszonym w swych dobrych chęciach dla króla polskiego [9]).

Czy Karol w ciągu téj bytności Zawadzkiego w Anglii miał już nadzieję, że Władysław starać się będzie o rękę jego siostrzenicy Palatynówny, nie jest mi wiadomo. To jednak pewna, że Władysław skwapliwie uchwycił myśl przez owego radzcę Holenderskiego Humrada podaną i doskonale ocenił korzyści które z tego małżeństwa dla szwedzkich interesów mógł osiągnąć. W istocie były nie małe; tworzyły one nowy system politycznych kombinacyj i Polskę na widownią świata europejskiego wyprowadzały. Projektowane małżeństwo zapewniło mu niewątpliwą pomoc Anglii, któréj król wiele by zapewne poświęcił, aby swych wnuków ukochanych jeśli nie na tronie szwedzkim osadzić, bo to każdemu trudném się zdawało, to przynajmniéj na jakiejś ziemi od Szwedów za zrzeczenie się praw swych Władysławowi dziedzicznie ustąpionych. Ze strony Holandyi gwarantowano mu, w najgorszym razie, neutralność. Na pomoc Duńską mógł król w każdéj wojnie ze Szwecyą do pewnego stopnia liczyć. Zaślubienie córki pretendenta Czeskiego nie mogło także nie podobać się Francyi; Richelieu dałby był wiele gdyby domowi Cesarskiemu nowego nieprzyjaciela od wschodu przysporzył. Ze strony Moskiewskiéj Władysław nie doznawał żadnego nie-

---

[9]) Instrukcya dla Zawadzkiego i relacya tegoż posła znajduje się w trzecim tomie zbioru Pamiętników Niemcewicza.

pokoju; bo jak ją prędkiem zniesieniem Sehina przeraził, tak ją zrzeczeniem się tytułu carskiego ujął sobie na całe życie. Przez Anglliją i Holandyą mógł być pewien pokoju z Turkami. Wprawdzie widoczném było że dom Cesarski nie miłem okiem patrzeć będzie na owe małżeństwo; ale Władysław znając ówczesne kłopoty Ferdynanda mało się troszczył o jego gniew; a zresztą wypowiadając wojnę Szwecyi najdzielniejszą tém samem przynosił pomoc domowi Austryackiemu. Co zaś Władysława najwięcéj do tego projektu mogło zachęcać, to właśnie to, że łącząc się z dotychczasowymi przyjaciołmi Szwecyi, rozbijał system jéj aliansów politycznych, odbierał jéj sprzymierzeńców; z ich pomocą, z pomocą floty angielskiéj, wojnę na ziemię Szwedzką przenosił. Widzimy przeto, że mimo trudności, które w téj sprawie nie małe były, Władysław miał powody trwać w przedsięwzięciu, chociaż nigdy ostatniego słowa w téj kwestyi nie powiedział. Lubił on wojnę, ufny był w szczęście swoje, miał jeszcze dwóch hetmanów (Koniecpolskiego i Radziwiłła) w sztuce wojennéj doświadczonych; ciągłe za Zygmunta boje i świeża kampanija Moskiewska dostarczyły oficerów zdolnych i doświadczonych; od narodu zaś spodziewał się poparcia i pomocy pieniężnéj. Ale ten świetny gmach nadziei Władysława wkrótce runął; obaczymy poniżéj w jaki sposób.

Wypada teraz obejrzeć się na Szwecyą. Pierwszą wiadomość o śmierci Gustawa przyniósł Radzie Państwa list Oxenstierny. „Płaczę, pisze on, nad nieszczęśliwą ojczyzną naszą, nad królową, zagrożoną rzeczą publiczną i sobą samym żem dożył dnia tak fatalnego. Takiego króla niema świat cały; niemiał od stu lat i kto wie kiedy podobnego mieć będzie. Boleść serca i tęsknota za umarłym tak mnie ścisnęły, że niewiem co piszę. Lecz na cóż się przyda narzekanie; płakać można, zmienić nie. Przystoi nam cierpliwie znieść ten cios od Boga

zesłany i łaski jego błagać o dobrą radę, męstwo i dzielne postanowienie aby dalszemu złemu zapobiedz." W istocie z męzką boleścią przyjął naród cały tę smutną nowinę. Zwołany przez radę sejm (1633) wydał uchwałę téj treści „iż podobało się Bogu zabrać nam naszę głowę, króla i ojca ojczyzny bez potomka męzkiego, my przeto córkę jego księżniczkę Krystynę, królową naszą uznajemy i ogłaszamy". Stany państwa oświadczają że wolałyby aby świętéj pamięci król zostawił był rozporządzenie około rządów państwa w czasie małoletności królowéj, ale iż to się nie stało, oddają je przeto pięciu członkom rady, gdyż kanclerz Oxenstierna upewnia iż taka była poufna myśl królewska. Decyzya ta w myśl Oxenstierny następnego roku jeszcze zmieniona, postawiła na czele rządu pięciu wielkich urzędników państwa, jak oto Wielkiego Sędziego, Marszałka, Admirała, Kanclerza i Podskarbiego. Dyrekcyą polityczną wojny na stałym lądzie oddano Oxenstiernie którego mianowano legatem przy niemieckiém Imperyum i któremu naczelni wodzowie podlegać mieli.

Z pięciu wielkich urzędników Państwa, jak w ogóle w całéj Szwecyi pierwszą głową bezwątpienia był Oxenstierna. „Ten wielki mąż, pisze królowa Krystyna [10]) w młodości swojéj wiele pracował, wiele téż w nim było przymiotów i wiadomości nabytych; wśród najważniejszych zatrudnień nie zaniedbywał nigdy czytania. Dziwną miał bystrość w ocenianiu interesów całego świata; znał doskonale słabą i mocną stronę każdego państwa w Europie. Wytrawny rozsądek, zdolność ogromna, pracowitość, umysł wzniosły, i niezrównana wytrwałość, te były jego główne przymioty. W napoju wstrzemięźliwy o ile to było podobna w kraju i w wieku gdzie téj cnoty nie znano. Lubił spać i mawiał że dwie tylko noce

---

[10]) Archenholtz Memoir de Cristine III. 46.

w swojém życiu miał bezsenne: pierwszą po śmierci króla, drugą po bitwie pod Nordlingen. Idąc na spoczynek wraz z sukniami swemi, jak mówił, zdejmował z siebie wszystkie interesa aż do następnego rana. Ambitny ale wierny i nieposzlakowany; w postępowaniu trochę za powolny i flegmatyczny.“ Do téj trafnéj charakterystyki dodać należy dziwną trzeźwość umysłu która go zarówno w złéj doli nie opuszczała jak w najpomyślniejszych chwilach broniła od zawrotu głowy. Richelieu któremu nie na rękę był w Niemczech nieugięty charakter Oxenstierny próbował kilka razy przywabić go pochlebstwem. Nasuwał mu projekt ogłoszenia się Kanclerzem Cesarstwa; Oxenstierna wolał jednak pozostać kanclerzem Szwedzkim. Późniéj przez Feuquiera doradzał mu aby pomyślał o wyniesieniu domu swego w Szwecyi i syna swego ożenił z Krystyną, a w takim razie przyrzekał mu pomoc Francyi do opanowania tronu. Była to rada podstępna; zdolna zaburzyć królestwo i zostawić je na oścież zewnętrznym nieprzyjaciołom. Odepchnął ją kanclerz Szwedzki; w liście pisanym do syna swego Eryka (29 stycz. 1637) nazywa ten projekt dziecinném urojeniem, i aby zdjąć z siebie i z rodziny swojéj wszelkie podejrzenie, nakazuje Erykowi natychmiast się ożenić. Takim był Oxenstierna; niezawodnie najniebezpieczniejszy wówczas Polski nieprzyjaciel; przez wojny Gustawa Inflancką i Pruską i podczas gubernatorstwa swego w téj ostatniéj prowincyi, poznał on bezsilność naszą, z wszechwładztwa sejmów i sejmików pochodzącą; i być może że gdyby to od niego zależało, Szwedzi nie byliby nigdy rozpoczynali wojny w Niemczech, przestając na utrwaleniu i rozszerzeniu nabytków swoich w Polsce. W pierwszéj połowie XVII wieku Oxenstierna był już téj opinii, do któréj w półtorasta lat Katarzyna rossyjska przyszła po pierwszym rozbiorze; że w Polsce dość się schylić aby coś zabrać.

Już w pierwotnych postanowieniach zaraz po śmierci Gustawa w Sztokholmie wydanych, nie można było nie uznać wielkiego rozumu politycznego w narodzie Szwedzkim. Godniejszą jeszcze podziwienia jest ta zgoda, z jaką wielcy panowie szwedzcy uchylili się przed wyższością kanclerza i dopuścili rozszerzenia jego wpływu w Radzie Państwa. Kiedy u nas, ilekroć który mąż stanu posiadał wyłączne zaufanie króla, mógł być pewnym że po jego śmierci spotka go zawiść i prześladowanie od wszystkich; w Szwecyi przeciwnie, przyjaźń i cześć które Gustaw Oxenstiernie okazywał, były właśnie dla Szwedów powodem zespolenia w ręku Oxenstierny jak najszerszéj władzy. W r. 1634 na pięciu wielkich urzędników krajem rządzących trzech było Oxenstiernów.

Wojna niemiecka była celem niemal wszystkich niemal usiłowań rządu Szwedzkiego tak za życia jak po śmierci Gustawa. Obecnie, trudności pomnożyły się. Nieurodzaj dotknął prawie całą Szwecyą roku 1633, a pobór do wojska jakkolwiek przez Stany uchwalony, takiéj już trwogi mieszkańców nabawiał, że aby ujść przed nim, młodzi ludzie dobrowolnie kaleczyli się lub uciekali za granicę. „W ciężkiem jesteśmy położeniu pisze Kanclerz z Niemiec (13 maja 1633); jeżeli damy się przezwyciężyć trudnościom przepadliśmy; lecz jeżeli mężnie je spotkamy, jest nadzieja że z nich wyjdziemy ze sławą i pożytkiem“. Rada Państwa czyniła co mogła, jednak coraz widoczniejszém się stawało że wojna tak długa i kosztowna przechodziła siły nieludnego i ubogiego jak Szwecya kraju. Mimo to, przez rok blisko po śmierci Gustawa prowadzoną była szczęśliwie dla Szwecyi, aż stoczona pod Nördlingen (27 sierp. 1634) bitwa przyprawiła Szwedów o zupełną utratę armii (18,000) pod Hornem walczącej, sam Horn dostał się w niewolę. Klęska ta w Niemczech rozbiła do reszty partyą Szwedzką; książęta Niemieccy, każdy dla siebie

ratunku szukając, z osobna poczęli się umawiać, ten z Cesarzem, ów z Francyą, inni opieki króla angielskiego szukali.

Rada Państwa spokojnym umysłem przyjęła wiadomość o téj przeważnéj przegranéj „Nie rozpaczamy bynajmniéj, pisze rząd do Kanclerza, o twojej wypróbowanéj odwadze, i mamy nadzieję, że nie zwątpiłeś o skutku pomyślnym, jakkolwiek rzeczy źle stoją". Atoli już myśli o pokoju coraz głośniej w saméjże Radzie objawiać się poczęły. Nie małéj troski dodawał kończący się rozejm z Polską. „Jeżeli Polak wyruszy, pisze rząd do Kanclerza, pociągnie z sobą bezwątpienia Jutlandczyka (Daniją) gdyby do pokoju z nim przyjść nie mogło, wojna stałaby się zbyt ciężką, bo ubóstwo kraju wzmogło się wielce z nieurodzajów i drogości, i już ludzie z trudnością opłacają podatki. Skarb poniósł wielkie szkody gdyż woda zalała kopalnie miedzi, co wszystko wprawia nas w taką bezsilność że ciężko nam zwyczajnym, domowym wydatkom wydołać, cóż dopiero mówić o ponoszeniu kosztów na dalsze prowadzenie wojny. Mennica stoi zamknięta, a kredyt tak dalece upadł, że w żaden sposób awansu na cło pruskie otrzymać nie można. Gdańsk i Królewiec oświadczyły się za Polską i już nie możemy na tamte miejsca wexlów wystawiać". Przywiedziona do ostateczności Rada Państwa zastawiła dobra koronne, i pieniądze z nich powzięte oddała Jakóbowi de la Gardie komendantowi nowéj armii do Polskich Prus wyprawionéj.

Też same przyczyny, które w Rządzie szwedzkim tak gorące budziły pragnienie pokoju, Władysława nagliły do wojny. Ale jak wspomnieliśmy wszystko tu zależało od pośpiechu i gotowości, którą Rzplta do popierania zamysłów królewskich okaże. Chodziło przecież nie o króla samego, i nie o same tylko prawa jego do szwedzkiéj korony; dwie poselskie prowincye w ręku były

Szwedów. Właśnie co skończyła się wojna moskiewska na którą Sejm koronacyjny trzy miliony złotych przeznaczył. Te, powolnie wyciągane, przez oczekujące zrazu wojsko użyte były w części przed rozpoczęciem kampanii. Pod jéj koniec, już armia niebyła płatną; pułki wracając do kraju nakładały samowolnie kontrybucye, pustoszyły wsie i całe okolice. Przejeżdzający wówczas do Warszawy Czausz turecki, gdy spustoszenia obaczył, rzekł: już tu niepotrzeba jak widzę nieprzyjaciela, swoi dosyć złego narobili! Dla zaspokojenia niepłatnego żołnierza, król zwołał Sejm (1634) i wyznaczył we Lwowie komissyą, na któréj Koniecpolski trudności miał niemałe do przezwyciężenia. Schodził czas a mimo usilnéj woli królewskiéj przygotowania do wojny, niezmiernie zwolna postępowały, i nie tak o nowéj kampanii wypadało myśleć jak o zagojeniu ran, które niedostateczne przez sejm wojska opatrzenie krajowi zadało.

Pośrednictwa w rozpocząć się mających negocyacyach podjęli się: król angielski, francuzki, stany holenderskie i elektor brandeburski. Ten ostatni najbardziéj zaprawdę był interesowany zapobiedz nowéj ze Szwedami wojnie. Niemożna było prowadzić jéj w Prusiech, bez srogiego téj ziemi zniszczenia. Rozejm z r. 1629 zagwarantował kurfirsztowi neutralność, lecz mimo to, kraj przez marsze i kwaterunki wiele ucierpiał. Na przyszłość wątpliwém było, aby Polacy dłuższéj neutralności dozwolili; i niepozostawało Księciu nic innego, jak albo z królem przeciw Szwedom, albo z Szwedami przeciw Rzpltéj wojować. W pierwszym razie ta była niedogodność, że Szwedzi póki Elbląg i Piławę w swém ręku trzymali, póty panami byli całego poniekąd kraju; w drugim Prusy książęce wystawione były na zupełne spustoszenie, a w końcu Elektor utracał swą lenność; w obu zaś spór szwedzko-polski odrywał kurfirszta od

wojny niemieckiéj, która i po nim wymagała wszystkiéj uwagi i wszystkich sił w pogotowiu. Zaczem niemogąc sam z Berlina wyjechać, wysłał Elektor na miejsce negocyacyi Zygmunta margrabiego brandeburskiego z przydanymi kilkoma radzcami.

Z polskiéj strony wyznaczono komisarzy: kanclerza Zadzika, hetmana Radziwiłła, wojewodę bełzkiego Leszczyńskiego; ze szwedzkiéj gubernatora Prus Piotra Brahe, Jen. Wrangla, Stern Bielke, do których późniéj przybył Oxenstierna Jan. Dnia 24 stycznia (1635) zjechały się strony, dla wzajemnego powitania, w Hollandzie miasteczku prusko-polskiém, gdzie zadecydowano wymianę plenipotencyj. Rozpoczęła się nad niemi dyskussya na drugiéj sessyi (5 lutego), któréj obecnym był przybyły świeżo poseł angielski, Jerzy Douglas. Szwedzi odrazu oświadczyli, że plenipotencye polskie były niedostateczne i wzbraniały im dalszych obrad. Król polski, mówili, przybiera w nich tytuł króla szwedzkiego; królowa szwedzka niejest wspomniana; szwedzcy komisarze niedosyć są odróżnieni od polskich, tak iżby zdawać się mogło, że jednych i drugich król Władysław wyznaczył. Polacy odpowiedzieli, że ich król prawnie tytułów szwedzkich używa, a inne zarzuty za małéj są wagi, aby miały przerywać rozpoczęte układy. Brandeburczycy wraz z Anglikiem chcieli nakłonić Szwedów aby te trudności odłożywszy, przystąpili do głównéj sprawy; „tytuł bowiem króla szwedzkiego węzłem jest całéj kwestyi i król polski niemoże go tracić zadarmo.“ Ale Szwedzi stali nieporuszeni. Wówczas Douglas, jako sam w języku łacińskim niebył mocny, przez agenta angielskiego Gordona do nich obrócił mowę. „Jakiém sumieniem z tak błahéj przyczyny przerywają negocyacye pokoju? Jeźli do wojny znowu przyjdzie, sąsiedni monarchowie niebędą widzami nieczynnymi, ale przedsięwezmą środki, które każdemu korzyść ich państw za

stósowne wskaże."— Odparł Brahe zapytaniem: czyli te słowa mają znaczyć wypowiedzenie wojny? „Ma innych heroldów mój król, rzecze Gordon', ale com powiedział, jestem do tego upoważniony." Zagadnieni tém niespodzianem oświadczeniem Szwedzi, upewniali „że nie jest bynajmniéj ich chęcią zrywać traktat, ale że związani rozkazami domagają się zwłoki sześciu tygodni aby zażądać i otrzymać nowe instrukcye." W skutek czego negocyacye do dalszego obu rządów rozkazu odłożono. [11]).

Dniem przedtem komisarze polscy donosili królowi: „Poseł króla Angielskiego ochotę swoję do usługi WKMości, wedle tego jako ma w poruczeniu ofiarował; deklarowawszy się potem że pan jego to mu osobliwie poruczył, aby szedł za zdaniem naszém, tak ażeby się jak najlepiéj sprawom WKMości usłużyć mogło. Dokładał i tego że jeżliby strona przeciwna uporem albo tergiwersacyami szła, pan jego chce to sobie poczytać za spólną obrazę [12])."

List ten i relacya powtórnéj sessyi mile bardzo od Władysława były przyjęte, kazał zatem (11 lutego) świadczyć pośrednikom, że po tylu próbach i legacyach u medyatorów odprawionych „dosyć się już przez nas stało i oczekiwaniu panów chrześciańskich i skłonności naszéj, także Rzpltéj, do wstrzymania rozlewu krwie chrześciańskiéj. Przyjdzie teraz krzywdy naszéj i Rzpltéj, bronią dochodzić. Żądamy abyście dłużéj się niebawiąc, ani nadzieje żadnéj w traktatach niepokładając, na sejm dla dostatecznéj o wszystkiem relacyi przybyli." W liście poufnym do tychże komisarzy król dodaje, że do

---

[11]) Lengnich *Geschichte der Preussisch - Polnischen Lande* VI, 51.

[12]) List ten, jak następna cała korespondencya Władysława z komisarzami, wyjęte są z *Tek Naruszewiczowskich Vol. 1635.*

powyższéj deklaracyi mają się stósować w razie gdyby Szwedzi nic innego, od pierwszego uporu różnego, nie przynieśli. Zamiarem króla było zerwać, jeźli można, te negocyacye (co tez komisarze w liście z d. 4 lutego radzili); jednak, dodaje Władysław „będzieli poseł króla Imci Angielskiego w tem usiłował, żeby prolongacya traktatów stanęła, tedy oświadczycie że to nie dla nieprzyjaciela, ale gwoli poszanowania króla Imci Angielskiego (i to w tém *lente* i ostrożnie iść trzeba niewdając się w żadne assekuracye) od tego *alieni* niebędziecie, i czas (maj) naznaczycie, na co z Senatem naszym pozwalamy [13]).“

Nim jeszcze sejm się zebrał, król rozkazami coraz bardziéj naglącemi ściągał do Prus wojsko z nad granic moskiewskich i tureckich. Zamyślał także kozaków przywołać, kazał dla nich w Litwie przyrządzać czajki i w istocie zrobiono ich tyle że 1500 pieszego kozactwa popłynęło Niemnem do Królewca. Tam śmiało na hafie żeglując niepokoili Szwedów, chwytali mniejsze statki utrudniali im komunikacye. Wystawioną przez Zygmunta i długi czas w Rosztoku zatrzymaną a długiem nieużyciem nieco nadpsutą flotę, Władysław kazał pospiesznie przyrządzać; dał jéj za komendantów Dönhofa i Guldensterna, przeznaczywszy im do pomocy kilku Gdańszczanów z służbą morską lepiéj obeznanych [14]). Urządzenie i zaopatrzenie artyleryi i wszelkiéj amunicyi oddał Plaitnerowi i Arciszewskiemu. Aby zaś Szwedom odjąć korzyści które z handlu polskiego ciągnęli, a mianowicie aby im przeciąć dowóz zboża którego dla częstych u siebie nieurodzajów, tak bardzo potrzebowali, król uniwersałem z d. 5 marca zakazał poddanym swoim wszelkich z tym narodem stosunków.

---

[13]) Pru. *Albr. Radziwiłła Pamiętniki* I, 232.

[14]) Wassenberg *Gestorum Vladislai IV*, II, 176.

Nazajutrz po przyjeździe kanclerza Zadzika i komisarzy do Warszawy, Władysław kazał im dać sprawę (3 marca) z zerwanych negocyacyj. Niebyło więc sejmującym Stanom wątpliwe, że bez skutecznéj z naszéj strony gotowości, Szwedzi żadnych ustąpień nieuczynią; a przecież sześć tygodni upłynęło zanim o podatkach zebrano się radzić! Byli tacy co aby strawić czas na obrady prawem wyznaczony, ustawicznie coraz inne kwestye wszczynali, chcąc w ten sposób wcześném rozjechaniem uwolnić się od podatków [15]). Wymógł król nareszcie że 16 marca kwestya o kontrybucyach przyszła na stół. „Jakie tam było zamieszanie (mówi niegorący wcale patryota, Radziwiłł Albr.), dyskussye, zwady, krzyki aż do 11éj w nocy, kto opowie!“ Jednak tego dnia zgodzono się. Chciał mieć zwyczaj naszego rządu parlamentarnego, aby uchwały sejmowe w tedy tylko były ważne, kiedy sejm doszedł do końca. Nazajutrz (17 marca) miało być zakończenie sejmu. Od 12téj w południe trwała sessya do 6téj rano! „Miły Boże, woła Radziwiłł, który język opowie, które pióro opisze mowy i sprawy tego dnia!“ Podniosła się zaś burza z powodu, że posłowie litewscy zezwoliwszy w wilią na podatki, domagali się teraz aby one z ich prowincyi nieszły na żołnierza królewskiego, ale oddawane były poborcom wojewodzkim na utrzymanie wojewódzkiego żołnierza! Władysław rozgniewany kazał zganić surowo, przez kanclerza Litewskiego, ten niedorzeczny projekt. Oburzyli się posłowie; powstały krzyki że jawnie już następuje *absolutum dominium* na wolne karki. Podkomorzy ormiański zawołał. „Kiedy tak surowy nad zasługi nasze odbieramy respons królewski, odstępujemy od pozwolonych kontrybucyj.“ Drudzy domagali się aby króla i sejm pożegnać; podniecali zaś tę wrzawę posłowie koronni, bo ich ta niezgoda litewska bawiła. W obec

[15]) *Pamiętniki Radziwiłła* I, 244.

króla i senatu trwało to zamieszanie przeszło godzinę, czem zniecierpliwiony Władysław chciał już wstać z tronu i odejść niezakończywszy sejmu; powstrzymawszy się kazał jeszcze raz kanclerzowi litewskiemu łagodniéj przemówić. Niepomogła i ta perswazya aż senatorowie powstawszy z krzeseł, posłów racyami zwyciężyli. Już po tak ciężkiéj burzy sejm miał się ku końcowi, kiedy przemówili się z sobą wojewoda wileński i smoleński, w czem całe zgromadzenie udział wzięło, jedni chcąc godzić, drudzy dla zabawy. Nakoniec i tę zwadę ukończono; posłowie pocałowali rękę królewską, i że już było rano, do tego niedziela, wszyscy na mszą Śtą do kościoła poszli. Uchwała sejmowa, oprócz podatków, zawierała w skutek żądania królewskiego te słowa. „Kurfirszta Imci napomniemy, aby jeżliby do wojny przyszło wszelakiéj *neutralitatem* poddanym i miastom swoim z nieprzyjacielem zakazał stanowić, które my miasta, *in tali casu*, jako i inne obywatele księstwa pruskiego, pod *patrocinium*, i protekcyą naszę bierzemy [16]).“ Było także królowi dane upoważnienie zwołania w razie potrzeby pospolitego ruszenia.

Nie trzeba zapominać, że chociaż do Sejmu należało uchwalanie podatków, pobór ich zawisły był od sejmików, te zaś dopiéro na końcu kwietnia zwołano. Niektórych jednak województw jak pruskie, nawet uchwała sejmowa nieobowiązywała, trzeba bylo zezwolenia sejmu prowincyonalnego, który téż król na 22 kwietnia do Grudziąża zwołał. Na niem województwo chełmińskie zobowiązało się do dwu poborów, pomorskie do trzech, malborskie do żadnego; miasta na podwójne czopowe zgodziły się. Ale ten pobór dopiéro na ś. Michała (28 września) miał być złożony, czopowe zaś trwać od ś. Jakóba przez rok cały. Niedosyć na tém, zastrzeżono

---

[16]) *Vol. Legum* III, *ad an.* 1635.

że podskarbi ziemski bez zezwolenia Stanów osobnego, nie miał prawa wydawać królowi tych pieniędzy nawet w razie wojny [17]).

Wraz po zakończeniu sejmu walnego zwołał król w Warszawie (19 marca) Senat na radę sekretną celem postanowienia o projekcie swym pojęcia w małżeństwo Palatynowny, siostrzenicy króla angielskiego. Królowie polscy, jak wiadomo, wedle prawa nie mogli się żenić bez pozwolenia Senatu. Sposób dyskussji w Senacie polskim był taki, że skoro kanclerz podał od tronu propozycyą, biskupi naprzód, potem wojewodowie, kasztelanie, w końcu ministrowie zdania swoje, każdy z osobna i zwykle w mowie obszernéj, objawiali. Przy zwyczajnéj Polakom chętce długiego rozprawiania i popisywania się z wymową, każda narada, tym trybem, niestósownie długiego wymagała czasu. Niewotowano w dzisiejszém rozumieniu tego wyrazu; dać swoje votum znaczyło: powiedzieć mowę. — Z kilku pierwszych głosów senatorskich król poznał, że jego projekt się niepodoba, głównie dla tego, że palatynowna była protestantką. Mniemając zatém że propozycyą zaślubienia polki łatwiejszymi uczyni senatorów na małżeństwo z angielką, przerwał dyskussyą i przez kanclerza rzekł „ponieważ pomieniona wybrana się niepodoba, pozwólcie inszą jaką w Królestwie Polskiém zrodzoną za małżonkę". Ale jeden i drugi projekt znalazł licznych przeciwników; z biskupów jeden Piasecki (wówczas Kamieniecki) chwalił myśl królewską czy dla tego że się domyślał jéj politycznéj ważności, czy też że, jak go spółczesni przedstawiają, z usposobienia dworak przed wyższymi był uniżony i łask królewskich zbytnie chciwy. Po skończonych wotach, król oświadczył że sprawę tę do przyszłego sejmu odkłada. Miał nadzieję przez

---

[17]) Lengnich VI. 57.

ten czas ułożyć się pojedynczo z senatorami; jakoż w kilka dni późniéj rozsełano między senatorów pismo, dla zebrania wotów przychylnych projektowi królewskiemu. Świadczy Radziwiłł że wielu z takich, co na radzie mocno przeciw zaślubieniu heretyczki przemawiali, po cichu i z osobna, podpis swój na skrypcie królewskim położyli; inni przeciwnie podpisawszy się, zanosili protestacyą do grodu „że ręka z sercem i usty nie zgadzała się“.

Dwa miesiące, po skończonym sejmie, zostawał król w Warszawie, czekając aż uchwały poborowe przez sejmiki przyjęte i wykonane będą, a rozkazy ściągania wojska w Prusiech, skutek swój wezmą. Przechowała się z tego czasu wielka moc listów Władysława świadcząca o czujności i czynności, z ktorą doglądał przygotowań wojennych. Ale nie może nie dziwić, że nikogo prócz Koniecpolskiego nie widzimy, coby w tym czasie Władysławowi dopomagał. Podatki, jak się domyśleć można niezmiernie powoli wpływały do skarbu, stąd trudność w zaciąganiu nowego żołnierza lub wyprawianiu go do Prus. Jednak Koniecpolski ruszył do Prus i rozłożył obóz pod Grudziążem, o milę od Kwidzyna, Władysław zaś wymógł na elektorze brandeburskim, iż się na przypadek wojny przeciw Szwedom oświadczył, a miasta i zamki swoje załogami polskiemi obsadzić dozwolił. Do ważniejszych, jak do Królewca, król niespuszczając się na ochotę Kurfirsztową, swoich Komisarzy dla doglądania i czuwania posłał. Z miast koronnych pruskich, jeden Gdańsk nie czekając rozkazów królewskich, sposobił się do obrony. W zeszłym jeszcze roku Gdańszczanie sprowadzili z armii saskiéj na dowódzcę jen. Honwalda i poruczyli mu zaciągnąć w Niemczech 500 ludzi, do Lubeki i Hamburga posłano oficera po 200 ludzi, w mieście téż samém i w polskich ziemiach niemało żołnierza zawerbowano. Nie żałowali

również pracy i wydatku na wzmocnienie fortecy, nowe szańce i reduty w pobliżu miasta.

Przez cały ten czas otrzymywał król od cesarza liczne zachęty do wojny a nawet przyrzeczenia pomocy; był w tym celu wysłany do Warszawy poseł Arnoldi. W liście z d. 30 kwietnia cesarz tak pisze „Jakkolwiek pokój ze sławą i pożytkiem zawarty lepszy jest od wojny, czy jednak taki między Szwecyą a WKMością może stanąć, słusznie wątpi każdy, kto zna przyczyny sporów i klęsk wzajemnie zadanych. Wszak WKMość królestwa swego dziedzicznego, Rzplta zaś tylko prowincyj wydartych, za stracone uważać nie będziecie i, bez ujmy swemu imieniowi i sławie, nie możecie zostawić krzywdy niepomszczonéj. A jeśli wojna kiedykolwiek o nie ma być wznowiona, niewiemy kiedy lepszy czas i okazya nadarzy się WKMości, Rzpltéj, jako ta którą WKMość masz w ręku, pognębiwszy sąsiadów, przy pokoju doma i zupełnéj do boju gotowości. Szeregi zaś nieprzyjaciół już nietylko długą wojną są osłabione i świeżą klęską srodze dotknięte i uszczuplone, ale niebawem z dwu stron, przez nas i najjaśniejszego synowca naszego króla hiszpańskiego, w ogień będą wzięte. Co zaś najbardziéj chęci, gdyby jéj brakowało, dodawać powinno, to właśnie że królestwo owe niema głowy zdolnéj; i już zaprawdę tak od Boga jest postanowioném, że WKMość tyle doświadczywszy, tego jeszcze dostąpisz, iż niezaniechawszy okazyi i to odzyskasz co najjaśniejszemu ojcu jego i Rzpltéj niesłusznie było, gwałtem i podstępem wydarte; i sprawie Bożéj dzielnie usłużysz, panowanie swoje w tamte strony rozszerzywszy. Przez co nieprzyjaciel ów, od którego tak długie lata religia nasza cierpiała, i który wrogów jéj do tak wielkiéj pychy podniósł, złamanym będzie nakoniec; o czem niewątpić że Bóg użyczy nam sił do wykonania społem tak wielkiego dzieła“. Przypomina nadto cesarz, że pomoc któ-

réj ojcu Władysława przeciw Szwedom użyczył, najbardziéj nieprzyjaciela tego skłoniła do wydania wojny narodowi niemieckiemu.

Jakkolwiek trafnemi były uwagi listu cesarskiego, jednak przypomnienie owych posiłków pod Arnhejmem Zygmuntowi posłanych, najmniéj zapewne mogło skłonić Władysława do spólnéj z Cesarzem wojny. Nic bowiem wojsko owe nie sprawiło, wiele kosztowało, a nadto wiadomém było, że tenże sam Cesarz dał Arnhejmowi, idącemu na wojnę, rozkaz aby w Prusiech wszystkie zamki od Szwedów odebrane, w imię Cesarza zajmował i jako dawną własność niemieckiego zakonu do Imperyum przywracał [18]. — Wszelako Władysław aby żadnéj okazyi niezaniedbać, dla lepszego wyrozumienia Ferdynanda i wejścia z nim, jeśli można, w jakową ugodę, brata swego księcia Kazimierza do Wiednia posłał.

Nakoniec w pierwszych dniach czerwca Władysław opuściwszy Warszawę wodą do Torunia popłynął, aby obecnością swoją uzbrojenia przyspieszać i dopomódz Koniecpolskiemu, który dotąd więcéj nad 12,000 wojska nie mógł ściągnąć.—Z drugiéj zaś strony, ze szwedzkiéj, nie tracono bynajmniéj czasu. Zatrwożeni groźną posła angielskiego deklaracyą, i dla zrównoważenia wpływu jego, widocznie Polakom przychylnego, wymogli spieszniejsze przybycie francuzkiego pełnomocnika. Rada Państwa, mimo trudności w jakich się znajdowała, mimo niemożności prowadzenia dwu wojen naraz, mimo

---

[18]) Rusdorf (Kanclerz Eleonory Palatynowéj Renu, królowéj czeskiéj) *Memoires et Négociations* II. 724 „Comiti Negromontano (Schwarzenberg) nuper claris verbis Viennae a consiliariis et ministris caesareis dictum fuit, imperatorem scilicet sibi et imperio suo subjecturum quidquid milite suo in Borussia occuparit et caeperit.“ Z tego powodu, domyśla się Rusdorf w innéin miejscu (I. 724) w r. 1629 Poloniae proceres si unquam vel nunc maxime pacem desirebant.

coraz śmielszych za pokojem głosów, ostatnie czyniąc wysilenie, wyprawiła do Prus 20,000 świeżo zebranego ludu pod komendą Marszałka Jakóba de la Gardie. D. 11 lipca odpłynęły z Kolmaru cztery pierwsze okręty; zaraz po nich 25 okrętów linijowych do Piławy przybiło i resztę wojska wysadziło. Jakie zaś było to wojsko, wystawione przez Rząd który nie miał już z czego domowych, pokojowych wydatków opędzać, opowiada Augier sekretarz pośrednika francuzkiego hr. d'Avaux. Opisując obóz szwedzki w Prusiech mówi on: [19]) „Zaiste widziałem tam obraz ubóstwa i nędzy ludzkiej. Patrząc na twarze żołnierzy, nie mogłem pojąć jak twory takie mogły myśleć i rozmawiać; tak byli okropni, brudni, nieuczesani, w obdartych łachmanach, z bosemi nogami, słowem wszyscy prosto od pola i pługu. Właśnie wtenczas rozbijali namioty: skończywszy rozlatywali się wszędy po drzewo i inne potrzeby. Rozbierają parkany, płoty, burzą stare domy, rzucają się i na nowe jeśli im oficerowie nie przeszkodzą". Z wojska tego 6,000 miało wzmocnić załogi, reszta w pole wyruszyć. Z Jakóbem de la Gardie, przybył Torstenson z zapasem amunicyi i wielą wyższych i niższych oficerów z armii niemieckiéj [20]). Co ta armia byłaby sprawiła, czy byłaby wytrzymała spotkanie z dostatnio żywionym, bogato uzbrojonym i pysznie ubranym żołnierzem polskim, trudno przewidzieć. Ale Rząd Szwedzki wysełając tych świeżo od roli oderwanych i nędzą znękanych chłopów, z których część mogła była w fortecach pruskich do wojny zaprawić się dość prędko, dopisał i swemu obowiązkowi, i chwilowéj potrzebie; na uzbrojenia się króla polskiego odpowiadał liczbą jeśli nie broni to rąk; zyskiwał wreszcie czas, w ciągu którego, gdyby już przy-

[19]) Zbiór Pam. Niemcewicza III. 223.
[20]) Lengnich *Geschichte der Preussisch Poln. Lande* VI. 59.

szło do ostateczności, armia szwedzka mogła była z Niemiec pospieszyć z pomocą.

Dnia 23 maja posłowie francuzki i holenderscy przybyli do Malborga i zaraz na dzień następny naznaczono ogólne zebranie pośredników i komisarzy w Sztumdorfie. Powtórzyły się trudności z okazyi wymienionych plenipotencyj, ale uprzątniono je na wniosek pośredników protestacyami, które obie strony dla zagwarantowania swych praw zaniosły. Po téj pierwszéj wstępnéj sessyi, naradzali się pośrednicy w Malborgu i uznali za właściwe przystąpić od razu do głównéj sprawy, streszczając ją w dwóch propozycyach: 1) aby dzisiejsza królowa szwedzka i jéj potomkowie zostali przy posiadaniu królestwa szwedzkiego, które po ich śmierci wrócić ma do króla polskiego i jego dziedziców; 2) aby Szwedzi oddali Polakom wszystko co im byli zabrali. Pośrednicy zgodziwszy się na te dwa punkta zakomunikowali je obu stronom; traktowano bowiem nie schodząc się razem ale porozumiewając się przez posłów zagranicznych. Do dnia 8 czerwca odbyły się cztery tego rodzaju narady. Polacy zdawali się przychylać do konkluzyi medyatorów; kładli jednak różnicę między żądaniami króla a Rzpltéj, i dla obojga domagali się zaspokojenia. Szwedzi natomiast nie chcieli przystąpić do niczego, aż król polski wyrzecze się tytułów szwedzkich; domagali się zapłaty kosztów wojennych i oddawali Prusy. Hrabia Brahe oznajmił stanowczo, że chociażby nawet Stany Szwedzkie na zwrot Inflant pozwoliły, on sprzeciwi się, jako Członek Rady Państwa. Przyszło znowu z tego powodu do przemówienia się z posłem angielskim, a chociaż Douglasa popierali Holendrzy, Szwedzi do żadnéj innéj propozycyi nakłonić się nie dawali.

W krótce posłowie pośredniczący uwiadomili Polaków, że Szwedzi nawet za bezwarunkowe króla polskiego zrzeczenie się Szwecyi, niechcą Inflant odstąpić.

Zdawało się więc, że o pokoju niebyło co myśleć, jednakże pośrednicy umyślili próbować czyli nieuda się dłuższy rozejm zawrzeć, i w tym celu zawieszenie broni przedłużywszy do 1 Sierpnia, wraz z komisarzami polskimi udali się do Torunia gdzie właśnie król bawił.

Uwiadomiony o stanie rzeczy Władysław, zwołał Senatorów na tajemną radę. Wszyscy obecni byli zdania że jeżli Szwedzi oddadzą bezwarunkowo Prussy i cła morskie, można z nimi zawrzeć czy pokój wieczysty, czy téż dłuższy rozejm. Do téj opinii przyłączył się listownie, zapytany o zdanie Prymas. Sprzeciwił się jéj Radziwiłł, hetman litewski, dając za powód, że ma od posłów litewskich poruczone: bez zwrotu Inflant nie zezwalać ani na pokój, ani na dłuższy rozejm. Miewał król w ciągu tych dni wiele rozmów z medyatorami którym nakoniec kanclerz oświadczył, że bez Inflant o wieczystym pokoju nie może być mowy. Z tą odpowiedzią wrócili i pośrednicy i komisarze i jedni i drudzy słabą już mając nadzieję zapobiedz rozlewowi krwi. Radziwiłł wyjechał do Litwy z rozkazem wkroczenia do Inflant pierwszego dnia upłynionego rozejmu.

Rozpoczęte po raz trzeci w d. 29 czerwca negocyacye przez 16 dni ciągnęły się — napróżno. Polacy ofiarowali pokój wieczysty za odebraniem Prus i Inflant; Szwedzi za pokój tylko Prusy oddawali. Obie strony miały się już rozjeżdżać, kiedy poseł angielski będąc u Szwedów na pożegnaniu, pokusił się raz jeszcze im przedstawić: że niepodobna od króla polskiego wymagać aby za same Prusy zrzekał się swych praw; że jeżli niemożna o pokój trzebaby postarać się o dłuższy rozejm. „Po długich około tego mowach, ([21]) *tandem* deklarowali się że i na *longiores Inducias* ustąpić Prus mogą, przy Inflantach zostawszy, których teraz ani w

---

[21]) **Raport komissarzy polskich do Króla 15 Lipca 1635.**

części ani w całości, ani o nich żadnych *media* przyjmować niemogą. Dla téj przyczyny zatrzymali się posłowie szwedzcy, żądając od nas *cathegoricum responsum.* Tłumaczył nam poseł angielski że *per Inducias* (rozejm) *magis honori* WKMości *consuletur* gdy do renuncyacyi nieprzyjdzie; więc pożyteczna że całe prawo WKMości i *posteritati* do Szwecyi *post expirationem Induciarum* zostanie. Do tego przekładał niebezpieczeństwa, w które dobywając miejsc tych w Prusiech popaść możemy, a niepewnie jeszcze jeśli ich dobędziemy ponieważ Szwedowie (co on od swoich szpiegow zapewno wie i przysięgą prawie to potwierdził) mają tu w Prusiech wojska dwadzieścia tysięcy, którém mogą się bronić choćby kilkadziesiąt tysięcy wojska naszego nastąpiło. Przypomniał i Bannera że ten pewnie tu przyjdzie; ponieważ się tak deklarowali, że oni skorsi bronić swoich rzeczy, niżli cudzych, *in Imperio.* Allegował i to, że kiedy w rękach Prusy mieć będziemy, łacniéj potém *unitis viribus* Inflanty rekuperować możemy, za odmianą też jaką czasów, co teraz w takiéj gotowości Szwedów trudno sprawić. Więc że im cła (pruskie) odpadną, któremi się ratowali, niemogą być tak gotowi do poparcia na potém wojny; co im teraz snadniéj mając ludzi z wojsk gotowych, które *in Imperio* trzymali Więc nie spodziewając się, aby im Holendrowie w wybieraniu ceł jaką przeszkodę uczynić mieli, gdyż ci będą mieli co czynić u siebie, za tą porażką którą odnieśli od Hiszpanów. Przypomniał naostatek i to pan poseł, że jeśliby Szwedom *alea Martis* jakożkolwiek szczęśliwie padła, większejby twardości w ich kondycyach spodziewać się trzeba i niesnadniéjby do puszczenia Prus, co teraz uczynić chcą przystąpili. Proponowawszy nam te racye obszernie, prosił nas abyśmy się *ad Inducias istas longiores* skłonili, ponieważ *pax perpetua* skleić się niemoże, w czem gdziebyśmy się trudnymi

stawili, (jako Szwedom *imputant* to wszyscy medyatorowie, że upornie przy propozycyi i swojej względem *pacis perpetuae* stawają) nam wszyscy tożby przypisać musieli, gdybyśmy z tym warunkiem *Inducias* nieprzyjęli. Odpowiedzieliśmy, że byliśmy téj nadzieje, że strona przeciwna miała dać miejsce słusznym kondycyom względem wiecznego pokoju podanym, które też i sami PP. Medyatorowie za słuszne uważali, iż nierozumieliśmy aby nam do traktowania *longiores Inducias* przychodzić miało, w których więcéj trudności znajdować się będzie, niżliby w traktatach pokoju być mogło. Że jednak mówić strona przeciwna o tém niechce, my nie tak patrząc na te liczby wojska, które mniejszemi rozumiemy, i na te niebezpieczeństwa których się też i Szwedom obawiać potrzeba, i na te inne racye na które nietrudno odpowiedzieć, jako na dobro pospolite, i żeby się uszło rozlania krwie;niejesteśmy od tego, aby się i o dłuższych inducyach traktować niemiało; że jednak i te bez restytuacyi Inflant stanąć niemogą, jako nasza instrukcya mieć chce, trudny w téj mierze dalszy postępek. Do tego się przywieść damy co jest w instrukcyach naszych, że i satysfakcyą jaką pieniężną posesorom teraźniejszym (szwedzkim w Inflanciech) obmyśleć możemy, a naostatek i niektóre miejsca przy nich zostawić przez czas inducyj. Więcej postąpić trudno mandatów innych niemając. Zaczem prosił nas (poseł Angielski) abyśmy do WKMości znać o tém dali i te *rationes* jego i inszych panów posłów przełożyli. Po długich tych mowach jego, których nad zwyczaj swój i nad spodziewanie nasze używał, i naszych też replikach niemogliśmy mu i inszym, w których imieniu naglił tego odmówić, żebyśmy donieść niemieli wszystkiego do WKMości.“

Z powyższym raportem komisarzy, kanclerz Zadzik wysłał prywatny swój list do Gembickiego sekretarza

królewskiego, z którego się pokazuje, że komisarze polscy skłonni byli do przyjęcia powyższéj propozycyi. „Nie patrzęć ja, pisze kanclerz, na te strachy, które nam czynią, (acz przyznać się musi że ich gotowość większa) ale raczéj na to jeśliż tę wojnę długo prowadzić chcemy, i jeśliż tak jesteśmy opatrzeni, żebyśmy Prussy wszystkie które nam puszczają eliberować mogli. Co choćby nam wyszło, acz wielkiéj łaski Bożéj potrzeba, jeszczeby nam Inflanty zostawały, które abyśmy rekuperować mieli, ja mało co mam nadzieje. Zaczem przecieby zostawały w rękach nieprzyjacielskich, a na dalszą o nią wojnę, ledwiebyśmy *praesenti rerum statu*, Rzpltą przywieść mogli do jakich podatków. Owo zgoła, *meo quidem judicio*, nierozumiałbym odrzucać tego podania. Racz to WMość Imci Panu krakowskiemu (Koniecpolskiemu) komunikować."

Powyższe listy i koncessye w nich czynione, dawały Władysławowi wiele do myślenia. Bez słusznego powodu niemógł odrzucać propozycyi za którą poseł angielski tak mocno obstawał. Niewidział się téż, mimo tak usilnych i długich starań, gotowym do rozpoczęcia kampanii. Wojsko polskie w obozie Grudziązkim zebrane dwudziestu tysiący nieprzechodziło, a ta siła, dostateczna do kampanii odpornéj, niewystarczała aby Szwedów z Prus wypędzić. Wiedział o tém że skoro po kraju rozejdą się głosy: iż Szwedzi Prusy oddawali, i gdyby nie król jużby korona bezpiecznego spławu na Wiśle używała, bardzo mało naówczas (co téż i kanclerz przewidywał) w obywatelach korony znałazłoby się ochoty do dalszego popierania wojny! Owszem podniosłyby się krzyki: że król polską krew rozlewa i Rzpltą na niebezpieczeństwa naraża dla odzyskania swego dziedzicznego królestwa! A tak, mimo wielką ludność, i bogactwo tylu i tak obszernych ziem polskich, król polski niespodziewał się od Rzplt. spodziewać się takich nadal posiłków

któreby nadchodzącéj z Niemiec armii szwedzkiéj czoło stawiły. Jeżli Banner (komendant szwedzki, Horna następca w Niemczech,) zostawiwszy protestantów niemieckich własnéj obronie, wkroczy do Polski dolnym Szląskiem (z któréjto strony żadnych fortec niebyło) czem się od niego obronić, o czem nową armią utworzyć? Wypadałoby sejm zwoływać! nowych podatków żądać, co wszystko i długiego czasu wymagało i bardzo a bardzo było w skutku niepewne! W prawdzie według konstytucyi ostatniego sejmu, król mocen był powołać pospolite ruszenie, ale Władysław w wojnie doświadczony wiedział ile ono ma wartości. Podtrzymywane wojskiem regularném, mogło odeprzeć tatarski, turecki, nawet moskiewski najazd, lecz niepodobna je prowadzić na spotkanie z wyćwiczonym szwedzkim żołnierzem, od którego nawet Wallenstein, powtórnie do komendy przywołany, długo, swieże wojsko swoje ochraniał. Zważyć i to należało, że wojna ze Szwedami prędko skończyć się niemogła, a w pospolitem ruszeniu szlachcic nie był obowiązany służyć dłużéj nad sześć tygodni; zawsze więc w końcu kraj zostawiony byłby bez obrony, i król z armią dla zasłonienia jednéj lub drugiéj stolicy musiałby prędko wycofać się z Prus. Godziłoby się przypuszczać, że w razie gdyby Banner z Niemiec ustąpił, a do Polski wkroczył, armie niemieckie ruszyłyby za nim. Ale Władysław téj nadziei nie miał; myslał raczéj że Cesarz użyje téj swobody, aby uwolnionemi od głównego nieprzyjaciela siłami, zgnieść u siebie protestanckich książąt a Polskę własnemu zostawić losowi. Późniejszy przykład okazał jak prawdziwém było to mniemanie. Kiedy bowiem w r. 1643 Dania wydała wojnę Szwecyi, Torstenson na rozkaz Oxenstierny, porzuciwszy zdobywanie czeskich i szląskich fortec, z całą siłą niespodzianie rzucił się na północ; przeszedł Szlezwig, Holsztyn, wkroczył do Jutlandyi, i jeszcze się o

wiele stan rzeczy w Niemczech niezmienił, kiedy Dania zmuszoną została ograniczyć się na wojnie morskiéj, a Szwedzi wolne już mieli ręce do działań zaczepnych w Cesarstwie. Gdyby Władysław miał był choć 50,000 gotowego wojska, i pieniądze na rok, a pewność ich dostania na dalsze lata, mógłby był narazić się na wojnę z całą nawet potęgą szwedzką, w pierwszéj chwili groźną, i działając z razu odpornie, doczekać się pomocy od Danii, Cesarza, nawet Anglii. Możeby późniéj potrafił i do Szwecyi przenieść wojnę, i tam temu długiemu sporowi położyć koniec! Lecz z dwudziestoma tysiącami żołnierza, na rok opłaconego, z małą nadzieją dalszéj pomocy, rozpoczynać wojnę zaczepną, kiedy Szwedzi bez wojny, i bez ujmy honorowi królewskiemu prowincyą całą oddawali, zdawało się wielką nieroztropnością! Téj Władysław niepopełnił, zamiary swoje odłożył nadal, i choć z bólem serca, komisarzom polskim odpisał że na 12 lat rozejmu zezwala. A skoro jedna i druga strona na rozejm zgodziła się, i tylko jeszcze o długość jego rozchodziło się, nietrudno już było pośrednikom dalsze warunki ułożyć. Trwały jednak negocyacye do 15 Września. Aby je przyspieszyć, król coraz to trudniejszym był w przedłużeniu wyszłego już zawieszenia broni, i coraz bliżéj z armią swą ku Szwedom pomykał się. O mało nawet do prawdziwéj bitwy z kłótni żołnierskich nie przyszło; walczących, nie bez własnego niebezpieczeństwa, komisarze rozjęli. Do Radziwiłła, który do Inflant już wkroczył, posłano rozkaz wstrzymania kroków nieprzyjacielskich.

Traktat sztumdorfski był dla Rzpltéj niezaprzeczoną i największą korzyścią, jaką bez żadnego prawie z swéj strony wysilenia, a tylko przez zręczność i czynność króla, otrzymać mogła; dla Szwedów był złém koniecznem, ofiarą którą się od wojny z Władysławem, mimo wszelkich z ich strony usiłowań, okupić musieli. Obu-

rzył on Oxenstiernę; w liście do kanclerza (28 września) Rada państwa tłumaczy się, że nieupoważniła komisarzy do odstąpienia Prus za tak krótki rozejm, niewahała się jednak potwierdzić go [22]). Umówionem było, że aż do potwierdzenia przez stany polskie, Szwedzi zatrzymają w ręku swém Elbląg i Piławę. Król przeto, chociaż pośrednicy i komisarze już się rozjechali, i wojsko szwedzkie ustępować poczęło, niekazał ruszać się z Prus armii polskiéj, a to groźne postawienie się Rzpltéj było może jedną z przyczyn, dla których Szwedzi sumiennie i żadnego miejsca niepustosząc, warunków traktatu dopełnili. Władysław uwiadamiając naród o zawartym pokoju, i zwołując sejm dla jego ratyfikacyi, rozesłał (z Kwidzyna 20 sierpnia) uniwersał w którym historyą téj sprawy i przyczyny takiego jéj zakończenia, trafnie w tych słowach opisuje:

„JKMość nieczekał na wojsko, sam wolał je uprzedzić w Prusiech, aby famą przybycia swego i wojsko do pośpiechu, i nieprzyjaciela do słusznych kondycyj pokoju przywiódł. Tak wczesne JKMości do Torunia przybycie miałoby było daleko większą i do wojny, i do pokoju wagę, kiedyby było za królem Imć wojsko pośpieszyło. Ale *fatalis* narodowi naszemu jakaś *tarditas*, i JKMość i JWP. Krakowskiego hetmana W.K. w długie *otium*, i nieprzyjaciela w większą hardość i upór wdała. Kiedy bowiem przy expiracyi inducyi, niebyło z kim w pole wyniść, musiał się coraz nowym armistycyi pomykaniem czas trawić z wielkim króla Imci żalem i rzeczy publicznéj omieszkaniem. Zapełniał jego JKMość defekt ten czułością i odwagą, w oczekiwaniu wojska niepróżnując, ale księstwo w posłuszeństwie, miasta w wierności i obowiązku bytnością swą utwierdzając; municye nieprzyjacielskie lustrując; zamki, miasta, porty

---

[22]) Geijer III 298.

munimentis utwierdzając, załogami osadzając; nieprzyjaciela fortami i szańcami ściskając; zamysły i imprezy jego poprzedzając i obóz ku niemu za ściągnieniem się *tandem* wojska pomykając. Czem wszystkiem nieprzyjaciel ściśniony do kondycyj się takich skłonił, jakie Rzpltéj *hoc rerum statu* są zbawienne i zaszczytne. Rekuperowała się prowincya królestwa wszystkiego jedyna skarbnica; o co przodkowie nasi wiekami wojowali, to JKMość szczęściem i odwagą swoją, i wodza i komisarzy swych *dexteritate*, ojczyźnie naszéj w kilku niedzielach przywrócił. Wprawdzie każdego dobrego obywatela boleć musi, że do dwudziestu sześciu lat kwitnąca i zamkami, miasty, portami znamienita inflancka prowincya w possessyi nieprzyjacielskiéj zostaje, ale że *cara caris emuntur* przyszło do czasu tego odżałować czego trudno było, wraz z Prusami bronią dostać i wprzód, co z naglejszego, nieprzyjaciela zbyć, a potém im dłużéj tém lepiéj sobie wytchnąwszy, tamto *patrimonium* Rzpltéj z lichwą da Bóg odzyskać, acz nadzieja w Panu Bogu że przez wieczne z tym nieprzyjacielem uspokojenie, prędzéj ta prowincya wróci się do possessyi Rzpltéj."

Na sejmie posłowie koronni, wolnym na Wiśle spławem ucieszeni, nierobili trudności w potwierdzeniu traktatu, atoli posłowie litewscy, ci sami co przed traktatem wnosili, iżby podatki na żołnierza wojewódzkiego, każdéj z osobna ziemi broniącego, nie zaś na wojsko królewskie obrócone były, chcieli, jak naiwnie wyraża się Radziwiłł „pakta szwedzkie w niektórych punktach rozszerzyć!" I byłoby do tego przyszło, to jest odrzuconoby traktat, gdyby korona nieuczyniła była pewnych drobnych koncessyj, które miłość własną oponujących zaspokoiły. O mało jednak niezerwano sejmu, z powodu kwestyi: co zrobić zresztą wybranych a wojsku nienależących się podatków? Proponowali niektórzy obrócić

je na spłacenie długów królestwa. Drudzy, jak podkomorzy kamieniecki a za nim Wielkopolanie domagali się zwrotu tych pieniędzy, na co gdy przystać niechciano, wzmogła się wrzawa. Trwała ona przez sześć godzin, aż ją ciemność nocna uspokoiła [23]). Spółcześnie przedstawiał król, o czem w instrukcyi z Kwidzyna posłanéj była także mowa, że jak w pokoju z Moskwą tytułu carskiego dla dobra Rzpltéj się wyrzekł, tak przez traktat z Szwedami zawarty pozbawił siebie i bracią swą na lat 26 (a może na zawsze) sposobności odzyskania dziedzictwa. Nadto iż tak w ciągu moskiewskiéj wojny, jak szwedzkich przygotowań, z powodu ciągłego braku pieniędzy w skarbie Rzpltéj, wszystką gotówkę którą miał, wydał i niemałe jeszcze długi zaciągnął. Spodziewa się zatem że stany znać się będą do wdzięczności i te wydatki wrócą, a długi królewskie na potrzebę Rzpltéj zaciągnione, zapłacą. Posłowie milczeniem tę propozycyą zbyli, tłumacząc się że nic o tem niemają w instrukcyi od swoich województw. „Konstytucyą tylko, mówi Radziwiłł, pełną pochwał królewskich uformowali." Król zapłakał dodaje tenże, na niewdzięczność posłów, i sejm o 1éj po północy zwykłém pocałowaniem ręki królewskiéj zakończony został.

Nim tę drugą epokę kwestyi szwedzkiéj zamkniemy, wypada nam opowiedzieć jaki koniec wziął królewski projekt zaślubienia siostrzenicy króla Agielskiego, na którym Władysław, jak widzieliśmy, nie bez przyczyny tyle nadziei pokładał.

Wspomniany przez nas kilka razy Nuncyusz Visconti mówi, że Władysław podczas podróży swéj we Włoszech (1624) okazywał jawną skłonność ku Donnie Caraffa Neapolitance, księżniczce Stigliano; słynnéj zarówno z swéj piękności, jak z bogactw niezmiernych,

---

[23]) Pamiętniki A. Radziwiłła I, 269, 286.

które Władysław rad był może połączyć z dziedzictwem swem włoskiem po Bonie na królów polskich spadłem. Ale nieprzyszło do oświadczenia. Hiszpanie nieradzi byli widzieć aby tak bogata panna dostała się cudzoziemcowi; Zygmunt też, jak wielu nasuwającym się partyom, tak i temu małżeństwu niesprzyjał, prawdopodobnie dla tego, aby Władysław znudzony przeszkodami, które mu wciąż stawiono, ożenił się nakoniec z jedną z Arcyksiężniczek.

Po śmierci Zygmunta, wraz ze zmianą interesów Władysława, zmieniły się także jego zamiary. Już o Neapolitance niebyło mowy; co najwięcéj życzył jéj król jednemu z braci swoich. Podczas tejże saméj podróży Władysława po Włoszech, przyszła myśl księciu Toskańskiemu ożenić go z swoją siostrzenicą i zaraz po elekcyi z r. 1632, począł czynić starania aby tę pannę na tronie polskim osadzić. W kwietniu (1635) przybył do Warszawy poseł tegoż księcia margrabia de Rucelai i ofiarował królowi znaczne summy na wojnę szwedzką tytułem posagu księżniczki toskańskiéj. Władysław atoli inne już wówczas mając widoki, odpowiedział, podobnie jak dawniéj ojcu swemu zwykł był tłumaczyć się, że mu się niezdaje stósownèm, wchodzić w związki małżeńskie z osobą tak blisko spokrewnioną. Krążyły zaś i inne pogłoski; mówiono o księżniczce Newers, pannie Mantuańskiéj; przypominano sobie skłonności królewskie to do Wiśniowieckiéj, to do Radziwiłłownéj, córki hetmańskiéj. Aż rada senatu w kwietniu t. r. odbyta odkryła naraz zamiary króla.

Widząc że zaślubienie protestantki znajduje w Senacie przeciwników licznych i stanowczych, począł próbować Władysław ażali mu się nieuda otrzymać dyspensę papieską. Zaczém gorliwsi króla stronnicy rozgłaszali, że papież takową dyspensę już nadesłał. Zbijał tę wieść obecny w Warszawie Visconti, i sam wyznaje,

że tém sobie króla naraził. Atoli obawiając się aby stolica Sta. nieokazała dla Władysława większéj niż polscy biskupi powolności, jął w raportach swych wykazywać najgorsze skutki, któreby ztąd dla kościoła katolickiego w Polsce i zagranicą niechybnie wynikły. Błagał ażeby w Rzymie nieczyniono żadnego kroku, któryby w senacie polskim dał powód mniemania, że Papież chociaż niesprzyja temu małżeństwu, jednak się mu nie sprzeciwia przez wzgląd na życzenia i pożytki króla.

D. 1. Grudnia, podczas sejmu mającego ratyfikować traktat sztumdorfski, król zwołał radę senatu. Gdyśmy wszyscy (powiada Radziwiłł) zasiedli, nowy kanclerz, Tomasz Zamojski, te do nas rzekł słowa: „Jest wolą króla Imci, aby się on ku dobremu Rzpltéj z wyż pomienioną Angielką złączył albo, jeśliby inna dyspozycya była, abyście z Polką ożenienia niebronili.“ Z niewypowiedzianą chciwością, dodaje tenże, wszyscyśmy na sentencye senatorów oczy i umysły podnieśli, i niemomylnie była tam ręka Boska konotująca, wszystkich mowy albo na pochwałę lub exprobacyę na ostatecznym sądzie. Pierwszego dnia mówili Biskupi: siedmiu jak najmocniéj ganiło projekt Króla, Piasecki jeden (z wielkiém obruszeniem katolików) na zaślubiny z Angielką, przystawał. Na trzeci dzień głosowali wojewodowie: dziewięciu dało wotum przeciwne, jeden obojętne. Z kasztelanów: dwunastu mówiło przeciw, jeden za, jeden obojętnie. Nakoniec kiedy przyszła koléj na Ministrów: na siedmiu obecnych, żaden króla niepopierał, wszyscy owszem myśl królewską stanowczo potępiali.

Wyłożyliśmy powody które skłoniły króla do szukania tych związków małżeńskich; słusznie zatém wspomnieć i o tych, które stronę przeciwną od zgody wstrzymywały. Znajdujemy je spisane w mowie kasztelana Międzyrzeckiego, Grodzickiego. Pomijamy w niéj za-

rzuty przeciw sprzeczności zdań, bo w tym względzie sam Władysław czuł niedogodności; przytaczamy tylko argumenta polityczne tego Senatora.

„...Już dyskurują o tém, że Cesarz Imć nieprawnie proskrybował ojca téj panny wraz z potomstwem, i jakoby wbrew bulli złotéj Karola IV. Dopieroż po weselu WKMości, *voti compotes*, niebo i ziemię i cztery strony świata mieszaliby, aby spokój królestwa i tak bliskie WKMości z domem Rakuskim pokrewieństwo, potargać mogli. Rosłyby szeregi Lissowczyków *in favorem calamitosae Reginae*. Byłyby zaciągi od jéj braci i krewnych ochotne na Cesarza Imci; rwałyby się sejmy, praktyki cudzoziemców zagęszczałyby się, a strzeż Boże, aby *calcata legis et regis majestate*, do wojny domowéj nieprzyszło, jako we Francyi, gdy chciał król tameczny w Niemczech rebelizantom tymże cesarskim, kalwinom, grzbiet trzymać, a oto z matką, i z bratem własnym, doma pierwéj kopijniczyć musiał. Kto nas postawił sędziami nad dekretami cesarskimi? Alboż WKMości miłoby było, gdyby miano *in imperio* albo w innych państwach świątobliwym sejmowym dekretom i postępkom WKMci przyganiać? Na co jest sprawiedliwość, i na co wyszedł dekret, w którym cesarz Augustus surowo i sprawiedliwie pokarał *defectores perduelles et rebellos suos*? A co większa, starszy krewny domu palatynowego sam exekucyą czynił; *proscriptos* z Czech i z Palatynatu wygnał, dobra konfiskował, *electoratum* otrzymał. Aprobował i sam Pan Bóg ten dekret, owych Turnów, Jägensdorfów, Gabor-Bellemów, Mansfeldów, Brunświków, Halberstadtów, i wiele zuniowanych książąt i imperyalnych wolnych miast pod nogi cesarskie podłożywszy. Zginął dla retraktacyi tego dekretu on wielki bohatyr, król Gustaw, stryj WKMości; nieśmieć się z domu wychylić rodzony szwagier i brat król angielski. Król Duński syna i wojska potraciwszy kurczy się i mądry po szkodzie.

Już też w Paryżu *ex victore victus* król Ludwik gości z Niemiec wygląda, i widzi dymiące swe prowincye jako jego poseł nam znać daje. Saski, brandeburski elektorowie, status Silesiae czołem biją. Brakuje jeszcze aby i z naszéj strony acheronta *moverent*, i żeby WKMość do spólnictwa klęski wciągnąć. Niepodoba się snać ten zamysł Cesarzowi Imci. Nie darmo dziś (na publicznéj audyencyi) poseł Cesarza Imci przypominał nam *sanctitatem pactorum et foederum*, któreby się najpewniéj łamać musiały za tém spowinowaceniem jego nieprzyjaciół. Azaby to mało do wojny miał na nas przyczyn? Nie nadała się waśń pierwszemu Zygmuntowi z Maxymilianem I, który się uraziwszy o spowinowacenie w domu siedmiogrodzkim Zygmuntowe, acz *propria vi* nic nie robił, ale i herby, i tytuły, i bractwo posławszy Moskiewskiemu, piastował wojnę jego do Litwy i rzemieślników *armorum fabros* dodawał, aż do niego do Wiednia Zygmunt jeździł, gdzie podwójnem pokrewieństwem owe waśnie między sobą zatarli; a za zgodą też taką rzeczy nasze poczynały być lepsze, i Cesarz Bonę Sforcyownę Zygmuntowi narail, i przez posła z Moskwą przymierze postanowił".

W ten sposób mowca wyłożywszy szkody które za tém małżeństwem na Rzpltę spaść miały, ocenia daléj pożytki których się z niego spodziewano. „Co też za pomoc wziąłbyś WKMość od téj, któréj oprawę mielibyśmy czynić? *Ad amissas opes* niema po co! Jeśli angielskie i duńskie powinowactwo, tedy ich pozór, i nadzieja, i rzecz ich sama z traktatami szwedzkiemi ustała, i nie wiele pomogło ojcu téj panny. Ja o posagu inszym nie mogę się domyśleć, ani rozumiem o inakszym jeno gromadę rodzonych i powinnych osób, wygnańców, których ani nieboszczyk ojcem, ani dzisiejszy bratem, królowie angielscy, ani duński wujem rodzonym będąc, *in sua recipere* nie chcieli. A Cesarz Imć miałby po-

wód i okazyą, prawem lub siłą, jako swych buntowników rekwirować. Więc mimo to nie wystarczyłyby szczupłe ekonomie koronne tak gromadnym gościom, którymi holendrowie znudzeni, radziby prędko w Polsce przenosiny sprawili, i dla tego się nam w radę wtrącają tak wspaniałomyślnie przez listy tę panienkę zalecając, a z czego nam większa rośnie suspicya że i król angielski i oni wpraszają ją za mąż do WKMości".

Nie wiele baczył Władysław na te postrachy które mu ze strony Cesarstwa wskazywano i niemi odwieść chciano. Przykład Zygmunta szukającego związków z Węgrami raczéj go zachęcał niżby miał odstręczyć. Po śmierci ojca, do trzech koron miał pretensyą, może zaślubieniem Fryderykownéj, do czwartéj prawa chciał odziedziczyć. Mamy wiele powodów do mniemania, że rad był Rzpltę wciągnąć do wojny która środkową Europę dręczyła; mamy z tego czasu dwa listy Władysława w których się u Cesarza upomina o ucisk Szlązaków jako ludu z Polakami jednością rodu złączonego; są też i późniejsze jego instrukcye w których się Mazariniemu otwiera z chęcią ograniczenia władzy Cesarskiéj w Niemczech. Co więc Senatora lubiącego używać wczasu wiejskiego mogło przerażać, to zapewne przedsiębiorczego Władysława tém bardziéj podbudzało i zapalało. Ale widząc że nie przełamie wstrętu Senatorów do małżeństwa z protestantką, sam téż w tym ostatnim względzie przekonany, umyślił palatynównę nakłonić do przejścia na wiarę katolicką. Znowu więc na późniéj odłożył senatorską naradę, a tymczasem wysłał Zawadzkiego powtórnie do Londynu. „Senat, pisze Władysław w instrukcyi, okazał się nieprzychylnym królowéj protestanckiéj wiary, gdyż od tylu wieków przykładu nie byłoby królowa inszego wyznania na tronie polskim zasiadła, a nadto rzecz tak nowa w dzisiejszych okolicznościach zachwiaćby mogła katolicką religią. Prosić zatém

należy królowéj angielskiéj aby przez wdanie się i perswazye swoje skłoniła księżniczkę Palatynatu do wrócenia na łono prawdziwéj wiary". Coby, mniema król, snadnie dało się urządzić, gdyby księżniczka z Hagi dla odwiedzenia swego wuja do Londynu przyjechała. „Gdyby zaś księżniczka uporną się okazała w odmianie wiary, i królowa Imć o tém posła zapewniła, natenczas oświadczy poseł, iż już o rzeczy téj na sejmie i wspominać próżno; wyrazi żal stąd JKMości; opowie że nie jest w mocy Najjaśniejszego Pana pojąć za małżonkę nie wyznającą katolickiéj religii, i że choćby ztąd najzbawienniejsze dla kraju wynikały korzyści, stany królestwa nigdy na to nie zezwolą".

Był Zawadzki w Londynie, póżniéj w Hadze, zkąd pojechał do Francyi, ztamtąd wrócił do Londynu. Lecz te podróże jego i starania nie przyniosły skutku; księżniczka nie dała się nakłonić do zmiany religii, i poseł z niczem wrócił.— Władysław zmartwiony, zawiedziony w nadziejach, mimo woli swéj tegoż samego roku, dał się wciągnąć w małżeństwo z Cecylią Renatą. Gdy bowiem agent Cesarski, ksiądz Magni, ten związek mu ofiarował, król niechcąc wprost odmówić, położył warunki tak trudne, o jakich nie mógł przypuszczać, aby na nie zezwolenie cesarza stanęło. Z wielkiém jednak zadziwieniem i kłopotem Władysława, Ferdynand na wszystko pospiesznie zgodził się, pragnąc, bądź co bądź, ubespieczyć się przez nowy związek familijny od strony polskiéj. Może jednak nie od rzeczy będzie dodać, na co użalają się spółcześni kronikarze, że prawie ani jeden z umówionych w kontrakcie ślubnym warunków dopełnionym nie został.

Odmowa Senatu polskiego oziembiła angielskiego Karola w życzliwości do Władysława; odmowa księżniczki Elżbiety utrudniła nadal wzajemne stosunki, ale bardziéj nad to wszystko pośpieszny ślub Władysława z Cecylią

rozbił wszelkie jego plany i nadzieje z polityką zagraniczną związane. — Wedle zwyczaju u panujących zachowywanego, król polski w r. 1637 wysłał Reja do Anglii i Holandyi dla zawiadomienia ich o swojem małżeństwie. Świadczy spółczesny kronikarz holenderski [24]) że podczas pobytu Reja w Hadze, ani francuzki, ani wenecki, a tém mniéj angielski poseł nie chcieli go odwiedzić; nawet książe Oranii długo wzbraniał się przyjąć go i dopiero zapewne na żądanie Stanów, troskliwych o handel z Polską, dał się nakłonić do udzielenia mu audyencyi. Dwory zachodnie powzięły od tego czasu ku Władysławowi stałą nieufność, która się nawet ze śmiercią Renaty a zaślubieniem Maryi Ludwiki, niezłagodziła. Żadnéj z jego propozycyi ani w Paryżu, ani w Hadze, nie chciano odtąd słuchać; do czego zapewne nie mało się przyczyniły ustawiczne podróże księcia Kazimierza do Wiednia i służba jego w wojsku cesarskiém, może nie tyle przez sympatyą, jak dla rozerwania nudów które tego księcia aż do śmierci dręczyły, pełniona.

Odtąd też nie znajdujemy śladów aby Władysław zajmował się kwestyą szwedzką z tym co dawniéj zapałem i niemal wyłącznością; pretensyj swoich do korony gotów już był odstąpić za małą korzyść. Odtąd wraz z Koniecpolskim gotował się tajemnie do wojny z Turcyą, i aby raz na zawsze zapobiedz najazdom tatarskim, umyślił Tatarów wypędzić z Krymu, choćby nawet ten półwysep przyszło Moskalom, za pomoc którą ofiarowali oddać. Wśród przygotowań, a właśnie kiedy pomoc jego najbardziéj była potrzebna, umarł Koniecpolski, ostatni zaprawdę, prócz Sobieskiego, hetman polski! — Mimo tę stratę bolesną, Władysław zawarł z Wenetami traktat zaczepny i odporny przeciw Turcyi a za pieniądze przez nich zaliczone, i za posag Maryi Ludwiki, zaciągnął

---

[24]) Aitzema *ed. in folio* ks. XVII. s. 439.

znaczną ilość żołnierza; kozaków zaś, przez Ossolińskiego, już miał gotowych i zbrojnych. Znowu temu zbawiennemu przedsięwzięciu Senat, niemal jednomyślnie, sprzeciwił się. Nie zważając na opozycyą Senatorów Władysław już chciał ruszyć do Lwowa, gdzie ściągało się wojsko, kiedy nowy hetman, Potocki, odmówił posłuszeństwa. Nie mieli królowie polscy prawa kassowania któregobądź ze swych ministrów lub urzędników; wszyscy byli dożywotni, tém samém od króla niezawiśli. Zmuszonym więc uczuł się Władysław zwołać sejm. Ale szlachta, porówno z panami, nietylko że nie chciała słyszeć o wojnie na Tatary, lecz z niewypowiedzianą gwałtownością wyrzucała królowi że bez jéj zezwolenia zaciągał wojsko. Przetrzymał tę burzę Władysław; nowy jednak sejm, w kilka miesięcy zebrany, zmusił go nakoniec do rozpuszczenia żołnierzy i wyrzeczenia się wojny.

Zdaje się, jakoby każda sprawa ludzka miała dla siebie wyznaczoną godzinę, w któréj ją wykonać można. Ten czas pominąwszy już się go nie odzyska, a w miejsce pożytków same już klęski stąd spadają. Wkrótce też po owym powtórnym sejmie, wybuchły rozruchy kozackie; a te dopiero wtedy zaczęły być Rzpltéj groźnemi, kiedy z kozakami połączyli się Tatarzy. W samym ich początku Władysław żyć przestał.

(Dokończenie nastąpi.)

B. Kamieński.

BIAŁE KWIATY.

Na pewno tego niepamiętam gdzie widziałem płaskorzeźb wyobrażający wychodzącego z Świątyni Zachariasza a niemogącego otaczającym mówić iż zaniemiał do czasu narodzenia się Jana ś. Chrzciciela syna jego, zdaje mi się że to we Florencyi na tych brązowych bramach Chrzcielnicy ś. Jana o których Michał Anioł Buonarotti rzekł był iż oczekującemi raju na ziemi bramami są, które przenieść jeszcze gdzie raj jest zaniechano.

Za pewne jednak uważam iż tak trudnéj rzeczy jaką jest *rzeźba-chrześciańska;* to niewątpliwie najpiękniejszy może przedmiot. Starzec niemy jest — cisza wielka w około — wszystkie osoby słuchają i pytają razem i odpowiadają razem... milcząc...

Otóż— w jednéj nieskończenie ważnéj kwestyi estetycznéj pod obecne czasy u nas i na świecie w kwestyi, dla czego? (sumiennie rzecz biorąc) *niema nigdzie prawdziwego dramatu,* przyszedł mi na pamięć ze względu na sztukę mówię ów płaskorzeźb florencki.

Kto się niezgorszy prostotą szczeréj prawdy ten zgadnie łatwo bardzo dla czego w literaturze naszéj *dramatu być niemoże*... ale dla czego w żadnéj innéj dziś go niema? — Na to (doprawdy że bawi mię) iż ja jeden śmiem odpowiedzić te *kwiaty białe* zapisując; aby francuz z czasem i inny obcy literat przełożył sobie na język swój wiadomość zkąd ta u nich nieobecność *prawdziwego-dramatu* powstała.

U nas bowiem, to z przyczyny niezmiernie prostéj, czyli, iż literatura nasza nieokreśliła jeszcze ani jednego skończonego typu kobiety a jakoż bez kobiety dramat być ma —? — Nawet sama Marya Malczewskiego, to tylko krzyk jeden kobiety, która *kochanką* nieśmiała być jeszcze, *żoną* niemiała i niemogła. Aldona, jest to wieża śpiewająca— Grażyna w hełmie swym zamkniętym nic a nic już niemówi nawet...— Inne zaś innych kobiety są tylko przegrywkami w antraktach opery *po za ich udziałem* dziejącéj się. — Najjaśniéj przeto widać przyczynę estetyczną nieobecności pełnego dramatu u nas, lubo najniejaśniéj mistyczne i realne to jest społeczne wyjątkowego zjawiska tego źródło i zupełną naturę jego, tak dalece, iż skrzętnie bardzo skracam to.

Ależ — u dzisiejszych pisarzów innego narodu, gdzie ze wszech miar szeroko każdy romansista najmniéj sławny na wszelaki możebny i niemożebny sposób *przedmiot ten* traktuje i uprawia!!!... czemu? mówię tam, serio uważając, pełnéj drammy niema; tego, ile wiem, nikt dotąd niezbicie nieokazał...

Ja też, niedowiodę bynajmniéj po akademicku bo tu wcale niemyślę o tém, tak dalece iż wynikiem tylko jest prawie bezwłasnowolnym, ta o nieobecności dramatu u cudzoziemców i przyczynie jéj głównéj uwaga. Powiem jednak, po krótce, dla czego to jest tak z powodu iż odpowiedź na to krytyczne zapytanie posłuży

mi do toku głównéj rzeczy w tych kilku kartkach zawartej.

Drammy prawdziwéj, niemoże być ilekroć się zatraci pojęcie drammatyczne *ciszy* i pojęcia jéj natur — czyli *jaśniéj* tłómacząc, albo raczéj *szerzéj* tłómacząc założenie powyższe: kiedy się zatracić *basso* w muzyce a kolor biały na palecie malarza, a pion w rysunku; cóż zupełnego tak niezupełne środki otrzymać są w stanie? Nadanie stanowczego kierunku i stopnia *ciszy* w drammatyzowaniu jest dla dzieła téj natury tém, czém w obrocie planety niedotkliwa i niewidzialna planety *oś*.

Kto ma uszy ku wysłuchaniu prawdy ten niech całość jéj wysłucha. Ja, że za wstęp jedynie użyłem jéj tu do prostego spisu kilku wrażeń, wspomnę tylko, dla korzystać chcącego innostronnie. Z wzmianki powyższéj czytelnika, iż niewiem któryby dziś autor bez potknięcia się w śmieszność potrafił dociągnąć tam aż drammy pochód gdzie Calderon zamyka swój i wychodzi już sam na scenę mówiąc:

„Daléj — pisarz drammatu podnieść się niebędąc w stanie...skończył."

U Szyllera bezmowne zupełnie chwile drammy może najwyższemi są poetycznemi jego polotami. Zdaje się że to nie inąd ale *tędy dramma w rzeźbę przechodzi* — co zazwyczaj w tańcu raczéj poszukiwano akrobatyzując przeto monumentalną rzeźbiarstwa powagę. Jakiż barbarzyński błąd tych systematyzujących tak estetyków!...

. . . .

Gdzieżby *Niobe* podziała swoją twarz gdyby rzeźbiarstwo przez sam taniec z drammą ożenione było?...

Albo — zapytanie rubaszne i bez treściwe nic nieopiewające jako myśl, zapytanie Hamleta patrzącego gdy aktor łzy wylewa zapytanie to „...*co jemu do Hekuby*..? byłożby tak wysokie w prozie jego...?

Jakoż — słysząc dopiero natury *cichości* rozmaitych przychodzi się potem do usłyszenia drammy i głębokości wyrazów bezmyślnych, bezkolorowych *białych* (że tak je nazwę) i to zda się być wątkiem wszelkiego dramatyzowania prawdziwego.

Tędy idąc — doszedłbym jeszcze do daleko ważniejszéj rzeczy — to jest do *mianownikowania filologicznego* i że *to* jedynie tą drogą kres swój znachodzić może, czego zasłużony i genjalny Kamiński niewiedział jeszcze, acz my przez jego zasługi położone w rozkładaniu wyrazów dowiedzieliśmy się — ale byłoby to za wiele o tem pisać — wspomnę tylko że-ć *głąb* wszelka jest to i *klęb* i *gołąb* ale daléj.... uciszam się już jako Calderon w drammie swéj.... wiadomo jest wszelako iż w téj pracy to co jest filozoficznym jéj kamieniem; to właśnie że ta znajomość *kresu do którego rozkładając wyrazy objaśnia się* a *od którego już rozkładając je zaciemnia się* zamiast objaśnienia — i ten to kres *mianownikiem* ja zowię.

Patetyczność nie pochodzi od *πάτος* (choroba). Patetyczność pochodzi od *πασχω*......

Tylko *zdrowe-cierpienia* drammatycznemi zdają się być... choroba ma na polu wiedzy pathologię raczéj nie patetyczność.

Różnice tu, na polu sztuki są takie między powyższemi określnikami jak na polu życia np. między *historycznym* a *histerycznym* fenomenem jakim...

. . . .

Jeżeli mówię *cisze różne* to i *wyrazy* one białe, bezmyślne, nieopowiadające nic a których kilka tu i owdzie słyszałem, albo którym raczéj świadkiem byłem bo od tła na którém miejsca swe znajdowały nieodłącznemi są.

To — pamiętam że dawno, dawno — było to jeszcze w roku około 1836, kiedy tak odmienne było całe tło myśli w Europie a *Dziady* pana Adama były mi po-

tężną, *jedyną nutą myśli i uczuć* jak każdemu... te czytałem... Było to w dzień najprozaiczniejszéj barwy, ni suchy ni dżdżysty, o dobie około południowéj i bardzo powszednią barwę mającéj, na zagrodzie ubogiéj ojców moich, gdzie urodziłem się — na prostéj bezpoetycznéj obwodu Stanisławowskiego w Mazowszu równéj jak piaski ziemi — szedłem wzdłuż alei która sad owocowy od warzywnéj ogrodu części przedzielała — alei, bynajmniéj z drzew sędziwych i sadu wcale szczupłego — niemyśliłem o niczem w tak niejakiem miejscu pod każdym względem — — gdy na raz dziewczyna za aleją w ogrodzie warzywnym onym piełąc; głosem bynajmniéj pięknym i niedokończonym tokiem urwanéj pieśni zanuciła:

„...a odjechać od niéj nudno
„a przyjechać do niej trudno...!

Stanąłem jak wryty, myśląc że głos do naczytania się w dramacie Pana Adama piosenki onéj zastósówałem w sobie słuchem moim—ale po chwili znowu najwyraźniéj też słowa tém głośniéj mię doszły:

„a odjechać od niéj nudno
„a przyjechać do niéj trudno..."

„Prosta pieśń" — rzekłem „ale dobrą myśl zawiera".. (widać ztąd także że Mickiewicz z pieśni gminnéj ją przybrał).

. . . .

—Niebieskiéj uroczystości cisze są w *Albano* za Rzymem nad jeziorem które odbija w sobie *Castel Gandolfo* —tam, kiedy zadzwonią na *angelus* a niebo jest chmurki nieświadome i jezioro nieświadome zmarszczki, laury wtedy wiśniowe nieporuszonemi i szerokiemi liśćmi swe-

mi cień jak one cichą rozrzucają po ścieżce krętéj nad wodą a przy skale jak gzyms u gmachu starożytnego uczepionéj. — Po ścieżce téj pojechałem był raz o południu ku *grota ferrata* i powracałem wieczór tąż samą ścieżką a jadąc na ośle zwłaszcza w górach pamięta się dobrze szczegół wszelki na drodze spotkany. Dzwoniono na angelus kiedy zjawił się obok mnie wieśniak włoski na ośle swoim i obadwa zdjęliśmy kapelusze, po krótkiéj modlitwie wraz przez toż uczestnictwo w rozmowę wprowadzeni. — Widząc albowiem wieśniak ów włoch że katolik jestem nie myślił abym był obcym człowiekiem i mówić poczęliśmy jadąc społem o tem i o owem — nawet, o niedoperzach które już świstać poczęły nam w koło kapeluszów że mrok zapadał... Jakoż pomnę, iż włoch, ludowym opowiadał mi sposobem starożytną bajkę grecką o Prometeuszu i Epimeuszu przetłumaczoną na ten sposób iż Pan Bóg ptaszka stwarzając błogosławił mu a zły duch coś lepszego wymyślić chcąc dał życie niedoperzowi..... Takie to różne rzeczy mówiliśmy nogi mając wolno w strzemionach naszych i opuściwszy cugle niepotrzebne gdy osiołki po wązkiéj jak miedza polska, skalistéj wiszarze—pod spadzistą skałą a nad jeziorem; próbowały uważnym kopytem raźno zdążać...

Na raz—osiołki stanowczo wstrzymały się a my siedząc na nich poczuliśmy że o zaporę uderzamy; lubo, dla mroku zupełnego dostrzedz od razu trudno było co zamurowało ścieżkę wązką tam jadąc tak dobrze już poznaną. Był to zaiste odłam skały tak jak szeroka droga na którą się ze szczytu góry stoczył wielki zupełnie więc zamykający przejście... Kiedy przeto siodła opuściwszy oprowadzaliśmy jak można było osły nasze, sami przez głaz przełażąc... rzekłem do towarzysza włocha... „przed kilkoma godzinami przejeżdżałem tędy cwałem za dnia i pamiętam na pewno iż tego

głazu nie było tu..." A on chwilę przemilczał—potém, uchylając nieco kapelusza (jak przy zagajeniu rozmowy naszéj na Angelus) w pół monologowym akcentem rzekł.... „ten kamieni rodzaj nie upada kiedy chrześcianie są na drodze... ale... kiedy nikogo niema to one się tu staczają z wierzchu skał... bywało...

— Teatr i dramma współczesna, aby sądzić do ila z tego punktu widzenia, uważając je, krytyki nie wytrzymują i umarłemi są, to trzeba i *innej natury ciszę* jaką, z teatru deskami zbliżoną, uczuć i dotknąć jéj.

Kiedy — o południu wśród tłoku i gwaru na wschodach do izby poselskiéj wiodących śmiercią Cezara upadł Minister Rossi, a krew wstęgą krzywą od szyi mu się na ścianę zatoczyła do odpasanéj szarfy podobna... nadszedł, po niewielu godzinach i on harmonijny wieczór włoski i księżyc zanim o chwili sobie właściwéj wytoczył się na niebo, tylko że przesłoniony (pamiętam) chmurą wązką jak kiedy prosty człek rękawem ociera czoło swoje—albo oczy przysłania...

Minister, miał był zwyczaj w znanym kącie loży czerwonym aksamitem wybitéj, jemu tylko należnéj, w teatrze, o spoźnionéj godzinie siadywać; a ktokolwiek uczęszczał na operę pamiętał mimowolnie, że medalowéj czystości rysów profil, z wiadoméj strony od wchodu do sali o pewnéj godzinie należy mu się widzieć. Nocy téj — takim jako się rzekło księżycem oświeconéj czemu grano *po pierwszy raz* na operę przerobionego Machbet-a... to, kazuistyczne tylko dziejów teatru filiacie wytłumaczyćby (nie najzupełniéj napróżno) może i potrafiły.

Pamiętam — że przez ciche, bez pieśni i mandorlinów i rozmów zazwyczaj raźnych ulice, może i nie ja jeden dla tego się udałem *do teatru aby publiczność widzieć*...

Chwila otworzenia kortyny wedle codziennego programmu gdy nadeszła; znaczna liczba widzów w przysionku teatru nienajjaśniéj oświeconym i po kawiarniach

bliskich, *gdzie nikt dziennika ze stołu niepodejmował* nieporządnie przechadzała się.... Po niejakim czasie weszła garstka a połowa jéj wyszła i weszła znów— muzyka rozpoczęła uwerturę... W wyższych lożach tu, owdzie, parę osób niestrojnych albo niespodziewanie strojnych dam parę pokazało się. Niektórzy wychylali się i oglądali na około jakoby afektując iż widzieć chcą oblicze i liczbę publiczności, nareszcie za rozwinięciem opery sformowała się pewna całość gości używających teatru z nawyknienia jak gdy o pewnéj dobie hygienicznie kto nawykł w wiadomym kierunku bez celu przechadzać się...

W miarę jednak, jak opera przez treść swą w dramę i tragedią przechodzić z czasem zaczynała; pusta loża ministra Rossi nieoświecona jako inne (iż familijna była) ciemno-purpurowe, aksamitne wnętrze swoje ku światłu jak wielka rana odmykając, uprzedziła wrażeniem magiczną oną Shakespearówskiéj tragedyi chwilę kiedy cień zasztyletowanego Banko na pustem krześle przy uczcie teatralnéj zasiadać ma... I poczęło się grać pomiędzy publicznością a sceną to co Shakespear w Hamlecie obmyślił był aby zagrać tragedyą na dworze scenę na scenie dając... i kto wtedy publiczność a scenę widzieć tam przyszedł był; to w czasie kiedy aktor, Banka cień przedstawiający wynika z trapy swéj ranę czerwoną pokazując; znajdował się sam pomiędzy teatru pełnią a pustką loży Ministra jako Hamlet u nóg Ofelii... i niedowierzał sobie sam że widzem przytomnym jest, albo: i tu i tam Shakespeara tylko aktorów grających widząc baczył ażali sam jeden Shakespear chyba widzem prywatnym gdzie nie stoi....

. . . .

Takich to *cisz* akordy straszne są samą głębokością sądnych kombinacyj swych, przytoczyłem zaś on powyższy zarys na to aby *białe kwiaty* stósowny sobie

miały cień, *lubo nic tu się nie pisze coby nie było uszczknięte że tak powiem z niw natury rzeczy* i jeżeli mniejsza jest cokolwiek nieobecność stylu jaką użyłem w *czarnych kwiatach;* to o tyle tylko o ile jest wcale niemożebnym uniknąć sztuki, owszem o ile ta w téj sferze sprawuję prawdę przedstawienia.

Błogosławiony i szczęśliwy pisarz który prawdziwéj patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże — *pisarz i człowiek każdy!* — lubo często te, nieledwo wcale od nas zależeć nie zdają się. — A są tém piękniejsze z tego je stanowiska ceniąc, im mniéj jako idea i myśl zawierające w sobie — im niéjaksze...

Często: że je określać trudno, zapominane są i mało baczone... zaiste — nie kryję iż uprzytomnianie ich sztuką pisania bacznéj bardzo pilności wymaga...

Mniemam wszakże, że byłoby zarówno pięknie jak *zdaje mi się koniecznie prawie* aby sztuka polska pod tym względem *pierwszą się* w europejskiéj dzisiejszéj literaturze jawiąc; słupy swe żelazne zakopywała stanowczo i wyraźnie. Nowego budynku estetyki niebezpieczna jest systematami, najbezpieczniejsza prostotliwą parabolą z życia bezstronnie przyjętą, uczuciem utwierdzać... A zaś *świadomość paraboli* sama przez się coraz dalsze pokaże kresy, braki, dobytki...

Pamiętam kilka słów zaszłych mi w drogę tu i owdzie które najdobitniej uprzytomnieć mogą ogólny zarys moralny i estetyczny tych notatek. — A przytacza się je (jako każdy dobréj woli czytelnik zauważyć potrafi) z wdzięcznością nawet iż za wskazówkę poszukiwań prawd estetycznych, posłużyły. Żadnéj myśli nieokreślające słowa powiedział mi raz jeden z najpoważniejszych obywateli w Europie, kiedy w onych niedawnych łunami rewolucyi świetnych latach przybyłem z Rzymu do Paryża. — Starzec ów znakomity, pogodnie rozmowę zagaiwszy pytał mię o Rzym starożytny — ile? — gdzie? —

jako? odkopywanie starożytności postąpiło... odpowiadałem był jako osobie dotykalnie rzecz znającéj i jako się mówi z kimś co w rozmowy celu niknie przez to iż przedmiot szczerze zna — że taka, rozmowa w sobie saméj żywot ma, wypadło mi najprościéj dla porównania postępu prac zapytać — *a kiedyż książe Jegomość ono forum-romanum widziałeś?*.. Odpowiedź była najprościejsza, którą jednak w notatki słów onych powyżéj określonych zamieściłem — odpowiedział mi był książe — „*to było w przeszlém stuleciu*“. Trzeba być zaiste wywikłanym z fałszów estetyki schorzałéj formułek aby śmieć wytykać i poszukiwać dróg odbudowania szkoły nowéj w *Sztuce* czy to w *literaturze-sztuce*, wszelako, coraz bliżéj (śmiem to zapowiadać) zobaczycie już w Europie kierunki te na jaw wychodzące; trzeba więc aby młoda szkoła polska baczną była.

A inne znowu słowa w Londynie np. które przytrafiły mi się, dały mi to dostrzedz jak jest łatwo poddać się formułkom czczym bezpatetycznéj dramy.

Artysta, też i ludowego pierwiastku czciciel; mieszkałem tam w najuboższym prawie domku najuboższéj miasta części — Wieczorem raz, przy świetle sam zostając nieuważałem iż ktoś wszedł, zwłaszcza iż angielski klimat wilgocią swą przygłuchnięcie może chwilowe zwiększył... Mąż, postaci zacnéj (i rycerskiéj nawet twardością rysów swych) stał przedemną laskę grubą trzymając—wstałem i przywitałem: „Niewiem, rzekł gość jak się odezwać mam: *Obywatelu, ziomku, rodaku czy Panie*“ Dekoracye téj sceny były więcéj niż zaniedbane a ja mniéj starannie od gościa osłonięty — „Proszę usiąść“ odrzekłem—„nie!,—na to przychodzień—„pierwéj niech wiem odpowiedź“... „Otóż, rzekłem, widzi pan, można powiedzieć *Panie* i powiedzieć *Bracie*, powiedzieć *bracie* i rzec przez to *panie* i wszystko w tém (wedle estetyki polskiéj) zależy od tego jako się powiada albo

słyszy—a ktemu *aby widziano, dotykano i słyszano słusznie, toć są sztuki piękne odpowiadające wzrokowi, dotykaniu, słuchowi*... tych sprawiedliwe uprawianie czyni .... a muzyka już u nas przecie kwitnie..."

Tak—oto coś począłem mówić, gdy przychodzień pięknym mężkim głosem rzecze: „To najlepiéj rodaku!" ale przycisk taki był na literze pierwszéj, iż w głuchocie méj dalsze mi zniknęły, światło przytem mdłe i postawa i laska gruba uczyniły razem iż zdało mi się nie *rodaku* ale *rrrobaku!* usłyszeć.

Że bez śmiechu to notuję jako potrzebny odcień w zarysie tym, proszę również tak przyjąć; *nie celem mi tu śmiech ani środkiem nawet.* Innych, pewniejszych środków bliskie jest to pisemko z siebie samego. Biały-ć i to kwiat!... bo zarysem jego było *serio* i *dramma* ale widno do ila własnego tu wyrobu estetycznego i pojęcia patetyczności własnéj zbywa! Może, w innych poszukiwaniach innych dróg na innych polach posłużę i ja komu za objaśniające śmiesznością swą światełko..... wszyscy służymy... estetyka, zaiste że narodowa polega na tém...

. . . .

Ktoby myślił że poszukiwania świadome nowych estetyki zdobytków byłoby na polu szerszym, po francuzku naprzykład stósowniéj wypowiedzieć, myli się—Swobodnie tu jest i przystępnie wszystko w tym wielkim i zacnym narodzie, dla którego szacunek mam świadomy siebie ale..... możeby trzeba *władzę* pierw mieć albo *systemat* sławny na to, a obie te rzeczy wprost przeciwne są celom takowéj i mojéj pracy — Mistrze zaś wielcy w sztuce, choć to i usłyszą i zrozumieją; *cierpieć będą że nic k'temu nie uczynili a nie uczynią nic!..* czekając zawsze aż uczeń mistrza a pokolenie zakasuje pokolenie zkąd *ciągu* niema i mieć niemoże tak rozwijana

sztuka... *konkurrencya* na polu *postępowi* jedynie dostępném jest najprostszym absurdum, a *emulacyą* zabije zawsze *konkurrencya* i energię twórczą wyniszczy.

Lubo nie ma co się tam przecie *ścigać* gdzie dróg jest nieskończona liczba — to tylko jak się jedną drogę widzi ścigać się może jest konieczném, i to jeszcze może!... Przy tém, *nieświadomość wartości elementów komiki i satyry*, wyniszczy tu zawsze siew téj niwy...

. . . .

Ciszy w najkolosalniejszym słowa tego tonie, niedoznałem nigdzie jeszcze wyższéj nad ciszę o jednéj nocy acz zimowéj na Oceanie... że słów na to niema, mimo iż twarda to i prawie głodna podróż dwumiesięczna przeszło była i uprozaiczniała dobrze... pomnę iż obejrzawszy się w koło ani modlić się nawet słów niemiałem — *i zapłakałem tylko... że może być tak wielka cichość...* a przecież tyle mórz piérw innych znałem...

Izraelicie, towarzyszowi podróży, którego raz w życiu napotkałem i to na okręcie; patetyczne rzeczywiście winienem także słowo—Był to młodzieniec światły, w filologii i filozofii także niemieckiéj biegły, historię téż znał i o sztuce miał wyobrażenie — umiał on i po polsku parę wyrazów, bo acz za granicą wzrósł, pamiętał że dziecięciem w Polsce był, jak to mówi się czasem u nas szlachty: *był to żydziak.*

Jedliśmy nieraz razem z jednego naczynia ryż gotowany, zwłaszcza kiedy trudno było gotować z powodu iż burze kuchnię rozbijały a *fale wyższe masztów* przechodniem na statku pomiatały. Bo to była też niebezpieczna żegluga, dwa okręta współpłynące rozbiły się, jeden, *rozbity* widzieliśmy na własne oczy.

Wiele razy na zwojach sznurów z izraelitą owym całe noce rozmawialiśmy po francuzku o polityce, historyi, filozofii, estetyce, o Religii Chrystusa Pana i o talmu-

dzie i o Mojżeszowem prawie i o nie wiém już czém. Gdy nadeszła niedziela (jedna z tylu *niedziel*!) że ubierajac się w kajucie, przymknąłem nieco drzwi, patrzę, aż ręka się przez szparę z niedomknięcia drzwi wynikłą wsuwa podając mi *różową flaszkę olejku do włosów i bieliznę świéżą:* rzeczy domyśléć się łatwo jak kosztowne i rzadkie tam, gdzie już *wodę* bardzo oszczędnie rozdawano, i przy broni nabitéj aby ludzie się o wodę nie pobili... Izraelita wszakże przynosząc mi te rzeczy wiedział z innych niedziel po saméj książce do nabożeństwa spotykanéj u mnie, iż dzień ten wyróżniać zwykłem. Otóż mówiłem z nim wiele, wiele różnych rzeczy...

Jednego razu w podłuż statku miotanego ogromnemi falami chodząc, że spodziewano się znaczniéjszéj burzy w nocy, ruch był wielki i krzyki rozkazów szczególniéjsze niż dotąd... a że chodząc tak przed oną oczekiwaną burzą mówiliśmy żwawo coś o Bożoczłowieczeństwie Chrystusa Pana naszego, interlokutor mój przymilkł jakoś na chwilę i ja za nim; — potém wskazując mi na fale rzekł: „A więc wierzysz i w to że Messiasz chodził po falach jak po ziemi...“

„Wierzę“ — odpowiedziałem...

. . . .

Po niejakim przestanku obustronnym, widząc iż mój interlokutor Israelskiego jest wyznania a światły człek, dodałem:

„Przypominasz sobie zapewne moment i okoliczność w których Pan przez morze szedł (boć czytujesz Ewangelię ze mną razem, kiedy mi hebrajskie czytanie na tłomaczeniu nowego testamentu w wolnych chwilach pokazujesz), był to więc moment, kiedy już rzesze całe w najwyższym stopniu zaczęły się za Chrystusem Panem porywać *w zapale tłumnym* — lada chwila królem już ziemskim mógł być okrzyknięty... otóż uchadzał w ten czas drogami najmniéj od rzeszy znanemi...

w takiém to położeniu raz przez powierzchnią morza szedł... akt był logicznie naturalny, wynikł z rzeczy saméj, jeżeli jako widzisz na *maleńkiéj ziemi* syryjskiéj zostawszy Panem, to wystarczyło już aby panem oto był *wszech ziem* — tam, więc gdzie owa ziemia maleńka kończyła się też i cała ziemia z lądami swemi; a zaczynało się morze... powiesz mi (lubo filozof jesteś) a czemu to tak nie pójdziesz bracie, aby pokazać mi że tak jest? *zmierzże pierwéj proporcję moją do Pana mego*— tudzież uważ ażali on *aby pokazać to czynił tę sprawę*, czy nie raczéj *aby ukryć dostojność swą*....

„*To jedno ci powiem,*“ (mile tu wspominany, a raz spotkany) Izraelita rzecze mi że: *jużci Chrystus Wasz był to może najidealniejszy człowiek*....

. . . .

Książe pewny, z zacnego a wielmożnie historycznego szczepu (bo hetmanów rycerskich między swemi dziady mający) był téż od niejakiego czasu w Ameryce *obywatelem Rzpltéj* zostawszy, i na piękném przedmieściu miasta New-York, które to przedmieście zowie się Broklyn zamieszkiwał. Wiele mu winienem chwil przyjemnych i przyjacielskich usług, a usługi mówię dla tego bo jest rzadkiéj uprzejmości serca człowiek. Kiedy wielkim smutkiem dotknięty po oném wybrzeżu przechadzał się raz ze mną, a słońce właśnie ku zachodowi miało się chmurą mocnémi promieniami przeszytą, osłonięte, widać było o‿podal *wzgórze małe* zielonėm w‿ówczas porosłe żytem w kłosach właśnie będącém— daléj, szeroka rzeka srebrzyła się pod słońca jasnością, *fortecy małéj mury na brzegu jéj i okrętu* tuż resztka czerniły się...

Niepamiętam o czém mówiliśmy... ale mówiąc rzeczy rozmaite pamiętaliśmy do koła spozierając że okręt ten zachowała do dziś Ameryka, na pamiątkę męża, co na nim przypłynął z Europy...

Wzgórze zielone i forteczka, pamiątkami są narodowemi kędy mąż ów anglików zbił, a cofających się żołnierzy swych utrzymał tam nieraz odwagą osobistą... I pamiętaliśmy jeszcze że towarzysz przechadzki méj z poważnie historycznego a książęcego rodu pochodząc; liczył pomiędzy żeńskiemi przodki swemi właśnie że onego wsławionego w Ameryce polskiego bohatyra najukochańszego ulubioną...

Bohater ów — łacno jest wiedzieć że Kościuszko a zaś ulubiony wielkiego wygnańca tego, (przez ród jéj niegdyś wzgardzonego)... był właśnie ze mną tam wygnańcem i zamieszkałym nieledwie że na pobojowsku które sławę Kościuszce zjednało!

Książe obywatel Rzpltéj amerykańskiéj przyjmował radośnie to: *wet za wet po wieku...*

CYPRYAN NORWID.

USTĘP Z WITA STWOSZA.

POEMATU WINCENTEGO POLA *).

W onych to czasach piękne miasto wzrosło
W pośrodku Niemiec Norymbergą zwane,
Co się i pilnie i kunsztownie niosło,
I po wszej Hanzie było ze czcią znane.
W jego to bramy ja was dzisiaj wiodę
Bo tam to zwłokom poczciwym się legło.

Było na wiosnę i w piękną pogodę,
Na wiek szesnasty dobrze już nabiegło,
Miasto w gotycki filigran dziergane,
Z czerwonej cegły drobno wyrabiane
Strzeliło strojnie ozdobnemi szczyty
Z za baszt i murów w majowe błękity
A nad tem strojném i rządnem gniazdeczkiem
Wzniosła się góra z rycerskim zameczkiem
I po nad miastem mkną stadem gołębie
A nad zameczkiem ważą się jastrzębie.

*) Ustęp ten czytany na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

I tak się prawie wydaje gród stary
Jakby sen piękny, któren ludzkość miała
W wieku natchnienia i gorącéj wiary,
Co cudem niby skamieniał do cała.
Tam na zatyłku nie wielkiego domu
Co niesłużebny, nie dłużny nikomu
A jak klasztorek cichy i zamknięty
Wybiegł szczyt domu w korunkę opięty,
W mały ogródek kędy pośród sadu
Stoi ławeczka w cieniu winogradu.
I drzwi brzęknęły, a niewiasta młoda
Przez próg ostrożnie rękę komuś poda
I wyszedł starzec — a ona prowadzi,
I na ławeczce w cieniu go posadzi.
Czarny gorsecik złotem bramowany,
A na jéj głowie namitka w przeźrocze,
Jakby się przyjrzeć nie śmiały i ściany
Temu co w twwarzy dziewiczo urocze
U szyi wisi przeźroczysty krzyżyk,
I drogo złotem dziergany szkaplerzyk,
I przez zasłonę świeci brylant w uszku
A kieszeń wisi z boku na łańcuszku.
Siadła i w ręku już robotę trzyma,
Ale na starcu spoczęła oczyma.
I któż to będzie ten starzec w żupanie?
O! kto nań okiem choć z przypadku rzuci,
Temu źrenica pewno w miejscu stanie
I już od niego duszy nie odwróci;
Bo jakaś wielka i dzielna wspaniałość
Świeci od czoła zoranego znojem,
W całej postawie jakaś dziwna stałość
Przemawia ciszą i wielkim pokojem;
A jednak robią jeszcze brwi krzaczyste,
Jakby wikłane przez burze wieczyste;
A przytém dziwna jakaś myśli żywość,

Swiadcząca temu jaką była stałość,
Ale po wszystkiem rozlana jest tkliwość,
I choć spokojna ale wielka żałość,
I rycerz niby z siły i odwagi
Jakby się z bronią tylko w boju nosił,
A kapłan niby ze czci i z powagi
Jak gdyby światu słowo boże zgłosił.

Kto jest ten starzec? kto jest ta niewiasta:
I zkąd się biorą w tym zakątku miasta?
Ona do starca dziwnie jest podobna,
Tylko że w sercu nie jest tak żałobna
Tylko że czysta jako Bóg ją stworzył,
Kiedy swą gwiazdę na czole położył,
A on już takim jakim świat go zrobił
Nim się starości i téj ciszy dobił.
Tylko że tutaj wszystko wiosnę wróży,
A tam już zima po jesiennéj burzy.

Lekki wiatr musnął po krzewinach sadu
A starzec spytał—„wszak tam pięknie pono?
Podaj mi dziecię listek z winogradu
Po szmerze wiatru słyszę że zielono?
Moja dzieweńku a co tam się dzieje?
Coś orzeźwiałem, a zkąd to wiatr wieje?“
A ona rzekła — „wiatr wieje od wschodu“—
„To od ojczyzny—od mego narodu!“
Rzekł starzec rzewny i głową w tył rzucił,
I znać tym wiatrem myśl zgrzybiałą cucił.
I spytał wnuczki — „co to robisz dziecię?“
Koronkę nizam—rzekła mu życzliwie —
„O gdy się bawisz dziecię tak cierpliwie
To ci coś powiem!“ —
— Proszę gdy raczycie! —
„Tyś już ostatnia moja jest miłości

Jako krew ze krwi, i jako kość z kości!
Tobie mój żywot wnuko znaćby trzeba
Nim mnie Pan w łasce do siebie powoła,
Nim zeszle do mnie swojego anioła,
A oko ciemne ujrzy znów blask nieba.
Czuję to wnuko że się koniec zbliża,
I bardzo tęskno mi w téj długiéj nocy,
Lecz czuję także żem jest w Bożéj mocy,
Bo patrząc w niebo widzę znamię krzyża!

Czyś ty widziała wnuko ukochana,
Onego orła? pełnego potęgi
Co jakoś czyta z ócz świętego Jana
Kiedy apostoł składa święte księgi?
Takim ja orłem dziécię byłem z młodu,
Gdym śród wielkiego ocknął się narodu,
I jak ów orzeł jam z pod świętéj stopy,
Przy łasce Bożéj brał w niebo pochopy.

Czarna mię dola w te kraje zaniosła,
Żal mi cię wnuko żeś tutaj wyrosła!
Jam się urodził w Polsce i w Krakowie
I z tchnień ojczyzny brałem wielkie zdrowie.

Tyś nie zaznała już onego miasta
Co się nad Wisłą w równinie rozrasta,
Jako mój naród jest rycerz oręźny,
Tak twierdzą jego, jest ów gród potężny;
Bo jest w ogniwa mnogich baszt ujęty,
Floryańską bramą jako pierścień spięty:
A wielce rządny i bardzo ozdobny;
A kształtem dziwnie do orła podobny;
Bo orła głowa to zamek w koronie,
Szyja i nogi to grodu ulice,
A piersi — rynek strojny w Sukiennice,
A bujne skrzydła rzucił na dwie stronie,

I srebrne puchy tak nastrzępił srogo
Że mu się ludzie wydziwić nie mogą.

Inni znów dzieją że ów Kraków stary
Ozdobnéj lutni przypada do miary,
Na któréj Pan Bóg sam nawiązał strony
Aby grał światu jako lutnia wcale,
Bo te kościoły niby pieśni tony,
Co przyświadczają wielkiéj jego chwale.
Inni znów dzieją że ten gród ozdobny,
Do rycerskiego łuku jest podobny,
A naród jego to niby cięciwa,
W ręku rycerskim jako strona żywa.

Jak orzeł hasłem jest polskiéj korony,
Jak lutnia Pana na niebiesiech chwali.
Tak téż jest rządnie i gród postrojony,
Tak chwalą Pana i wielcy i mali.

W królewskim zamku Król zasiadł na tronie
A przy nim zasiadł Biskup na stolicy,
A wszystek naród chadzał po zakonie,
Jakby wziął z daru rószczkę gołębicy;
I kogo Pan Bóg wysoko posadził,
Ten jako gwiazda w méj ojczyźnie świeci,
Bo ma to zdane by o drugich radził
Z tąd się dźwigają i maluczkich dzieci.

O moja wnuko żal mi bardzo ciebie
Żeś się schowała tu między obcemi
Bo tu nie świecą gwiazdy tak na niebie
Jako tam świécą ludzie swojéj ziemi.
Na co człek patrzał dziwnie w sercu grzało
Więc każdy sobie za drugiemi w tropy

I człek brał z Boga i z ziemi pochopy
Bo co się działo, na prawdę się działo!

Jam urosł zdrowy, silny urodziwy
I w całém mieście nikt mi niebył krzywy,
Bom się już z młodu wziął do dobréj pracy
Stojąc przy cechu — a byli tam tacy,
Co przed oczyma stali jak wzór żywy,
I kierowali do pracy poczciwéj.

Wielka tam piecza jest o rzeczy Boskie
Jako klejnoty starego Krakowa
Swiadczą tam Panu kościoły Piastowskie.
Alboż ów zamek — co tam za budowa!
Jakie krużganki — jaki dworzec pański,
Alboż po zamku biskupia stolica.

A w samem mieście, co za dom hetmański!
A jaki rynek,— ratusz,— sukiennica!
A po tych domach w jakież upominki
Każdy patrycyusz, każdy cech się zdobi?
Czego tam snycerz i złotnik nie zrobi?
Czego niemają nawet miejskie synki?

I byłem czysty, i jeszcze bez grzechu,
Gdym się wyzwolił już w malarskim cechu,
I miałem w ręku już kawałek chleba,
I czekać było tylko łaski nieba.—
„Bóg dopomoże!“ mawiał mistrz;— „Bóg żywie!
Czas na cię Wicie— popracuj cierpliwie;“

To też niechciałem słowom mistrza kłamać
I ciężko z dłutem począłem się łamać;
Mistrzu! nie dźwignę, wołałem przy pracy,
A mistrz mi na to,— bywali już tacy,

Co krew oddali z żywotami swemi,
Nim się dobili obiecanéj ziemi!—

Więc bardzom bolał, lecz na me pociechy
Pan mi sen zesłał z rzadkiemi uśmiechy.
We śnie niewiasta stanęła przedemną
Dziwnie anielska bardzo urodziwa,
Cała owiana zasłoną tajemną
Wdzięcznie zakonna; i miłością żywa
Przed sobą lampę gorejącą niosła
Niby to jedna z mądrych dziewic wieńca,
Które witały w piśmie oblubieńca.
Jam téż ją przyjął jako niebios posła.

Ktoś ty jest Pani? pytałem nieśmiele.
A ona na to — czy mnie kochasz Wicie?
I rzekłem płacząc: kocham bardzo wiele!
I będziesz kochał?
Będę całe życie!—

To patrz w to światło! a światło w jéj ręku
Zagrało cudnie kolorami tęczy,
I chór Aniołów przeszedł się po łęku,
I w siedmiu tonów w siedmiu barw obręczy
Stanęła czysta na niebiesiech Panna
I głos słyszałem — „hosanna — hosanna!“
I osłupiałem — a mądra dziewica
Z bożem natchnieniem spojrzała mi w lica,
I rzekła do mnie: — oto twoja droga —
I od téj lampy duszę twą zapalę
I będzie świecić na tę chwałę Boga
I będzie służyć wielkiéj Jego chwale.

I w surowości stanęła zakonnéj,
I z owéj lampy tęczami płonącéj

Na moją głowę zlała oléj wonny
I strzelił w niebo płomień gorejący.

I jako Ducha Świętego zesłanie
Język ognisty nad głową mi stanie.
A gdym się wlepiał w te anielskie wdzięki,
Dziewica krzyż mi wcisnęła do ręki,
I w chwili krzyż ów urosł tak ogromnie,
Że całą duszę przyległ mi ciężarem;
I cóż ja pocznę Pani z twoim darem?
Płomień twój pali— a krzyż mnie twój gniecie!
A ona na to rzekła w smutku do mnie:
„Krzyż ci puścizną będzie na tym świecie,
I tylko wówczas zdołasz go podźwignąć
Jeżli z miłości nie będziesz tu stygnąć
I za tym jasnym i czystym płomieniem
Przejdziesz po ziemi duchem i sumieniem!“

To rzekłszy znikła, a jam mówił sobie
Co ten sen znaczy?— Czy krzyż wróży zgubę?
Czy to Pan może stawia mię na próbę?
Gdy mi krzyż dała— to i krzyż odrobię!—
I wziąłem dłuto, i rzekłem— co żyje,
We mnie po Bogu w miłości i cześci
Niechaj to chwali te Pańskie boleści!
A niech o Bożą mękę się rozbije
Co nie jest człeku do nieba przewodem
Co nie jest z ducha ale ze krwi rodem!—

I był to prawie post czterdziestodniowy
Kiedym się przybrał do pracy surowéj—
I już niepowiem jakom bardzo bolał,
I ilem razy pracę łzami polał.
Gdy przyszło dłutem wznowić Pańską mękę
I przebić stopy i przebić mu rękę,

I wcisnąć z ciernia koronę na głowę,
Tom utrapienia cierpiał judaszowe!—

Ale gdy przyszło Panu bok otworzyć,
Na to już w końcu nie stało odwagi;
I grzeszne dłuto musiałem odłożyć,
Bo Pan przedemną stanął wprawdzie nagi
A bez obrony jako na Golgocie.
Więc jakaś dziwna trwoga serce zdjęła
Jakby mię szatan opętał w robocie,
I uciekałem od mojego dzieła.
A spasowany w tym ciężkim frasunku
U Sakramentów szukałem ratunku.

W kaplicy naszéj zakonnik zasiadał
Co jeszcze ojca mojego spowiadał,
I gdym się w żalu do stóp jego rzucił
Bardzo się z razu nademną zasmucił,
Bo patrząc na mnie i moje zmieszanie
Kiedym wymówić słowa niebył w stanie
O moją duszę począł się już trworzyć—
Więc koił duszę słowami pociechy:

„Co ci to Wicie — jakie twoje grzechy?—“
A ja mu na to — „Wielką cierpię mękę!
Bom do boleści krzyża ściągnął rękę,
I mam bok Panu na nowo otworzyć
A tu do pracy nie staje odwagi!
Bo Pan przedemną stanął wprawdzie nagi
I duszę szarpią zgryzoty Judasza
I pada na mnie ta krew Messyasza!“

Na to rzekł kapłan — „a zaprzaj się siebie!
Krew ta co pada odkupiła człeka,

Syn w Trójcy Swiętéj króluje na niebie
A krzyż podany od wieka do wieka.
Dobryś jest chłopcze iż miłujesz Pana
Otóż i za cię była krew przelana;
Bóg wielki ciężar z twojej duszy zbierze
Bo chwały Pańskiéj twą pracą przymnożysz,
Kto Pana bluźni ten mu bok otwiera
Ty za pokutę Panu bok otworzysz!"

I było prawie w najświętszą rocznicę
Kiedym do domu powrócił z kaplice
Bo w Wielki Piątek — więc z wielką pokutą
Lecz z czystem sercem ująłem znów dłuto
I otworzyłem ranę jak kazano.
I ani w niebie już straszliwszéj wieści
Ani na ziemi większéj już boleści
Nie było pono; — jak kować tę ranę! —

Tom krzyża tego téż niedał nikomu,
Jako go wziąłem z wiary tajemnicą —
I był puklerzem przez wiek mego domu
I wraz go tylko opuszczę z gromnicą.
Gdym ten krucyfiks zaniósł był do cechu
Rzekł mi mistrz stary — „widzę żeś bez grzechu!
Bo służysz Panu robotą poczciwie,
Więc cię nawiedzim w twym domu życzliwie!" —
I przyniósł z sobą cechowe puhary,
I poczcił dom mój w znak łaski i wiary. —

DERWISZ TRZECI.

(Powieść tłumaczona z perskiego.)

...Na wezwanie Szacha, trzeci z kolei Derwisz, [1]) powstał z miejsca i zwracając mowę to do Jego Książęcéj Mości, to do obecnych spółderwiszów, tak opowiadał przygody swoje:

Królu! Sam ja, twój sługa, byłem udzielnym rządzcą bogatéj krainy Fars. Pamiętam, pewnego dnia, gdym szczęśliwy i młody, siedział na tronie moim śród koła stojących urzędników i sług moich, rozmawialiśmy sobie o starych czasach. Ludzie co świat widzieli i uczeni, a takich nie zbywało na dworze moim, zabierali głos. Chwalono wielkie serca i wysokie rozumy przodków,

---

[1]) *Derwiszem*, w muzułmańskich krajach, nazywają człowieka co ślubuje żyć dla Boga i dla prawdy, i w tym celu podróżuje. Wyjęliśmy tę powieść z bardzo popularnego w Persyi romansu *Padiszah u czehar derwisz*, „król i cztérech derwiszów", nieznajomego jeszcze w Europie, nawet z tytułu. Opowiadanie prozą, przeplecione cytacyami z poetów narodowych. Formy téj już używał nasz Krasicki w listach swoich.

usta sprawiedliwego Nuszyrwana, rękę szczodrego Hatem Taja. Na wzmiankę tych dwóch imion wiekuistéj sławy, rozmowa ożywiła się i zagrzmiała. Rozprawiano czém się to dzieje że sprawiedliwość i hojność, że dobre imie ich zwolenników, niby perła na fali potoku wieków, płynie z pokolenia do pokolenia, przez gruzy państw i ludów, a zawsze promienna, zawsze droga. Jeden z doradców moich mówił:

Hatem był rodem z beduińskiego plemienia Taj. Jego ojciec przewodził koczowisku. Bezprzykładna hojność darów Hatema, sprowadzała zewsząd tłumy. Przekonani coraz liczniejszemi dowodami że Hatem żyje nie dla siebie ale dla bliźnich, składali czoła u nóg jego, uznając go panem swoim dobrowolnie. Odednia do dnia miłosierdzie i wielkość jego szerzyła się daléj i daléj po przestworze świata. Powiem wam jeden przykład szczodrobliwości Hatema. Pewnego razu Nufel, wódz koczowisk plemienia Beni-Amir, wypowiedział wojnę Hatemowi i zebrał wojsko. Dowiedziawszy się o tém Hatem nie chciał być przyczyną rozlewu krwi ludzkiéj, i tajemnie uszedł z koczowiska, z wielką osobistą szkodą i poświęceniem się, gdyż Nufel zazdrościł bogactw i sławy jednego tylko. Jakoż wszedłszy do bezbronnego koczowiska Beni-Taj, rozbojem i przemocą zabrał cały dobytek Hatema, siadł pod jego namiotem i kazał obwołać że: „kto mi przyprowadzi tu Hatema albo wskaże miejsce jego kryjówki, otrzyma w nagrodę sto dinarów złotych. Wielu wnet arabów rozbiegło się po okolicy, konno i pieszo trzęsąc wszystkie zakąty i ustronia, w nadziei obiecanych dinarów. Pieniądz łudził. Cały ten dzień, do nocy, minął, zbiega nieznaleziono. Hatem siedział ukryty w głębi pewnéj jaskini. Gdy noc ściemniała, przychodzą do niéj, starzec, staruszka i dwoje nieletnich dzieci. Zdaje się że ta jaskinia była ich mieszkaniem. U drzwi rozłożyli ogień i nie mając co jeść,

głodni do snu się kładą. Żona spytała męża: czemu dzisiaj nie przedałeś drew twoich? kupiłbyś chleba dla dzieci. Mąż na to: Nufel amirejczyk, najechał koczowisko, Hatem uciekł, lud burzył się. W popłochu i wrzawie nikomu ani na myśl nie przyszło drwa kupować. Tém bardziéj że Nufel obiecał tym którzyby pojmali Hatema albo donieśli gdzie on, kupę łask, darów i pieniędzy. Lud szukał zbiega. Na to żona: Oto żebyśmy wiedzieli gdzie Hatem! donieślibyśmy i odrazu oswobodzili się na resztę życia z biedy i kłopotów. Hatem słyszał to wszystko, dał im przespać noc spokojnie, a jak rozedniało, przychodzi do starca, wita go. Po oddaniu powitania, starzec spytał:

„Kto ty i po co tu przychodzisz?"

„Imie moje Hatem Taj."

Na te wyrazy starzec pada mu do nóg, woła: „Szlachetny mężu! nie pora dzisiaj wymawiać imie twoje, obym życiem własném okupił twoje! Lud szuka ciebie. Nufel przypasał miecz ze złości na zgubę twoją, krwi twéj pragnie."

„Słyszałem że Nufel obiecał tym co mnie doń przyprowadzą, dary i pieniądze. Proszę cię, bądź łaskaw prowadź mnie przed niego, ażeby się uiścił tobie z danéj obietnicy."

„Ah broń mię Boże od tego!"

Spór trwał długo. Starzec wypraszał się, Hatem nalegał coraz silniéj i nakoniec pogroził: „Jeżeli nie zrobisz co ci każę, mnie tu prędzéj później ktoś znajdzie i zaprowadzą do Hatema. Wtedy mu powiem żeś mię krył pod cieniem opieki swojéj. Sam wiesz że to się dobrém dla ciebie nie skończy".

Biédny staruszek struchlał od strachu. Chcąc nie chcąc szedł naprzód, Hatem za nim, do koczowiska. Wyrokiem losu, na tejże oazie, wielu szukało już po rowach i jaskiniach. Dwóch przybiega, porywają Hatema z rąk

staruszka, potém inni i inni, tak iż zanim przybyli do namiotu, więcéj sta beduinów, domagało się nagrody Nufel, pomnąc iż przysiągł nagrodzić, chciałby dotrzymać słowa, ale jak nagrodzić tylu. Zamyśla się. Wtedy pewien człowiek bywały na świecie rzekł: „Najlepiéj spytać samego Hatema, on zawsze mówi prawdę". Na zapytanie Hatem odpowiada: „Wszyscy oni kłamią. Mnie przyprowadził starzec taki a taki, każ go zawołać". Jakoż w dali, z tyłu za tłumem, amirejczycy znaleźli staruszka, płakał i bił się w piersi. Przyprowadzony w obec Nufela, opowiedział mu ze szczegółami i rozmowę swoją w nocy i sprawę dzienną. Nufel słuchając duma i dziwi się w duszy. Myśli że mąż co nie żałował życia własnego ażeby zapewnić los biednéj rodzinie i przypodobać się Bogu, takiego męża wrogiem być nie godzi się. Takiego niczém upokorzyć nie można, bo tron jego wysoki i gwiazda szczęśliwa. Nufel zrywa się z siedzenia, całuje ręce i nogi Hatema, sadzi go na własném miejscu, a sam, jak przyzwoita słudze, stoi przed nim z pokorą i szacunkiem. Wróg tak zacięty, dzięki szlachetnéj szczodrobliwości, zmienił się w przyjaciela, bo miłosierdzie i hojność obfitują w owoce. (*Wiersze*). „Przewiekuje w błogości kto żył dobrze sławny; po nim, pamięć uczynków dobrych nie da sławie zamrzéć".

Królu! Słuchając téj powiastki pomyślałem: Hatem, wódz kilkunastu beduińskich namiotów, ma słynąć wiecznie hojnością, a ty, pan stolicy tronu Salomona [2]), gnuśniał-żebyś nikczemnie na milijonach twoich? Myśl ta długo bolała mię i odpychała od szczęścia. Nie wiedziałem co począć. Zbudowałem gmach ogromny. Czterdzieści drzwi miał, a każde otwierały się na inną ulicę.

---

[2]) Historycy perscy wierzą że Salomon panował w Persyi i miał stolicę w bliskości dzisiejszego Szyrazu. Derwisz III był rządcą téj prowincyi.

Dla jałmużny kazałem bić osobno złote dinary, każdy ważył łót szczerego złota. Codziennie prawie siedziałem kilka godzin w gmachu tym, dając po dinarze biednym sierotom, cudzoziemcom, przychodzącym do drzwi. Rad byłem z siebie że darzę i długo żyłem tak.

Pewnego dnia, rano, gdy siedząc w gmachu moim sypię jałmużny, cieszę się radością biednych i ani śnię o igrzyskach losu, patrzę aż staje we drzwiach nieznajomy nam Derwisz woła: „szczęść Boże!—“ Zawołałem go, przyszedł nadstawił połę płaszcza, rzuciłem w nią dinara, wyszedł błogosławiąc. Po chwili wchodzi innemi drzwiami, z nadstawioną połą. Wrzuciłem znowu dinara złotego. On znowu pokazuje się przez drzwi następne, bierze i wraca. Takim sposobem obszedłszy wszystkie czterdzieści drzwi wszędzie biorąc: zjawił się nakoniec we drzwiach pierwszych z wyciągnioną po dawnemu ręką. Oburzyło mię to łakome natręctwo, rzekłem mu: „Ty nie derwisz, ty kalasz sukienkę i imię derwiszowe. Że ci nikt dotąd dobrze nie wytarł uszu, ani rozumiesz bożéj służby, więc bujasz, ani ci wstyd łakomstwa! — Sprawiedliwie to mówią, że jeżeli derwisz ma niepotrzebny grosz w kieszeni i nie znajdzie komu go oddać, niech go precz rzuci. Inaczéj bowiem nie ma prawa ani spać ani modlić się téj nocy. Złamał ustawę zakonu. Tylko co wziąłeś czterdzieści łótów szczerego złota i znów żebrzesz. Niegodzieneś litości mojej, nie dam nic więcéj!—“ Derwisz wysłuchał do końca wyrzutów moich i utkwiwszy wzrok we mnie, zawołał: „Sługo boży! kiedy ja służby bożéj nie umiem, toś i ty nie musiał czytać owych słów koranu: *O prawowierni nie niszczcie jałmużny waszéj poniżaniem tych co ją przyjęli*“. Co to jest hojność, nie masz ani wyobrażenia. Roisz sobie żeś sławny już twojem miłosierdziem i że imie twoje przewiekuje w pamiętniku mężów szczodrego serca. Nie ludź się, idź do miasta Basory, tam naucz się

hojności od dziewczyny, krewnéj ministrów dworu Harun Arreszyda. A potém chyba zarabiaj sobie na dobre imię i zdobądź go prawie. Te kilkanaście dinarów jeśli ci tyle drogie, dla mnie są niczem. *(Wiersz)*. Serce nasze jest morzem, oczy są konchą pereł; jeśli dłoń nasza pusta, za to powieki łez pełne! Za skarby obu światów nie oddam jednéj chwili szaleństwa mego; płonę jak gwiazda, znam cenę bólu iskry niebieskiéj!“—To rzekł wyrzuciwszy z poły dinary, niby garść plew na ziemię, otrząsł płaszcz swój i odszedł.

Królu! Gdy mię ów mocarz świata nędzy i nicestwa ludzkiego, pożegnał taką odpowiedzią, nie miałem zgoła odwagi ani chęci rozdzierać mu serca pazurem zemsty mojéj. Owszem wstałem, biegłem przeprosić. Ściskałem go, błagałem aby wrócił, obiecując dać wszystko czegoby tylko zażądał. Napróżno. Klął się i przysiągł że nie wróci, nawet za dar całego państwa i tronu mojego. *(Wiersz)*. „Zranione serce zagoić trudno, rozbity kryształ spoić trudno.“ To powiedziawszy odszedł.

Królu! Słowa jego ciężyły mi na sumieniu, nie mogłem z nich się wyzuć ani wyzwolić. Dzień i noc, jak ponurzony w morzu dumań, bez pokarmu i snu, tęskniłem. Aż nareszcie postanowiłem udać się do Basory, widzieć ową dziewczynę i pouczyć się owej hojności tak zachwalonéj przez derwisza. Radzę się wezyra mojego, odpowiada: „Gdzież rozum królewski?—Czy można! —gwoli słów kilku jakiegoś obdartusa, porwać się na krok tak nieprzyzwoity? ubliżyć dostojeństwu książęcemu, na wiarę bredni nieznajomego żebraka?“

„Ale bynajmniéj, wyrazy jego nie są rozkazy; lecz słyszę w nich coś nakształt echa głosu bożego i widzę skazówkę, albo jechać i wyzdrowieć, albo pozostać z zarodem wielkiéj choroby w sercu i czekać tu niechybnéj śmierci.“

„W takim razie miej przy strzemieniu jakie parę tysięcy straży i orszaku; jedź jak przyzwoita dla pana“. „Zła rada. Po drodze, wiedząc kto jestem, panowie miast i wsi łupiliby włościan pod pozorem, że muszą karmić mój liczny poczet, na każdym noclegu byłbym niewinną przyczyną żdzierstwa, i najhojniejsze dary moje nie opłaciłyby grzechu popełnionego. Nie, ja sobie pójdę piechotą, sam jeden w sukni derwisza. Ty zostaniesz tu jako mój namiestnik, dla rządu i dozoru. Nie krzywdź poddanych, opiekuj się ludem a niech wszyscy, o ile można, błogosławią ci. — Rozdawaj naznaczoną przezemnie jałmużnę, aby mię nie zapomnieli aż, da Bóg, wrócę do was. Gdybym zaś umarł, cały majątek mój będzie twoim.“

Tak urządziwszy się, ogłosiłem że jadę na łowy i że do dnia powrotu mego, wezyr mój ma władać i rządzić miastem i krajem, w imieniu mojem. Zaleciłem starostom i urzędnikom posłuszeństwo jemu. Kilkunastu jeźdźców towarzyszyło mi z początku. Czas jakiś polowałem niby w okolicach, czekając aż lud mój przywyknie słuchać nowego urzędnika. Nareszcie widząc że wszystko szło porządnie i namiestnik dobry, opuściłem mój orszak polowniczy. Było to w noc ciemną, cicho sam a sam, w ubiorze derwisza, z garstką złota i kilkunastą perłami w zanadrzu, wymknąłem się niepostrzeżony; nogi za pas i daléj do Basory, ani mi żal było przerzucić za plecy moje wszystkie wygody i honory książęce.

Podróż odbyłem bez przygód wartych wzmianki. Pierwszego dnia pobytu mego w Basorze, idąc jakąś aleją, postrzegłem na jéj środku wysoki dworzec, wspaniałéj architektury z przedsionkiem rzęśniejącym od złoceń i lazuru, z kotarami chińskiego atłasu. Zatrzymawszy się nieco dla obejrzenia téj pięknéj budowy, szedłem daléj. Aż tu słyszę skrzyp otwierającéj się bramy i głos bie-

gącego za mną męża. Drogi przychodniu! podróżniku! derwiszu! gościu najmilszy, daruj, poczekaj chwilkę! — Jest do ciebie prośba!—Staję, widzę mężczyznę z białą brodą, odzianego po pańsku poważnie, w ręku laska sadzona w kosztowne kamienie. Jak tylko zrównał się ze mną, zaczął od grzecznego powitania: Bracie, my słudzy i podnóżki derwiszów, oto tu dla nich i ten pałac, i ten dom i ten portyk. Proszę racz się pofatygować i wybrać tam sobie mieszkanie, zobowiążesz mię bardzo przyjęciem gościnności u nas, nie zasmucaj nas odmową etc. Słowem, tak usilnie i długo nalegał, że wstyd mi było odmówić. Wchodzimy razem do domu, widzę sad ogromny, pełen kwiatów różnobarwnych i owoców wszelakich; zewsząd strumyki przeźroczyste jak woda różanna, szemrzą płynąc. *(Wiersz)*. „Dla oczu zieloność jego tak miła, że serce radością bije, w takt szczebiotaniu ptasząt“.—W środku ogrodu budowa wzniosła, rzekłbyś stawiona na wzór rajskich pałaców; dywany królewskie porozścielane w pokojach. Wprowadził, posadził mię, i osypał znakami szacunku. W mgnieniu oka, przyniósł porcelanową misę, nalał ją świeżą wodą, nasypał cukru, dolał szerbetem wierzbowego kwiatu; napoili mię, utulili pragnienie. Po godzinie, wniesiono stół nakryty łakociami, wszystko na talerzach najcieńszéj Chin porcelany. Zasłano obrus tkani kosztownéj. Mój białobrody gospodarz siadł ze mną do stołu; szczypiórek jego dowcipnéj rozmowy smaczno zaprawiał mi przewyborne jedzenia. Gdyśmy się obaj uraczyli dosyta, zdjęto stół, przy nas wymyto wszystkie porcelany i postawiono w kącie.

Gospodarz bawił ze mną aż do późnego wieczora, opowiadaniem powiastek to zabawnych, to moralnych. Nastąpiła suta wieczerza: wszystkie potrawy na złotych srebrnych półmiskach. Po niéj, podobnież jak i po

podwieczorku, wyniesiono stół i kredens [3]). Posiedziawszy z przyjemnym starcem część nocy, ujrzałem że przyniesiono mi pościel pańską. „Czy nie pora już zasnąć po trudach podróży?“ zapytał; rzekłem: „Czcigodny mężu, jeden Bóg tylko może ci wynagrodzić dobroć twoję. Derwiszowi nie godzi się spać tak miękko“.— „Przyjacielu drogi, to nie moje, wszystko do ciebie należy, rób co ci się podoba“. Dwóm służącym kazał nie spać i w pobliżu czekać na moje rozkazy, i zalecając aby mi nie zbywało na niczém poszedł do swojéj sypialni.

Zostawiony na samotności, czoło na dłoni, pogrążyłem się w głąb dumania, pytałem siebie: ktoto ten starzec? skąd i czemu ta gościnność? — Służący nie spał, zgadł domysłem serca swojego co się we mnie działo, więc z wielkiém uszanowaniem zbliżył się usiadł przy mnie, mówiąc: Derwiszu, dom ten należy do kobiety. Pani to dziwnie szlachetnych uczuć, bez wady. Hojność i uprzejma gościnność które tu widzisz, są z jéj rozkazu. Ten starzec, jest jednym z liczby jéj domowników. Izba ta i wszystko co w niéj, małą cząstką dobrodziejstw jéj. Usłyszawszy to, przyszły mi na pamięć wyrazy owego Derwisza co wzgardził jałmużną moją. Tak zapewniony usnąłem. Nazajutrz gdy marszałkowie niebieskiego dworu postawili pierog słońca na krawędzi widnokręgu (t. j. gdy słońce weszło), jak na stół, gospodarz mój także wszedł, z twarzą promienną blaskiem dobroci i uprzejméj gościnności a zanim słudzy na stół postawili śniadanie. Chciałem, nienadużywając ich łask pożegnać i przenieść się gdzie na mieszkanie do miasta, lecz się nie zgodził i rzekł: Synu mój, ty światłem

---

[3]) W licznych bardzo opisach *Padiszah u czehar derwisz* uczt i ugoszczeń, nigdzie nie widno wschodniéj fajki, dla tego że ten romans pisany w pierwszéj połowie XV wieku, przed odkryciem Ameryki, a zatém przed tytuniem.

oczu naszych! Z rozkazu naszéj Pani, ty gościem naszym przynajmniéj przez trzy dni. Poczém Pani odprawi ciebie, i jeżeli chcesz nas odejść, sam to jéj powiedz a tym czasem do nas należysz. Odchodząc niezapomnij powiedzieć Pani czegobyś życzył sobie; teraz zaś rozkazuj nam, sługom jéj gości.

Krótko mówiąc, trzy dni tak przegościłem w towarzystwie miłego starca; nie zapominano mnie ani na chwilę; nie brakło mi jeno ptasiego mleka. Codzień jadłem na innéj porcelanie, a wczorajszą stawiano w kącie.

Na czwarty dzień jak tylko król czwartego nieba (t. j. słońce) błysnął na lazurowym tronie widnokręgu i blaskiem piękności swojéj opromienił obszary świata, mój gospodarz, po dawnemu, zaczął służbę swoję od porannego powitania mię, zawsze z tąż samą dobrocią i uprzejmością. Chciałem go pożegnać, rzekł: gościu drogi, zdaje się iżeśmy w niczem nie uchybili tobie, więc czemuż ci tak ciężko dłużéj być z nami? Odpowiedziałem: „Ale broń Boże, Allah mi świadkiem że niewiem już jak i podziękować za twoje łaski, za twą ludzkość, cierpliwość anielską i wszystkie dobrodziejstwa i wygody. Bóg wam zapłać za dobro dobrém. W pielgrzymce mojéj po padole płaczu, (*wiersz:*) celem pielgrzyma jest świat widzieć, inaczéj bowiem, zagadek mądrości bożéj wszędzie jest wiele, (mógłby je widzieć niepielgrzymując). W niedoskonałości mojéj podróżuję abym uczcił wszechdoskonałość Boga w cnotach sług jego. (*Wiersz*). „Gdy niedołężna ręka niedosięgnie źródła niebieskich promieni, może ich promień dosięgnie ręki“.

Rzekł mi: „toż przynajmniéj, chwilkę cierpliwości. Pójdę pomówić z urzędnikami księżny naszéj, zapytać czy zgadza się na twój odjazd. Ponieważ chcesz nas rzucić, wiedz że dywany, sprzęty, porcelana i wszystko co w mieszkaniu twojem, są twoją własnością, zabierz to.“

„Cóż ja z tém wszystkiém zrobię?“ — „Musisz zabrać chcąc nie chcąc. Inaczéj bowiem, my słudzy księżny stracilibyśmy jéj łaskę. Widzę żeś cudzoziemiec i nie masz tu z sobą nikogo coby ci ulżył ciężaru, więc damy ci miejsce gdzie złożysz wszystko, zamkniesz na zamek, zapieczętujesz i weźmiesz klucz z sobą“.—Przekonawszy się że nie ustąpi swego, zrobiłem jak chciał i czekałem na wezwanie księżny.

Niedługo potém, weszło kilkunastu paziow, na ich czele dozorca dworu, błyszczący klejnotami od stóp do głowy, z laską sadzoną cennymi kamieńmi, uderzył niski pokłon i rzekł: Gościu najdroższy, światło mych oczu, ulubieńcze Boga; powiedz, jak kochasz prawdę, co jest przyczyną pośpiechu twojego? — Tuszę nieraczysz mnie także pozbawić skarbu obecności twojéj. Choć parę dni pogość i u mnie [3]) Jeżlim ja niegodzien tyle szczęścia, zrób to dla księżny, pani naszéj, ona mi to policzy na skarb zasług moich.“ Tak chcąc niechcąc, poprowadził mię z sobą do sąsiedniego kiosku. Znalazłem tam jeszcze więcéj przepychu. Mnóstwo sług pięknych, udatnych, dziewcząt i chłopiąt, gaszącyci blaskiem oczu i uśmiechu nawet bogactwa ubiorów i sprzętów tej rajskiej siedziby.

Dozorca i reszta sług kiosku, przez trzy doby świadczyli co tylko najhojniejsza gościnność i przyjaźń wyświadczyć mogą. Sniadania, podwieczorki, obiady, jadło i napój, wszystko od srebra od złota, wszystko zaraz po użyciu i w mojéj obecności, stawione w kącie na kupę, jako własność moja. Czwartego dnia, kiedym wyobrażał sobie, że taka szczodrota przechodzi możność ludzką i chciałem pożegnać ich, dozorca rzekł: „Mężu boży, teraz powiedz nam czego chcesz, abym doniósł księżnie.“

---

[3]) Dosłownie: przez dwa dni złóż stopy twoje na oczach moich.

Królu! Patrz i dumiej nad ochydą łakomstwa i interesowności człowieka! Podziśdzień jeszcze nieochłonąłem z bezwstydu podłej myśli co mi się wówczas niewiem jak i skąd nawinęła. Daszże wiary, zamiast powiedzieć sobie: ty żebrak, derwisz w łachmanach, ty niemożesz żądać nic więcéj nadto co ci już dali, pomyślałem zupełnie co innego. Widno że takie wyroki przeznaczenia; tak już pomyślałem: czego by tu od niej zażądać jeszcze, czego by tu dać mi nawet ona niemogła?

— Czart mi szepnął: proś o jej rękę, zobaczysz co będzie.

Więc rzekłem dozorcy: „Mam tu prośbę, któréj niemogę poruczyć ustnie nikomu trzeciemu. Jeśliby można napisałbym o tém wprost do księżnéj, zapieczętował list mój i posłał. Idzie tu o sprawę bardzo i bardzo ważną.“ — „Zgoda“ wziąwszy papier napisałem, po zwyczajnych tytułach grzecznostkach i dziękczynieniu za okazaną mi gościnność, tak:

Sługa twój i podnożek, przechodząc przez Basorę miałem cześć rozmawiać z urzędami wysokiego dworu pani. Celem podróży mojéj w wasze krainy, było spędzić dzień jaki u stołu szczodrobliwości twojéj i przypatrzyć się zbliska temu o czem zdala słyszałem. Jakoż, dzięki Najwyższemu, znalazłem rzeczywistość jeszcze większą od sławy, i już chciałem powrócić, gdy dozorca dworu waszéj księżnéj mości, kazał mi prosić ją o co. Z łaski Boga, nie potrzebuję bogactw. Jestem udzielnym władzcą obszernego państwa. Mam i złota i potęgi do woli. Braknie mi tylko owego klejnotu miłosierdzia co po Hatemie, pani jedynym przywilejem posiadasz. Ośmielony więc wezwaniem twojém, błagam abyś raczyła wejść ze mną w węzeł stadła małżeńskiego. Tuszę żem godzien tego zaszczytu. (*Dwuwiersz:*) „Ciemne mgły uchybień moich nikną w blasku promieni cnót twoich“

Zapieczętowawszy sygnetem moim to miłosne posłanie, oddałem eunuchowi aby zaniósł do haremu. Po chwili kazano mi stawić się u progu drzwi heremowych. Znalazłem tam długi szereg eunuchow i białobrodych, każdy z laską sadzoną w drogie kamienie i w szatach rzęśniejących złotem i klejnotami. W głębi, ośmdziesięcioletnia staruszka siedziała na tronie, była to mamka i ochmistrzyni panującej księżny, w szatach tak utkanych gęsto perłami że ledwiem dojrzał jej twarzy. Gdy zbliżywszy się uderzyłem powinne pokłony, powitawszy mię nawzajem skinęła aby przyniesiono krzesło dla mnie: „Siadaj młodzieńcze rzekła z poważną dobrocią, radziśmy przyjściu twojemu. Wszakże prosiłeś o rękę księżniczki?“ Na to spuściwszy wstydliwie głowę nic nieodpowiedziałem;—mówiła daléj: „Młodzieńcze, księżna pozdrawia ciebie i kazała ci powiedzieć, że nie stroni bynajmniej od małżeństwa, owszem, byleby Bóg jéj wskazał męża. Niemamy ci za złe żądania twojego. Tylko żeś niepotrzebnie się rozpisał o twoich dostatkach i potędze, gdyż wszyscy ludzie są wspólnego pochodzenia, dziećmi jednegoż ojca, od monarchy z tronem i koroną do derwisza żebrzącego o chleb i odzież. *(Cztérowiersz)* „Ludzie noszący imie wielkich i małych to wszystko palce jednéj ręki losu; dzisiaj, jeśli są wielcy i mali, to jutro, gdy zasną, zrównają się wszyscy.“ — Tak jest, różnicę i godność stanowi tylko islamu wiara. Dla tego unikamy związków i przyjaźni z innowiercami jedynie. Oddawna już wypatrywałam męża podobnego tobie. Ale mamka każdéj panienki ma prawo domagać się o *cenę mleka* [4]) swojego. Ty niepotrzebujesz bogactw świeckich, i nam też Bóg najwyższy dał ich i daje tyle, ile w szczodrobliwości bezmiernej chce da-

[4]) *Szir-beha* „zapłata za mléko“ to jest nagroda należy się mamce za wykarmienia dziecka, którą za córkę najprzód rodzice a potem pan młody dać musi.

rzyć. Otóż zapłatę mléka, należność mamki mojej musisz uprzednio nam zaliczyć. Jestto to warunek niezbędny; po uiszczeniu się, natychmiast mię poślubisz.“ Na pytanie moje, co rozumieją przez *cenę mléka* rzekła: „Dzisiaj bądź naszym gościem. Pójdę raz jeszcze naradzić się z księżną a potem rozmówiemy się z tobą obszerniej.“ Zaprowadzono mię do przedsieni haremu, gdzie posadzono mię na pierwszem miejscu w gronie ministrów, ceremonimejstrów i innych wysokich dworu urzędów, a ochmistrzyni weszła do haremu. Niebawem wróciła do nas, siadła a za nią wniesiono stół z potrawami. Jedliśmy w milczeniu a po skończonéj uczcie ochmistrzyni rzekła: „Młodzieńcze księżna jest odtąd twoją narzeczoną, pozostaje uiścić się z długu twojego, ceny mleka.“ — „To jest?“... „Zawołajcie tu Belsruza!“ — Po chwili posłany sługa wrócił z kupcem ubranym po pańsku, mającym u pasa pęk jakich do tysiąca kluczów, każdy klucz ze złota, przedstawiał kapitał tysiąc tumanów [5]). Kupiec usiadł przy mnie, Ochmistrzyni rzekła: „Młodzieńcze, trzeba ci wiedzieć, że księżna, pani nasza, ma tysiąc kupców handlujących dla niej.“

„Ja“ przerwał kupiec obracając się do mnie a najmniejszy z ich liczby. Wszyscy my, z kapitałami jéj książęcéj mości, jeździmy po różnych stronach świata, do Grecyi, Europy, Chataju, Chotenu, Czynu, (Chin), Maczynu, Bedechszanu, i w inne strony Wschodu i Zachodu. Nieraz trzeba nam lat wiele dla odbycia jednéj podróży w odleglejsze strony. Wracających do Basory księżna nie pyta po co który z nas jeździł ani co przywozi, to rzecz sumienia każdego. Ale najtroskliwiej się rozpytuje o obyczajach ludzi ziem zagranicznych i oso-

---

[5]) Tuman, za dni autora romansu, odpowiadać dzisiejszym fr. 125,000.

bliwościach tam widzianych. Powieści takie są dla niej najmilszym darem. Właśnie przed kilku laty, byłem z towarami w stolicy kraju Nimruz. Szczególniejsze to miasto! — Wszyscy mieszkańce ubrani czarno. Żaden z nich nie odpowiedział mi rozsądnie na zapytanie co znaczy ta żałoba? Pewnego dnia, widząc że jak tylko słońce weszło, lud zaczął się tłumnie gromadzić po ulicach, co to? ¡pytam nikt niechce zaspokoić mojéj ciekawości, jakby mię nie widzieli ani słyszeli. Jeden tylko odźwierny rzekł: „I ty chodź z nami, a tam dowiesz się“. Więc szedłem za tłumem. Wszyscy razem od siedmioletniego dziecka, do zgrzybiałego starca, panowie i łazarze, wojenni i cywilni, król i charłak co żyło, wszyscy biegli, jechali ku miejskiej bramie, na wschód miasta a ztamtąd, o dobrą milę za miastem. Tam na szerokiem polu, przed zaroślą sitowia, król, książęta, ministrowie i reszta narodu, wszyscy ubrani czarno stawali rzędem. Domyśliłem się, że muszą na kogoś oczekiwać. O trzeciej dnia godzinie, powstał szmer w zarośli, sitowie zachwiało się i wynurzył się jakiś jeździec okropnéj postaci. Siedział na gniadym byku mającym uzdę i siodło sadzone dyamentami. Sam w liliowym płaszczu; włosy spadające aż do pasa, miecz z pochwą brylantowaną zwieszony z ramienia; pod płaszczem żupan i pas indyjskiego kroju, wszystko lśniło od dyamentów. Oczy wypukłe, niby dwie filiżanki krwi pełne. Parskał, ryczał jak wściekły i pienił się jak rozhukane morze Omanu. Nie dziw, że wszyscy truchleli przed tym jeźdcem krowim. Czternastoletnie pacholę biegło za nim niosąc coś pod pachą.

Jeździec zatrzymawszy się na odległość rzutu strzały silnego łucznika, zeskoczył z krowy, okręcił wodze na rękę lewą a prawą obnażył miecz swój, usiadł na ziemi. Na skinienie jego, pacholę przyszło i zaczynając od prawego końca szeregu widzów, pokazywało im co

miało pod pachą. Wszyscy dziwili się i chwalili bardzo. Gdy przyszła kolej na mnie ujrzałem, że był mozaikowy wazon chiński, z cyprysem złotym misternéj bardzo jubilerskiej roboty, sadzony w szmaragdy i dyamenty. Istotnie, że arcydzieło nielada. Obniosłszy tak wszystkich widzów, aż do lewego końca szeregu, pacholę wraca do jeźdca. Ale ten skoczył wyrywa mu wazon, skruszył w drzazgi i jednem cięciem miecza zmiótł głowę biednego pacholątka, padła o jakie dziesięć kroków od tułowu! I znowu usiadł po dawnemu, jął się żalić i płakać, zaśpiewał, na znajomą nótę: (*czterowiérsz*) „Losie mój, wrogu mój, targasz mną, miotasz mną, „Niebo, czemu ci miłe te męki moje? Albo z pod nóg „mych wyrwij dywan ziemi, lub namiot nieba zedrzéj „mi znad głowy!“ —Niewidziałem nigdy tak płaczącego jak on człowieka. Łzy krwawe lały się potokiem na piasek. My wszyscy płakaliśmy z nim jak dzieci, rzekłbyś że i morze burzyło się, ptaki zatrzymywały się w powietrzu że ziemia i niebo, cała przyroda chórem modliła się aby mu Bóg ulżył. Nareszcie wskoczył z piasku z maczanego łzami dosiadł krowy i wrócił drogą, którą przyjechał, a do póki był widny, lud mu błogosławił i żegnał. Wróciliśmy zapłakani i smutni, jak z pogrzebu. Na próżnom się dopytywał i badał, kto taki ów młodzieniec? Co znaczą ten żal i nieład? Dano do zrozumienia mi tylko, że to klęska narodowa, żałoba króla i reszty ludu. Niepomnę już jak długo bawiłem w Nimruzie, wiem tylko że zupełnie takaż scena odnawiała się z pierwszym dniem każdego miesiąca.

Wróciwszy do Basory, gdym opowiedział to księżnéj, nie chciała mi wierzyć. Jeden z urzędników doświadczonéj wiary otrzymał koszta podróży i firman księżnéj ażeby pojechał tam umyślnie dla sprawdzenia faktu, i dołożył wszelkich starań w celu zebrania najdokładniejszych o tém szczegółów. Chciała bądź co bądź rozwią-

zać straszną zagadkę. Urzędnik wierny rozkazom pani przybył na miejsce i żył tam wywiadując się bezskutecznie aż do dnia śmierci swojéj. Słudzy jego wrócili po to tylko aby przyznać, żem mówił prawdę. Ja zaś dla pamięci spisałem wszystko com widział i słyszał, na dokumencie adresowanem Jej książęcéj mości. Taki koniec przygody mojej!

Ochmistrzyni dodała: „Młodzieńcze, zapłacisz nam cenę mléka, gdy pojedziesz do tego kraju i dowiesz się z pewnością co zacz ów jeździec na byku? Jaka przyczyna jego żalu? kto robił ową klatkę porcelanową ze szmaragdowym cyprysem? Dla czego ją naprzód wszystkim pokazują a potem kruszą? — Za co giermkowi ścięta głowa? Gdzie mieszka ów dziki młodzieniec i czemu jeździ na byku? Nakoniec wytłómaczysz nam enigmę owych sukni żałobnych ludu i święcenie téj smutnej uroczystości na początku każdego miesiąca. Słowem, dowiesz się, przyjeżdżaj tu i bierz księżnę jak swoję, niedowiesz się nie wracaj na próżno. A teraz z Bogiem. Skarby księżnéj stoją dla ciebie otworem, bierz co chcesz, a nie męcz nas dłużéj.“

Rzekłem: „Pojadę i z pomocą Allaha najwyższego dowiem się“.

Królu! takem był zawrzał żądzą posiadania tylu błogości że nieczułem nóg pod sobą. Pożegnawszy tych dobrych ludzi i wprost niezatrzymując się nigdzie po drodze przez cały rok piechoty, po stepach i skałach, dopadłem nareszcie celu pielgrzymki. Królu! niechcę opisem cierpień i trudności spotkanych rozwlekać i tak już długą nić powieści. Przetrwałem wszystko. Wchodzę do Nimruzu, widzę i czarne suknie i resztę rzeczy opowiadanych mi w Basorze. Zpoczątkiem miesiąca, jak już wiesz, mieszkańce płci obojéj szli tłumnie na pole, ja z nimi. Młody jeździec na krowie, w zupełnie takiem jak wspomnieliśmy stroju i okropnym nieładzie, wynu-

rzył się z zarośli. Dziś jeszcze mrowie mię przebiega na samą wzmiankę o nim. *(Dwuwiersz).* „Sosna borowa to wzrost olbrzyma; oczy obłąkane, włos rozczochrany łeb sterczący w powietrzu.“ — Bóg mi świadkiem, że widząc i słuchając tego szaleńca, padłem zemdlony. Obudziwszy się, jego już niebyło a lud wracał do miasta. Z kilku tylko niedołęgami co jak i ja byli pomdleli, dowlokłem się na łoże boleści. Straciłem pamięć czasu, miesiąc zdawał mi się tylko dniem jednym, chwila długim rokiem. Królu! Serce moje umiało wyrzec się słodyczy wczasów i używania książęcych wygód, wzgardzić urokiem wszechwładzy, bić tylko dla miłości i cnoty, i żyć pokarmem duszy, gdy ciało na wygorzałych pustyniach, kąsał ząb kamieni, kłóło żądło ciernia. Wszystko to, królu, niczem w porównaniu z boleścią co mię zapaliła na widok owego jeźdźca na krowie. Odtąd jego rysy, jego głos brzmiał wyrazem rozpaczy, każdy ruch jego, stały mi jak widma przed oczyma. Czułem to wszystko co żyło w przyrodzie, ptastwo powietrzne, ryby w wód głębi, gwiazdy nieba i ziemia, spoliliśmy się w jednym żalu, w jednéj żądzy pomożenia mu. Bo też pięknie Bóg stworzył tego młodziana. Dał mu urodę topoli, głos i oczy i wymowę nadludzkie, a których zapomnieć niepodobna raz ujrzawszy.

W takich rozpamiętywaniach doczekałem końca jednego miesiąca, a z początkiem drugiego biegłem na pole przed nieszczęśliwego młodzieńca, i chciałem za odjeżdżającym biedz daléj. Ale mię ludzie stojący w jednym zemną szeregu nie puścili: czyś i ty jak on oszalał?“ mówili „biedz za tym wściekłym? Czy ci już własne tak obrzydło życie?— Daj pokój. Kto dobrowolnie krwi swojéj szuka odpowie za to Bogu na tym i na tamtym świecie. Niepuścim.“— Napróżno upierałem się, trzymali mię aż jeździec zniknął nam z oczu. Pomyślałem, jak się rozejdą, dopnę swojego. Ale już późno było. Po pró-

żnych poszukiwaniach musiałem wrócić do miasta. Tak znowu cały miesiąc minął we łzach i oczekiwaniu. Niemogłem spać ani jeść, dręczony i pragnieniem dojścia prawdy i szczerą żądzą pomocy szaleńcowi. Schudłem jak księżyc na nowiu. Ostatniéj nocy tego miesiąca powiedziałem sobie: znowu mi niepozwolą; trzeba ich uprzedzić. Jakoż, przed świtem już byłem w zarośli, skryłem się w gęstém sitowiu, przy saméj stedzce, którą ów młodzieniec zwykł przyjeżdżać i cieszyłem się myślą że (*Dwuwiersz*): „Czego rozum niedokaże, śmiałém szaleństwem dokonasz.“ Ze słońcem pokazał się i jeździec nasz. Czwałem na krowie szalonéj wypadł, odśpiewał swoje, posłał tłumowi dla obejrzenia wazon z cyprysem, potem go roztrzaskał, giermkowi ściął głowę etc. jak już to wiecie i już wracał przez zaróśl. Wtedy, puściłem się za nim, ilem sił miał w nogach. Pędził czwałem. Ja za nim. Nareszcie musiał posłyszeć iż gonię, gdyż stanął i obrócił się ku mnie. Dobiegałem już. Wrzasnął przeraźliwie, plunął pianą i skierowawszy krowę wprost na mnie dobył szabli. Pomyślałem w sobie; o, serce, za chwilę bić przestaniesz gotuj się na śmierć! Potém znów pomyślałem: O ucieczce ani myśleć; szaleniec by mię dogonił i zabił tem prędzéj za to że tchórzę. A nuż się ulituje, nuż oszczędzi? Wreszcie gdyby i zabił to niewiele stracę; bez tego bym umarł z żalu i ze wstydu. Otóż ani się z miejsca nie ruszyłem. Tylko zwyczajem derwiszów, wyjąłem z mojéj kieszeni kilka orzechów i niosłem je na dłoni, wysoko nad głową, a wyciągnięta szyja moja mówiła mu żem gotów umrzeć pod jego żelazem. Już na stérczące rogi i jaskrawe oczy szalonéj krowy widziałem o krok przed sobą, gdy nagle jeździec wstrzymał się krzyknął: „Tyś derwisz allaha!“ Wyrwał stérczący mu zapasem sztylet, rzucił mi go przed nogi i rzekł: „Zuchwalcze, precz ztąd, bo cię zabiję!“ —

Królu! niemiałem siły ani się z miejsca ruszyć ani ust otworzyć. Stałem jak urzeczony oczyma węża. Tymczasem jeździec wołając: Boże! Boże! oddalał się i już znikał w gęstwi dąbrowy. Przyszedłszy do siebie, pomyślałem. Byłoby to nikczemnie i słabo. Nie, bądź co bądź, daléj! albo cię zabijc albo dościgniesz pożądanéj kresy. Znowu puściłem się w bieg za nim (*Dwuwiersz*): „Kiedy cię niechcą wpuszczać do domu, nierozpaczaj, trzymaj się klamki, i pukaj, pukaj.“ Zdaje się że upór mój zagniewał jeźdźca. Gdyż dobył miecza i z taką siłą wypuścił na mnie rozjuszonego wołu, że ledwiem uśpiał odmówić werset koranu i zawołać: „Mężu nieżałuj ręki i miecza, uderz! Uwolnisz mię od boleśniejszego nad śmierć żalu i tułactwa. Zabij, ale zabij od razu, nie męcz.“ — Zadziwił się, pokręcił głową i rzekł: „Ty sam bez litości. Czemu chcesz aby niewinna krew twoja spadła na głowę moją? Przeklęty szatan! Uczcij jedynego Boga i wracaj, bo późniéj mógłbym stracić ostatnią resztę cierpliwości.“ Znowu zawrócił krowę i poczwałował. Ja znowu za nim krok w krok goniąc nuciłem: (*Czterowiersz*): „Idę się dotknąć strzemienia królewskiego jeźdźca. Żalę się na nielitość kochanki srogiéj. Rozum mi mówi, nie idź. Miłość mi mówi, daléj idź, daléj, bądź co bądź!“ — Jechał nieco powolniéj i niekiedy z podełba pozierał ku mnie, niby od niechcenia, ale się niezatrzymywał, ja za nim. Zrobiliśmy tak jaką parę mil drogi. Zbliżaliśmy się już do jakiegoś ogrodu.

Był to sad rozległy otoczony zewsząd ścianami wysokiemi. Jeździec zatrzymawszy się u wrót sadu, zaryczał głosem takim że pola i okolice od echa zadrżały. Wrota otworzyły się, krowa z jeźdźcem wpadli wewnątrz. Po godzinie namysłu, gdym niewiedział jeszcze co daléj począć, ujrzałem służącego; zawołał mię i spytał, gdzie i jak spotkałem okrótnego jeźdźca? Rzekłem „tam gdzie chciało przeznaczenie.“ Dodał smutnie: Spiesz się,

pan kazał cię przyprowadzić do sadu. Niech się Bóg ulituje nad tobą i zbawi od złości tego krwiożercy chytrego." Idąc przez ogród, dziwiłem się wesołemu wejrzeniu tego raju ziemi. Królu! język mój niezdolny opisać powabów tego gniazda rozkoszy. Pośrodku sadu wznosiło się kilka pysznych pałaców i altan około królewskiego wejrzenia kiosku. Nasz jeździec siedział w nim na dywanie. Coś sobie żałośnie nócił i z rozsypanych przed nim szmaragdów, lepił jubilerską robotą zupełnie takąż cackę, wazon z cyprysem, o jakiéj już wyżéj wspomniałem. Skinął na mnie abym usiadł. Ja siedziałem nieśmiejąc ust otworzyć, on czynnie jubilerował, niezważając na nikogo. Ledwie aż gdy już słońce zaszło, przestał pracować i podniosłszy głowę, wrzasnął, jak wystrzał krateru wulkańskiego. Okna pałacowe zatrzęsły się, a tłum służących rozpierzchł się, każdy uciekał i krył się co najprędzéj. Co widząc także uciekłem schować się, wlazłem do pierwszéj znalezionéj dziury. Słyszałem tylko, jak zamykał, jedne po drugich, wszystkie drzwi kiosku, rycząc jak lew wściekły. Potem zszedł ze schodów kiosku, do ogrodu i trafem otarł się o miejsce mojéj kryjówki, ale minął ją. Była to altanka mająca drzwi i jedno okno, tak iż mógłem wymknąć się niespostrzeżony i iść za nim. Aż w tém, niedaleko, z pod węgła parkanu ogrodowego usłyszałem ryk wołu, biegę tam i cóż widzę, potężnym kijem z całych sił okładał boki tejże saméj krowy, na któréj był jeździł. Po głowie, po grzbiecie, bił, bił, aż się zmordował i cisnął na krowę kijem swoim. Patrzę dobył z kieszeni klucza idzie do drzwi przyległego pałacyku i wpada jak goniony. Przeszło godzinę słyszałem ztamtąd jego jęki i narzekania. Boże! Boże! wyraźnie że się modlił. Nieśmiałem przerywać mu. Naostatek wyszedł, wrócił do krowy, głaskał ją całował jéj oczy i głowę, prosił jak dziecko u matki o przebaczenie, rozmawiał jak z przy-

jacielem. Wyczyścił jéj przednie i tylne racice, przyniósł jéj wiązkę siana napoił i wrócił do pałacyku. Ja tu cichutko, co rychléj, przedarłszy się przez drzewa i kwiaty, dopadam kąta, czekam co będzie daléj. Pootwierał drzwi wszystkie naoścież i w głos zawołał: „Wstawajcie, hej śpiochy, dopókiż wam się wylegać!“ Wielu sług wybiegło. Pozapalali lampy. On zaczął odmawiać namaz wieczorny. Po pacierzu zapytał: „Gdzie jest ów niegodziwiec derwisz?“ —

Wybiegam, biję przed nim pokorne pokłony. Przywitał mię i skinął abym usiadł. Przyniesiono wieczerzę. Kazał mi jeszcze bliżéj siebie usiąść i jeść z nim. Przyznam się żem siedział jak na szpilkach, pokarmy nie lazły do gardła, połykałem z trudnością, taki mi strach. Po wieczerzy gdy obrus zwinięto kazał iść spać wszystkim służącym. Zostaliśmy sam na sam. „Człowieku!“ rzekł mi: „jak Bóg jeden, powiedz mi prawdę, wyznaj czemu chcesz śmierci? Dla czego za mną chodzisz? Życie-li tobie niesłodkie, że chcesz skosztować jak mój nóż po żebrach pieprzy? Tobie z oczu niepatrzy derwiszem. Ty w sukmanie żebraka, musisz tu szukać czegoś innego niż jałmużna, he? Mów śmiało, a klnę się rycerskiem słowem bohaterów świata, że byleś powiedział prawdę, zrobię dla ciebie wszystko co będę mógł. Póki mi duszy i sił stanie dopomagać ci będę. Ale też broń cię Boże kłamstwa. Nienawidzę łgarzy i zdrajców; umrzesz nikczemnie!“— Mowa taka natchnęła mię odwagą. Bez ogródek, wszystko com o nim słyszał, i co kochance mojéj przyrzekłem, wszystkom opowiedział.— Na wyraz *miłość*, łzy mu rzuciły się gradem, ciężko z głębi serca westchnął, zaczął ryczeć i tarzać się po podłodze. Ledwiem go ukołysał, trzymając na mych kolanach konwulsyjnie rzucającą się głowę, tuląc go łagodnie słowami pociechy i nadziei. Gdy ochłonął, rzekł: „Dalibóg derwiszu, ty czyhasz na swobodę moją. Chcesz

mię z mego ustronia do ludzi, do téj nikczemników tłuszczy wrzucić. Biedny, ja biedny, cóż pocznę, albo wedle przysięgi na rycerskie słowo, nałożyć duszą własną, i własnym pokojem twój okupić, albo, co jeszcze boleśniéj, niepomódz tobie. A wtedy cóż odpowiem pani serca mojego? Co? mów, sam zakochany rozumiesz szalejącego od miłości. Ale stało się. Dobrze. Najprzód ty staniesz u twego celu. A potem, zobaczymy co się zemną stanie. Mniejsza o mnie, słuchaj.

„Bracie! trzeba ci widzieć że król Nimruzu jest moim ojcem. Ja jego syn jedynak. On długo bezdzietny, w końcu modlitwami, jałmużną, pokutą i żalem wybłagał sobie u Boga dar pożądany. Na wieść żem się urodził, król darował poddanym swoim trzy lata podatków. Zwołał na dwór najsławniejszych czarnoksiężników i astrologów, dla wyczytania mego horoskopu *(talea)*. Oto ich odpowiedź: gwiazda twojego jedynaka, aż do czternastu pierwszych lat jego, pójdzie przez złowrogie konstellacye. Strzeż go jak źrenicy w oku, aby do lat czternastu niepadł nań ani promień księżycowy ani słoneczny. Jeźli ci się uda przechować go przez całą tę epokę w cieniu to na szesnastym roku, gwiazda jego wynurzy się na szczęśliwsze drogi i odtąd będzie szczęśliwym i wielkim. Inaczéj biada wam! Ucierpi wiele, i nieraz będzie miewał porywy szaleństwa. Rad krwi rozlewu, będzie postrachem ludzi i przeklęstwem. Łatwo sobie wystawić wrażenie jakie ta wróżba na ojcu zrobiła. Natychmiast, oddawszy mnie piastunkom, kazał zanieść do sklepu pod pałacowego a sam naradzał z najmędrszemi głowami państwa swego. Wszyscy się zgodzili że nierozsądkiem byłoby męczyć dziecię przez czternaście lat w sklepie pod ziemią. „Więc podajcie myśl inną, wynajdźcie sposób zgodniejszy z rozumem.“ Po długich sporach postanowiono zasadzić ogród w pobliżu miasta. Wszystko przewidziano: liczbę i gatunki drzew, ścian

parkanu wysokość i t. p. Czwartą część wzdłuż i poprzek ogrodu, od parkanu do parkanu zmieniono w pałac, którego okna z bardzo grubego kryształu, przyprószono napół przejrzystym prochem z wełny i opiłków, tak iż przez mat ten światło przenikać mogło, lecz promienie słońca i księżyca mierzchły. Resztę wszystkich otworów szczelnie zatknięto, i nakryto ogród takimże dachem. W podobnym mroku, przeżyłem pierwsze lat siedm, w towarzystwie mamki i mądrego a miłéj rozmowy męża. Na ósmym roku ów mąż zaczął mię uczyć pisać i czytać. Co miesiąc przez jedną dobę niebyło go przy mnie. Dowiedziałem się późniéj że czas ten bawił na dworze ojca mojego, dla zaopatrzenia się w żywność i sprawozdania. Nauki moje trwały lat pięć i takem się udoskonalił, żem umiał na pamięć wszystkie książki niebieskie. Wszakże bez innych towarzyszy prócz dozorcy i mamki, niewidziałem nic na świecie, oprócz tego com widział w moich czterech ścianach ogrodu. Sądziłem, że nauczyciel mój Adam a piastunka Ewa, i że nasze mieszkanie raj edeński. Co dzień po modlitwie i naukach, biegłem do ogrodu zbierać kwiaty. Pewnego razu, gdy naczytawszy się do syta po śniadaniu i modlitwie, nazbierałem był sobie pełną połę rozmaitych kwiatów, ujrzałem na brzegu strumyka kwiat jakiś nieznajomy. Nigdy nic podobnego niewidziałem. Przysiadam, sięgam ręką aby uszczyknąć... kwiat zniknął. Wstaję zdziwiony, patrzę, kwiat znowu stał na dawném miejscu, tylko że jeszcze większy i jaskrawszy. Znów tedy nachylam się, utkwiłem weń oczy i serce, idę uwagą i duszą za każdym ruchem jego. Kwiat co chwila powiększał się. Jakaś mię lubość przejęła, i ani się postrzegłem jakem się w kwiecie zakochał. On kwitł już w sercu mojem! Utopiony w jego widoku, niewiedziałem co to za kwiat? Aż tu nagle uderzył mię z góry głos jakby osoby śmiejącéj się. Podnoszę głowę i widzę że

przez szczelinę rozprótą w suficie ogrodu, wszedł promień słońca, zupełnie nowe i nigdy niewidziane dla mnie zjawisko.

„Wpatrując się pilniéj w ten otwór, postrzegłem w powietrzu tron niesiony na ramieniu czterech niby aniołów. Głos śmiechu wyraźnie schodził z tronu, a tron coraz się niżéj i niżéj przybliżał. Niespuszczałem ich z oka aż tron zatrzymał się u nóg moich. Owi czteréj stanęli nieco opodal. Na tronie siedziała prześliczna kobieta. Ogród mój opromieniony blaskiem jéj piękności stał się istotnie edenem niebieskim *(Ośmiowiersz)*:

„Córko powietrznéj Peri, pieszczotko psotliwa;
„Ty łowczyni, ty strzelasz oczyma gazelli;
„Spojrzeniem tniesz, jak ostrzém zdradliwem, co krew lać rade;
„Rzęsy bodą jak ciernie, warkocz piżmem tchnie, prószy;
„Te kosy splecione, to arkan pętla na szyję serc naszych;
„Z jéj czoła miesiąc świeci, z piersi jazmin wykwita, z jagód róża płonie;
„Kibić udatna jak cyprys muskany tchnieniem powiewu,
„Peri urocza! Twój pałac w duszy kochanków!“ —

„Siedział z powagą uroczystą królowéj, sułtanki haremu szaha, na tronie. Przed nią butelka z korkiem dyamentowym i puchar rznięty z jednego kawałka rubinu. Usta jéj rozkwitały uśmiechem róż co pękają pod perłami rosy, a z oczu jéj utkwionych w moje widziałem, że się śmieje z mojego zmięszania, uśmiech ust i oczu miał coś dowcipnie miłego, sól szczypiącą za serce, ból rozkoszy. Skinęła na mnie, a tak łaskawie, że jak szaleniec rzuciłem się ucałować podnóże jéj tronu wpiłem się ustami do rzeźb jego złotych. Lecz moja huryska schyla się nademną z tymże samym uśmiechem; uczułem

rękę moją w jéj ręku, wprowadza mię na tron i sadzi przed siebie, twarzą w twarz. Sama z butelki nalawszy puhar podaje mi, piję ona pocałunkami ośmiela, zachęca i owym głosem co tylko huryskom i Peri dany, na biedę serc naszych, mówi:

„Jaka szkoda żeś syn Adama; ludzie nieumieją kochać stale; a to oddałabym ci serce moje.“— Pod ogromem tyle nieznanego mi dotąd uroku, nieśmiałem jeszcze odetchnąć swobodniéj. Pieściła mię i poiła. Po spełnieniu trzeciego pucharu, zacząłem wracać do siebie czułem się tak przepełniony jakąś dziwnéj siły radością że dusza moja wyrywała się ku niebu, niby darła na sobie ziemską szatę swoję. Straciłem władzę nad sobą. Łzy mi gorące, rzęsiste, lunęły deszczem. Całą godzinę, ja płakałem, ona ustami łzy mi z oczu z twarzy ocierała, śmiejąc się pijąc mój oddech jak gdybym był fijołkiem albo różą [6]).

„Śród takich pieszczot, nagle z powietrza spuściły się dwie istoty podobne do mojéj Peri, powiedziały coś niepojętą dla mnie mową. Zauważałem tylko że zapłonęła rumieńcem gniewu, ucałowała mię w czoło, zsadziła z tronu na ziemię i rzekła: „Kochanku drogi! chciałam chwil kilka przeżyć z tobą, los przeniewierczy pozazdrościł nam szczęścia; los zawsze rad serce trapić, każe mi oddalić się“ [7]). *(Dwuwiersz)*. „Los tchnący złością, jak tylko gdzie postrzeże dwóch zakochanych, wnet dla nich piosnkę żegnaj! żegnaj! obmyśla.“ Umiałem przysłowie że, przyjaźni niezapominaj, z kubka niewierności niepij; alem ledwie się zdobył przebąknąć te słów kilka: Kyblo [8]) serca i duszy! Gdzie ciebie mam szukać, u kogo

---

[6]) Po persku *„wąchając mię.“*—

[7]) Po persku *„nastroił instrument rozłąki.“* —

[8]) Świątynia mekkańska w stronę któréj muzułmanie powinni patrzeć podczas modlitw swoich.

pytać wieści o tobie? Rzekła: Chociaż nam z sobą spotykać się niepodobna, a dzieci Adama znaleźć nas ani pojąć niemogą, wiedz że jestem córką króla *dżynnnów* (geniuszów)." To mówiąc tron z nią uleciał w górę i zniknął w powietrzu, a ja posławszy w pogoń duszę moją, trupem bez ruchu i ducha, stałem na ziemi osłupiały bez władzy nad mojemi duszą wolą i sercem, bez rąk, nóg, rozumu, pojęcia bez języka i uszu *(Dwuwiersz)*. „Rozsądek i umysł i reszta władz moich znikły w chwili gdy ona znikła; moje ręce odrętwiały, moje serce nie bije".—

„Jakże ci, derwiszu, opowiem co się zemną działo: zimny jak posąg padłem na ziemię, łzy tylko lejące się hojnie świadczyły że jeszcze żyję. Dozorca mój i piastunka, wypytawszy się o wszystkiém, bardzo się zafrasowali. Na pytania ich odpowiadałem od rzeczy, najczęściéj milczeniem. Nie umiałem jeno płakać. Dozorca przekonany że to nie przywidzenie ale sprawa złych duchów, czytał nademną exorcyzmy i zamawiał od urzeczenia oczu Peri, ale bez żadnéj dla mnie korzyści. Cały ten dzień tak minął. Zaczęli rozpaczać o mojém wyzdrowieniu. Dozorca pobiegł opowiedzieć ojcu. Ojciec jak uderzony w głowę, wpada z obłąkaną twarzą do ogrodu, porywa mię, przyciska do łona, pyta, całuje, wącha i oblewa mię krwawemi łzami. Nieodpowiedziałem mu ani na jedno jego pytanie. Po nim przychodziły mię odwiedzić wszystkie urzęda dworu, emirowie, ministrowie, filary państwa i mędrcy, doktorowie, czarnoksiężnicy, czarodzieje, astrologowie. Biédny mój ojciec w zbytku strapienia swego, obiecywał im złote góry. Żaden nic nie pomógł. Kazano mię przeprowadzić na mieszkanie do miasta.

„Co do mnie, od chwili znalezienia owego kwiatu promieni, miewałem coraz inne widzenia i coraz dziwniejsze. Rzadko przytomny, najczęściéj we łzach. Dzień

i noc tęsknota mię więziła i gryzła. Żadnéj chęci ni do snu ni do pokarmu, codzień byłem smutniejszy i skrytszy. Doktorowie dziwili się że ich leki bez skutku, ludzie pobożni że modlitwa bez wpływu, wszyscy wiedzieli że płaczę i żem zamyślony, a żaden nie przeniknął mi w duszę głębiéj, do istotnych przyczyn smutku dumania. Milczałem więc i żyłem sam w sobie. Tak minęło całe trzy lata. Mój ojciec, po mnie, najwięcéj cierpiał. Gdzie tylko gdzie zasłyszał o jakim sławnym lekarzu duchownym lub cielesnym, nie szczędził starań ani kosztów, aby go sprowadzić. Przyjeżdżali, leczyli, jeden odjeżdżał inny na jego miejsce następował. Żadnemu się nie udało. Po pół czwarta roku, przyjechał był do Nimruzu jakiś kupiec. Całe życie spędził na podróżach. Jako mąż bywały na świecie i przytém dostatni, przywiózł ojcu mojemu, na gościniec, rozmaite ciekawości zagraniczne. Na prośbę króla czyby nie znał gdzie dobrego lekarza rzekł:

„W jednym z krajów Hindustanu jest wyspa na imie *Hukm* sławna zdrowym klimatem, a jeszcze sławniejsza doktorem Dżauk, co tam mieszka. Dżauk ma dom i ogród na wyspie, otoczone tak wysokimi murami, że znikają pod niebem i chyba skrzydło ptaka wyobraźni doleci ich wierzchu. Nikt niema wstępu do ogrodu chyba za osobném pozwoleniem. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że Dżaukowi żaden człowiek w sztuce lekarskiej nie sprostał. Ale jeden tylko dzień w roku poświęca chorym. — Dzień ten wszyscy świątkują. Dżauk wtedy wychodzi ze swego ogrodu na brzeg morza przechadzać i kąpać się. A że sława jego leczenia głośna po całym świecie, więc gdzie tylko są chorzy, którym inni doktorowie nie pomogli, śpieszą na ten dzień jedyny, nieraz o 10 i 12 miesięcy drogi. Wtedy wyspa Hukm zasypana gośćmi. Widziano nieraz kilkadziesiąt tysięcy chorych u drzwi i około parkanów Dżauka, i

co dziwna, zawsze znajdzie dosyć czasu wszystkich wyexaminować dać każdemu leki w dniu jednym. Wracając z nadmorskiej przechadzki, z każdym mówi chwilę, temu puls maca, owego pyta, pisze recepty, rzuca je w połę chorego i idzie dalej. Niebyło jeszcze przykładu aby kto, lecząc się wedle recepty Dżauka, niewyzdrowiał. Niewątpię, że gdybyś W. K. Mość posłał tam królewica wróciłby zdrów i wesół i oswobodziłby raz na zawsze ojcowskie serce twoje od trosk i kłopotu. Mógłbym po sześciu miesiącach podróży dowieść królewica do wyspy Hukm. To wcale nietrudno.

„Naturalnie, że ojciec mój bardzo się rad chwycił téj porady. Stu dobornych doświadczonéj wierności dworzan, pod wodzą jednego z najmędrszych wezyrów dworu, kupiec i ja, przybyliśmy bez szwanku, po półrocznej wędrówce po morzach i lądach, do celu podróży naszéj. Dojeżdżając jeszcze do wyspy Hukm owionął nam twarze odurzający zapach kwiatów i tchnienie jakiejś niewypowiedzianéj lubości i wesela. Dusza moja orzeźwiła się odrazu. (*czterowiersz*) „Rzekłbyś, że w ciało umarłe znów dusza weszła. Czyż posłaniec z raju wrócił od duszyczek błogosławionych z wieścią nieśmiertelności. Mówiłem sercu mojemu: biedny rozbitku śród nocy, na falach rozhukanego morza, ciesz się, oto słońce poranku odkryło brzeg bliski.“

„Derwiszu mój! Widok tej błogiej wyspy udzielił sercu mojemu swoją rozkoszną spokojność. Wszakże języka mego nierozwiązał, ani żalu ukoił, płakałem milcząc podawnemu. Znaleźliśmy już tam przeszło stu chorych. Po dwudziestu dniach pobytu naszego na wyspie zauważaliśmy wielki ruch i powszechne oznaki radości. Powiedziano nam, że to wilija dnia jedynego w którym Dżauk pokazywał się. Jutro święto Dżauka! Chorych i ich towarzyszów nagromadziło się do 2,000 osób, wszyscy w modlitwie i nadziei zdrowia oczekiwali

wchodu słońca tak pożądanego. Ledwietna brzask, strażnicy posadzili chorych u wrót i parkanu Dżauka sami poszli na brzeg morski. O drugiej godzinie po wschodzie słońca, wrota się rozwarły. Wyszedł starzec zupełnie nagi z zapuszczonemi włosami na głowie zawiniętemi w kształt turbanu, a tylko przepasany fartuszkiem. Pod pachą niosł *kalemdan* (kałamarz) sadzony drogiemi kamieniami. Na wybrzeżu morskiem wykąpał się i po krótkiej przechadzce, zwolna i poważnie zbliżał się do chorych. Wszystko odbyło się wedle powieści kupca. Dżauk zaczął wizyty od prawego końca szeregu chorych. Po jednemu opatrywał, pisał recepty i każdemu jego receptę rzucał, pomykając się coraz dalej. Gdy przyszła kolej na mnie, bardzo się zamyślił, i czego z nikim nierobił, opatrzył mię od stóp do głowy. Znowu zamyślił się, wziął mię za rękę i skinął abym wstał. Więc wstałem; dotykał mi wszystkich części ciała, jeszcze raz się długo zamyślił, a potem nagle, nienapisawszy recepty, nierzekłszy ani słowa poszedł daléj. Innym każdemu coś napisał jakby zapomniawszy o mnie. Zagniewało to wielce i zasmuciło moich wezyra, kupca i towarzyszów drogi. Sądząc że i Dżauk nawet niema nadziei wyleczyć mnie, jęli płakać i w głos narzekać.

„Dżauk skończywszy z paniętami wrócił do mnie wziął za rękę i milczkiem poprowadził z sobą do ogródka. Na środku samym stał dom czteropiętrowy. Jedno piętro od podłogi do sufitu napełnione książkami i rozmowami o naukach duchownych i świeckich, medycynie, chemii, fizyce, i wszelkiej innej umiejętności, zbiór autorów arabskich, greckich, hindustańskich, porozkładanych w oddziały osobne na półkach. Gdzie indziej szafy całego piętra zawieszone, zastawione, sprzętami odzieżą, naczyniami rozmaitemi, wszystko od srebra i złota. Na wyższém jeszcze piętrze, słoje, wazony, puszki, flasze, słoiki pełne rozmaitych maści, przypraw, ulepów,

korzeni i t. p. Pośrodku w podłodze, na przeciw drzwi były podwoje stalowe. Doktor zostawił mię na mieszkanie w tym czteropiętrowym domu a sam, otworzywszy podwoje, wyszedł nic niemówiąc i zatrzasnął zasobą rygiel.

„Derwiszu mój! Po kilku godzinach, tegóż dnia, serce mi uspokoiło się. Płaczu bez przyczyny coraz mniej. I tak ode dnia do dnia polepszało mi się widocznie. Po dniach czterdziestu zacząłem jeść z apetytem i spać smaczno. Nozdrza moje, dotąd suche, zaczęły się odwilżać naturalnie. Doktor Dżauk pokazał się dnia czterdziestego, uśmiechnął się, widząc mię zdrowszym: „Idź przechadzać się sobie po ogrodzie“ rzekł mi „możesz sobie jeść wszystkie owoce co ci się podobają“. Dał mi też tabakierkę z jakimś kordyałem, zalecając zażywać co dzień po pigulce, wielkości grochu. Potem znowu poszedł wewnątrz i znikł za podwojami stalowemi. Nie zaniechałem bynajmniej stósować się do przepisu i codzień czułem się silniejszy i weselszy. Tylko niemogłem zapomnieć owej Peri, i kochałem ją po dawnemu. Czas mój trawiłem najczęściej w bibliotece czytając i dumając nad naukami, szczególniej tyczącemi się medycyny. Otóż książek było tyle i tak dobrych, żem się wybornie obeznał z własnościami lekarstw i chorób, z farmakologią i pathologią, potem ze szczegółami dalszemi z diagnostyką, manipulacyą aptekarską i t. p. Brakło mi jeszcze praktyki, bo dobrze mówi przysłowie, że co innego jest słyszeć a co innego widzieć i dotykać. Już dobijał rok pobytu mojego w rozkoszném tém ustroniu, a z Dżaukiem widziałem się wszystkiego dwa razy, wyżéj wspomniane. Wezyr i reszta podróżników moich czekali na wyspie niewiedząc co się ze mną dzieje, żyli jak mogli, nieraz o suchych owocach, gdyż po święcie Dżauka, wyspa opu-

stoszała i nie zostali na niej, tylko moi, i czekali dnia jedynego.

„Przyszłaż nareście i rocznica święta Dżauka. Wyszedł z kryjówki, dał mi kałamarz, papier i kazał iść za sobą, do chorych. Otworzył wrota ogrodu — wychodzimy. O mój derwiszu! tyle razy obchodząc wszystkie zakątki ogrodu niewidziałem nigdy wrot jego. Była to jedna z tajemnic wiadomych tylko jemu. Cóżkolwiek bądź, widok tłumu ludzi zadziwił mię. Moi spółtowarzysze drogi płakali z radości widząc mię zdrowym i przytomnym, bili czołem kładąc twarz na ziemi w znak wdzięczności i hołdu Stworzycielowi za cudowne uleczenie. Dżauk uśmiechał się. Ja dziwiłem się czemu mnie witają, niepoznałem ich, anim się mógł domyślić co ten [zgiełk i gwar znaczył. Wykąpany w morzu i syty przechadzki Dżauk poszedł do chorych. Kazał dać sobie papieru. Trzymałem mu kałamarz podając kartkę po kartce. Dało mi to sposobność najprzód widzieć chorego a potem zazierać w recepty jego; przekonywałem się, że toż samo co ja sam z pierwszego wejrzenia na pacyentów zrozumiałem był, Dżauk słowo w słowo *podobnież* sądził o ich chorobie.

„Stanęliśmy przed jakiegoś młodzieńca. Tylko co wychodził z dzieciństwa. Z twarzą jak słońce majowe ślicznie zaokrągloną owalem, którego kontur tworzyły trefiące się włosy, wzdłuż skroni i jagód, bladych. Niemógł chodzić. Oczy miał wklęsłe głęboko. Dżauk niedał mu recepty, rzekł mi tylko „weźmiesz go z sobą“ i poszedł examinować innych. Posłuszny mistrzowi mojemu zaniosłem chorego do ogrodu. Przyszedłszy do czteropiętrowego domu, Dżauk zostawił mię w bibliotece a młodzieńca wziął z sobą i drzwi na klucz zamknął. Kusiła mię ciekawość zobaczyć co ten doktor z nim uczyni? Wlazłem na płaski dach domu i przez dziurkę śledziłem za odchodzącemi. Patrzę aż Dżauk

dał mu się napić; młodzieniec omdlał i padł jak nieżywy. Dżauk rozkrzyżował go, przybił cztérma gwoździami i brzytwą zręcznie bardzo, ściął mu wierzch czerepu nie nadwerężywszy błony mózgowéj. Rozłożył ogień i zaczął rozpalać do czerwoności żelazne kleszcze. To widząc przypomniałem, żem już czytał o tej chorobie i naczem zależy udanie się téj arcytrudnéj operacyi: owad stonóg załazi przez ucho do mózgowego czerepu, żyje tam sokami linfatycznemi, sprawia nieznośne bóle głowy i jest przyczyną, że chory upada na siłach, schnie, a wkońcu dostaje zapalenia mózgu i w okropnych mękach umiera. Trzeba koniecznie stonoga obcęgami rozpalonemi wyciągnąć. Otóż cała na tem sztuka, ażeby zgadnąć stopień gorąca żelaza, za zimne obcęgi, nieprzypiekłszy stonoga, nieprzymuszą go puścić błony mózgowéj, owszem może ją rozedrzeć; w przeciwnym razie za nazbyt gorące obcęgi mogą spalić tę błonę, to jest zabić pacyenta. Wyrzuciwszy stonoga ścięta miseczka czerepu wkłada się na swoje miejsce, namaszcza się pewnym olejkiem *etc.* Z takim zapasem w pamięci, śledziłem za ruchami operatora okiem znawcy. Dżauk dobył z ognia obcęgi rozpalone do czerwoności i chciał ująć stonoga, może niedojrzał staruszek, że nazbyt rozpalone. Niewytrzymałem, zabiłby pewnie młodzieniaszka, więc krzyknąłem: „Mistrzu stój, obcęgi za gorące!“ Dżauk osłupiał. Podniósł ku mnie głowę, rzucił w stronę obcęgi, i w rozpaczy bijąc się obu pięściami w pierś, otworzył drzwi moje i zniknął w zaroślach ogrodu. Ja zaś przybiegam prędzéj do pacienta, widzę że obcęgi nieco ostygły, więc wezwawszy najświętsze imie Allaha uszczypnąłem stonoga. Owad skurczył się, wyjął nog z błony, rzucam go precz daleko, nakrywam czerep miseczką odciętą, mażę olejkiem, obwiązuję bandażami mocno, i przekonany żem wszystko zrobił co trzeba, biegnę z tryumfem do mistrza. Po długich poszukiwa-

niach znajduję Dżauka. Daszże wiary, derwiszu! Znalazłem tylko trupa jego!— Obwiesił się na gałęzi, na pętli z własnych włosów, taką zazdrością uderzył szatan: jeden błazen mię starego zawstydził! Ja niewiédziałem, on wiedział! Takie musiały być jego ostatnie myśli, i taka wola niezbędnego fatum! — Żal mi bardzo było zapłacić mu śmiercią za jego troskliwość o moje zdrowie, lecz Bóg mi świadkiem, że nie moja dobrowolna wina. Zdjąwszy go z gałęzi, zacząłem trzeźwić, napróżno. Więc wykopawszy jamę, niosę go pogrześć; znajduję we włosach trupa dwa klucze; chowam je do kieszeni; grzebię umarłego; wracam do młodzieńca. Z tym łatwiéj było, wstał z omdlenia; ja pobiegłem szukać drzwi dla moich kluczów. Oba zamykały gabinet do którego nikt za życia Dżauka niewchodził, z dziedzińcem zasadzonym lekarskiemi ziołami. W izbach pełno klejnotów i pereł zsypanych na kupy, w nieładzie. Drugi klucz był od skrzyneczki. W niej książka oprawna w złote sadzone dyamentami okładki. Przewracam karty, mój Boże! cóż to za skarby! Wszystkie mistyczne perły, bezcennej wartości w świecie ducha: twórcze słowa i zaklęcia. Imie Wszechwielkie, czary, gusła, sposoby zaciągania sobie na służbę diwów peri, duchów, i temu podobne rzeczy najporządniej spisane i objaśnione. Gdym to wszystko ujrzał krzyknąłem radośnie i zemdlałem. *(Dwuwiersz)* „To zaczem serce moje trapiąc goniło, pod zasłoną tajemnicy znalazło się“.

„Derwiszu! próżnobym się wysilał opisać tobie uczucie błogości jaką mię napełnił ów wynalazek skarbnicy najskrytszych celów moich. Uderzywszy czołem dziękczynienia Bogu Bogów, spieszyłem dowiedzieć się o mojego pacyenta. Starania moje skutek uwieńczył. Po dwudziestu dniach wyprowadziłem go z ogrodu. Znalazłem tam przyjaciół moich. Do wdzięczności mło-

dzieńca, łączyli swoje podziękowania i radość, żem nakoniec zdrowiem mojém i darami moimi uszczęśliwił ich wszystkich. Śpiewali hymny dziękczynne Bogu i *(dwuwiersz)*: „Sto dzięków żeśmy oswobodzeni z pęt smutku, ucieszyliśmy się weselem twarzy przyjaciela". Wezyr ojca mojego, kupiec, i reszta spółpodróżników i sług, zaopatrzyli się w żywność, opanowali znalezione w ogrodzie Dżauka sprzęty, dostatki, klejnoty, srebro i złoto i przenieśli na nasz okręt. Bogu najwyższemu chwała przepłynęliśmy morze bez szwanku. Wyleczony przezemnie młodzieniec był księciem wielkiego państwa, z przyjaciołmi swoimi zdrów i wdzięczen mi wrócił do ojczyzny. Co do mnie, wysłałem gońca dla uprzedzenia ojca o pomyślnym powrocie moim, a jechaliśmy od noclegu do noclegu zwyczajnemi drogami.

„Król ojciec mój tylko co nieumarł z radości. Kazał wszystkie ulice i ściany ubrać a w nocy oświecić rzęsistą illuminacyą. Sam z książętami, ministrami, i urzędami dworu wyjechał daleko na spotkanie moje. Ucałowaliśmy się po raz pierwszy właśnie na tém miejscu. Taki był zgiełk zewsząd tłumiącego się ludu, że niechcąc jechać do miasta prosiłem ojca aby mi pozwolił jakiś czas jeszcze przemieszkać w moim ogrodzie.

„Odpowiedział: „Synu, światło mych oczu! Niezapominaj co ci się już zdarzyło w tym ogrodzie; dla tego właśnie kazałem go zniszczyć. Kamień nie został na kamieniu!"

„Na tę wieść skoczyłem z konia i padłem na ziemię jęczeć i szlochać. Wszystkie prośby i groźby ojca chcącego mię koniecznie zabrać do miasta odrzuciłem. Musieli radzi nie radzi dogadzać i na témże samém miejscu zasadzić nowy ogród. Natychmiast, w skutek firmanu królewskiego, mularze, inżynierowie, ogrodnicy, sporządzili ten sad. Pałac który tu widzisz zbudowany na moją prośbę. Sprowadzono żywą wodę i wszystkie

te wygody i przyjemności. Stu rzeźkim chłopakom kazano służyć mi. Dokonawszy tego wszystkiego, król ojciec zasmucony wrócił na mieszkanie do miasta. Ja zaś zacząłem mój tu pobyt od czterdziesto-dniowego postu, bez mięsa, o chlebie, owocach i wodzie. Czytałem tylko rzeczy święte i duchowe. Co dzień co noc nawiedzały mię najdziwniejsze, a coraz nowsze zjawiska, z wielkiém dla mnie udręczeniem. Jedyna tylko nadzieja złączenia się z moją Peri, krzepiła mię odwagą znosić spokojnie strachy i grozy widm przeraźliwych. Obojętnością i nieruchem odpierałem napaść drapieżnych potwór i ogniem pieniące się smoki. Żadnéj z pokus i kłamliwych obietnic szatana nie dałem się obłąkać. Dzięki zaklęciom wyczytanym w owéj księdze Dżauka, niszczyłem zdradliwe poszepty piekła. Tak minął ów post okropny. Aż oto czterdziestéj nocy, zrywa się gwałtowna nawałnica: deszcz leje jak z wiadra, wśród błyskawic, grzmotu, ziemia zaczyna trząść się, ryki i wycia napełniają powietrze i oto — spuszcza się z pod niebios tron! —

„Staje na ziemi. Siedzący na nim starzec, oliwkowéj twarzy, w koronie brylantowéj, pod kotarą tkaną z pereł, wita mię i mówi:

„Młodzieńcze dopókiż masz się pastwić nad ludem geniuszów? Palisz nas nieugaszonym pożarem; przestań a mów czego chcesz od nas? Jeśliś na to się usadził, aby nas wymordować do szczętu, bądź wola twoja!“ —

„Rzekłem: „Nie przestanę aż mi tu przysiężesz na ducha czystego Salomona że zaniechasz zdrad i chytrości i wybiegów, a powiesz mi rzetelną prawdę“. — Starzec przysiągł. Rzekłem: „Ty masz córkę, niewinną jeszcze panienkę, pod zasłoną wstydu. Kiedyś przysiągł prawdziwie, i nie szukasz jak tu się wymknąć przezedrzwi fortelu, daj mi tę dzieweczkę za żonę. Ona potrzebna dla uspokojenia serca mego“. Starzec uśmiechnął się i

dodał: „Więc to i wszystko czegoś chciał?“—Rzekłem: „Alboż jest jeszcze co ważniejszego dla mnie?“ Rzekł: „Na przeczystego ducha proroka Salomona przysięgam, że nie mam córki godnéj być towarzyszką życia twojego! My geniuszowie, nie mamy ani prawéj wiary, ani nawet miłéj powierzchowności, czarni, kalecy, szpetni“

—„Są to wszystko wykręty i szalbierstwa, nic więcéj“

—„Na dowód że ci prawdę powiedziałem, kładę warunki: przyrzecz mi że jak tylko ją zobaczysz; my zrobiliśmy swoje, a ty przestaniesz nas ścigać“.

—„Zgoda, przyrzekam.“—

„Starzec skinął. Gieniuszowie rozlecieli się i po chwili przynieśli na krzesełku—jakąś poczwarkę tak obrzydliwą, że nie umiałbym ci jéj odmalować. Szpetna jak grzech śmiertelny, ale cała osypana klejnotami i perłami jak gdyby w nich pływała. Spojrzawszy raz na nią krzyknąłem „Święć się imie pańskie, precz szatanie! A ty starcze, z sercem kamiennėm, ty musiałeś ową cudnie piękną przemienić w tego koczkodana“. — Znowu zaczął się kląć na czém piekło stoi i wzywać najświętsze imiona na świadectwo że to istotnie jego córka i że zawsze taką ma postać. Nakoniec przekonałem się że mówił mi prawdę; zacząłem go prosić o pokazanie téj któréj szukałem. Rzekł, „A to zupełnie co innego. Ty mówisz o córce króla per, o pięknéj peri królewnie ziem Omanu. Probuj ją zdobyć. Zaklęcia twoje tak silne, że może i perim przyjdzie się, jak nam dzisiaj, prosić o pokój. Rób co chcesz, ale ostrzegam i przysięgam na ducha Salomonowego, że lepiéj byś zaniechał twych starań. Ucierpisz bardzo, a po nadludzkich wysileniach i trudzie, gdyby ci się nawet i udało ją zdobyć, nie użyjesz zwycięztwa. Związek jéj z tobą tak byłby sprzeczny i niemożebny, jak zlanie się ognia z wodą“. Dłużéj i więcéj mi jeszcze kazał o dziwactwie mojego zamiaru, ale nie dałem się przekonać. Serce

moje kochało jeszcze uporniej. (*Wiersz*). „Gdzie i który z zakochanych poszedł za zdrową radą?“—

„Tak jest. Przyrzekłem geniuszom zostawić ich w pokoju i nie ściągać ich do siebie potęgą moich słów magicznych i czarów. Rozwiązałem ich i pozwoliłem odejść, a sam daléj do jedynéj ucieczki mojéj, do łez, do tęsknoty, do narzekań, po dawnemu! Pilnie przeczytałem w księdze Dżauka wszystkie sposoby zaklęć i podbicia duchów Omanu. Bóg mi dodał otuchy, nawet miła woń odpoczynku owiała mię z przybyciem nocy. Oddychałęm tém swobodniéj. Wszyscy książęta Omańskich per przychodzili jeden po drugim zalecać powolne służby swoje. Ostatni przybył król, ojciec królewny serca mojego. Mówiliśmy z sobą długo. Stanęło na tém że owa pani cesarstwa piękności, owa gwiazda nieba wdzięków, zamieszka przy mnie, ale pod warunkiem żebyśmy żyli z sobą jak brat z siostrą, nic a nic więcéj. Wszakże król, ojciec jéj, przystając na to, niedowierzał mi, rzekł: „Teraz przyrzekasz, lecz jak mam ufać że mi dotrzymasz słowa?“—Rzekłem: „Zkądże ta niewiara?“—Rzekł: „Adama syn rodzi się wiarołomcą. Wszakże co się stało nie odstanie. Ostrzegam tylko że jeżeli jaka chuć nieporządna przyjdzie ci na myśl, córka moja, wiedz, śmiercią umrze! A jéj zgon przyczyni i tobie i mnie ciężkich utrapień. W przeciwnym razie, dopóki ty niepokalany i wierny, dopóty ja twój sługa i podnóżek, polegaj na mnie jak na prawym zwolenniku swoim“. — Rzekłem: „Monarcho wielki! Daj mi raz tylko spojrzeć na pie szczotkę duszy mojéj, a mniejsza co będzie potem; co ty nazywasz biadą, po naszemu nazywa się wczasem.

„Stało się! Po zawarciu przymierza, Peri moja poka zała się na progu drzwi moich. Spojrzała; oczy nasze spotkały się i wodze rozsądku z rąk mi wypadły; serce moje, jak koń rozkiełzany, niosło mię na rozdroża. Ileż

błogości znowu po tylu latach niewidzenia, kąpać stęsknione oczy w blasku promieni jéj wdzięku!

„Tuliłem ją do piersi, jak duszę. Gdzie stąpiła, całowałem ślad stopy. Ona téż na moje pieszczoty odpowiadała dziewiczą miłością. Dziwiła się bardzo stałości moich uczuć dla niéj, chwaliła wierność nadludzką. Tak mijały nam dni za dniami, w tym oto pałacu właśnie co tam widzisz przy węgle. Ileż to razy, ostrzegała mię najłagodniéj: „Mój drogi uważaj, pilnuj siebie, niezapominajmy że tu do koła czatują szpiegi ojca mojego. Lecz nadewszystko czuwaj nad księgą twoją, a to, broń Boże, ukradną sylfowie. Lud geniuszów ma mnóstwo czarodziejek i czarowników, co jednym ust ruchem mogą świat przewrócić“. — Bodajbym dłużéj słuchał tych przestróg! — Pewnéj nocy piłem do późna i poszedłem spać bardzo pijany. Przeklęty szatan mię skusił, chciałem ucałować piersi uśpionéj żony. Ktoś mi szepnął: zdejm i rzuć twój amulet [9]), jest tam *Imie Wszechwielkie*. Wino mi wrzało we krwi, nie poznałem się na chytrości czarta, oderwawszy co prędzéj zawiniątko oddałem je szepcącemu. W mgnieniu oka Peri moja obudziła się i krzyknęła: „Ach, okrutny, zapomniałeś przestróg moich! biada nam, biada, stracone wszystko!“ Jéj głos otrzeźwił mię. Przecieram sobie oczy, patrzę ku drzwiom, aż jakaś brzydka wiedźma ucieka już z moim amuletem w szponach, dopadam jéj, chcę wyrwać kradzież, aż oto druga potwora niesie oburącz księgę moją! Zaledwiem uśpiał tchnąć na nią i zaklęciem przemienić ją w krowę. Wydarłem książkę, bestyą przywiązałem do drzewa. Ale tymczasem, zapomniałem o

[9]) *Deawat*, coś nakształt katolików szkaplerza, zawiniątko w którem muzułmanie noszą modlitwy napisane ręką ludzi świętych; zawiniątko to przywiązane na ich ramieniu lub pod pachami, powinno być w dzień i w nocy przy noszącym je.

amulecie skradzionym, złodziejka uciekła bezkarnie; mnie co innego na sercu, biegłem do żony: piękna jak przed chwilą, ale niema i zemdlona na łożu naszém. Dotąd tam leży bez ruchu jak cyprys zrąbany, zdaje się w letargu, tylko że bez przebudzenia! Wiem z pewnością że to skutek czarów. Bóg mi nie dał jeszcze rozwiązać letargu. Codzień pastwię się nad przemienioną krową. Ręce biją sprawczynię mojéj niedoli, lecz radość moja zatruta goryczą. Dla tego to unikam ludzi, nawet ojca mojego, i tęsknię sobie samotny w tym ogrodzie. Jedyną mi rozrywką, praca jubilerska. Myśląc o mojéj Peri, przez lat trzydzieści robię ze szmaragdów cyprys i mozaikę wazonu, aby je z początkiem każdego miesiąca pokazać ludziom i skruszyć w drzazgi, jak skruszyło się szczęście moje z życiem cyprysowéj kochanki mojéj! — Nierad, muszę zabijać jednego ze sług moich, aby lud przerażony widokiem złości mojéj, stronił odemnie ani mi przeszkadzał żyć smutkiem moim. Chcę tylko aby się litowali nad ogromem nieszczęścia mego, więc płaczę i narzekam w nadziei że téż znajdę i na ziemi współczucie. Może modlitwa jakiéj niewinnie cierpiącéj duszy westchnie za mną do Boga i Bóg najwyższy dla niéj daruje mi grzech mój, użali się nad niewinną Peri! Oto, derwiszu, osnowa tkani kolei moich!"

Skończywszy mówić, okropnie ryknął, usta mu pianą zawrzały, jął się tarzać po podłodze i rwać na sobie ubiory. Nagle uskoczył, i roztargniony, obłąkany, wybiegł na pole.

Królu! bole nieszczęśliwego, zacnego młodzieńca, wraziły się iskrą palącą w serce moje. Przysiągłem Bogu, ślubowałem że nie pójdę do Basory po moją nagrodę, wprzód aż go nie ujrzę szczęśliwym. Poszedłem szukać ulgi dla szaleńca z miłości. Przez pięć lat, boso, z nagą głową, przechodzę z pustyni w pustyń, z kraju do kraju.

Gdziekolwiek spotkam człowieka z wyższém tchnieniem [10]) lub czystego derwisza lubiącego samotność i życie kontemplacyjne, natychmiast proszę o sposób pomocy królewiczowi Nimruzu. Niedawno jeszcze zdarzyła mi się znajomość z tymże samym pustelnikiem, który i mnie i obecnych tu współderwiszów posłał w twoje kraje. Przepowiedział mi kilka rzeczy co się już sprawdziły; że spotkam trzech derwiszów, z których każdy pracuje w wielkim, zbawiennym celu; że wszyscy czteréj wezwani będziemy przed króla; że król ten cierpi podobnież jak i my, goniąc za prawym pozwolonym przez koran celem i, nakoniec, że na dworze tego króla, gwoli jemu i nam, objawią się rzeczy zakryte dotąd w mroku tajemnicy. A że i ja i współderwisze moi, wiadomą już tobie koleją, to jest słowo w słowo jak nam przepowiedział ów pustelnik, stoimy teraz przed obliczem twoim, więc tuszę że niedaleka chwila gdzie i ty królu, łaską Dawcy błogosławieństw, snadniej niż dotąd doścignięsz celu tęsknoty twojéj, i my przez ciebie staniemy u kresy zamierzonego tułactwu naszemu, co daj Boże, amen!—

Król Azadebecht i obecni ministrowie jednym głosem zawołali: amen! Każdy z nich zamyślił się nad zrządzeniem Bożém i zabolał nad przygodami owego szaleńca, jeżdzca na krowie. Poczem, król Azadebecht, poufale i bardzo łagodnemi wyrazami wezwał czwartego derwisza, aby opowiedział czego szuka na ziemi i dla kogo cierpi tułactwo i niewygody. Wezwany, zalał się łzami, zapłakał jak obłok wiosenny, a potem, słowiczym głosem i stylem zanócił powieść następną.

Aleksander Chodźko.

---

[10]) Po persku *Sakibi dem* „Pan tchnienia". Muzułmanie nazywają Chrystusa *ruhullah* „duch boży" i wierzą, że siłą tchnienia swojego wskrzeszał umarłych.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O tłumaczeniach i o trudnościach w doskonałem odwzorowaniu oryginału. Różnica cywilizacyi i ducha języków stawia nieprzełomne zapory tłumaczom. Poezya gminna usposobiła nowsze języki do przyswojenia sobie arcydzieł różnych narodów. Zwrot ku starożytnym, szczególniéj ku Grekom, pojawia się od niedawna w naszéj literaturze. Kilka postrzeżeń nad przekładem Eschylesowego Agamemnona i Hymnów kościelnych Hołowińskiego.

Najprostsze sposoby najtrudniéj się przyjmują, i wiele potrzebują czasu zanim się przyjmą. To można zastósować do tłumaczeń z jednych języków na drugie, którym po większéj części niczego nie brakuje, tylko życia i duszy, czyli ducha ożywiającego autora. Tłumacze, najczęściéj bez wrodzonego talentu, silą się oddawać słowa nie jeniusz utworu; niedbają o przelanie treści żywotnéj, o napełnienie nowego ciała wewnętrznym duchem pierwszego twórcy, ale i duchem ludu—a jednak zdaje się im że są tłumaczami.

Niezwracano na to uwagi, że wyrazy nietylko wyrażają ducha samego autora, ale jeszcze i ducha narodu

do którego należą: słowa bowiem, są to cudowne symbole, nietylko wieków i ludów, lecz i różnych narodowości, i najrozmaitszych plemion. Możnaby postawić twierdzenie iż nigdy *słowo* nie jest w stanie oddać wszystkich a wszystkich odcieniów myśli. Porównajmy wzruszenia serca i delikatne cieniowania pojęcia naszego z zasobami języka, a przekonamy się że te zasoby, jakkolwiek ogromne i bogate, zawsze niedorównają wyobrażeniu lub namiętności jaka ma być przez nie wypowiedziana. Mowa ludzka, ten wyraz materyalny, ten symbol żyjący myśli i obrazów i uczuć rodzących się w naszéj głębi, chociażby jak piękna, silna i malownicza, będzie niczém więcéj, tylko odbiciem się, tylko cieniem treści. W naturze naszéj tyle jest tajemnic, tyle nieokreślonych zagadek; tak trudno nam nieraz, tak niepodobnie wyrazić co się w nas dzieje, że musimy przyznać iż język mówiony u każdego narodu jest z natury swojéj narzędziem niedoskonałem, zmiennèm, sztucznèm, dającém tylko słabe wyobrażenie o naszych uczuciach, boleściach, lub rozkoszach. Śpiew słowika, prosta nieraz melodya dumki, daleko więcéj wypowiadają, niż najśliczniejsze wiersze wypowiedzieć są w stanie. Dla tego téż kto wiele przeszedł w zawodzie życia, kto głęboko badał społeczeństwo, przypomni sobie jak niejeden leciuchny odcień, niejeden rys w lot dojrzany i pochwycony, gdyśmy go chcieli uwięzić w wysłowieniu, zacierał się lub przechodził w ciężką pospolitość. Gdy tedy, jak usiłowałem pokazać, nigdy wyobrażenia i uczucia jakiegobądź narodu nie mogły znaleść dla siebie doskonałego symbolu, tedy i następstwa wynikające z tego założenia, muszą uderzać swoim niedostatkiem.

W samem przejściu z pomysłu do wyrażenia go słowem, odbywa się już, że tak powiem, piérwsze tłumaczenie, a w tej czynności koniecznie musi się zatrzeć najważniejsza, i najlotniejsza cząstka myśli pierwotnéj.

Cóż dopiero, kiedy przyjdzie tłumaczyć z jednego języka na drugi, kiedy dwa instrumenta zarówno niedoskonałe i nastrojone na ton odmienny, będziemy chcieli zgodzić ze sobą. Jeżeli Homer nie zdołał wszystkiego wypowiedzieć co chciał i czuł, jakżeż inny język nieużywający większego przywileju, będzie mógł oddać pierwotwór homeryczny? Rzecz widoczna, że jeszcze więcéj niż sam Homer oddali się od myśli oryginalnéj która się poczęła we wnętrzu poety. Trudności te powiększą się nieodzownie w miarę, jak obyczaje i język ludu jakiego będą się różnić między sobą, w miarę jak uczucia, wyobrażenia i obyczaj narodu którego utwór się tłumaczy, w niczem nie będzie podobny z uczuciami, wyobrażeniami i obyczajem tłumaczącego narodu. Biedaczka myśl, co się już nieco zatarła przechodząc w słowo, urania coraz więcéj z swojéj istoty, krusząc się przez wciskanie w odmienne formy gramatyczne, przez narzucanie sobie odmiennych własności, przez oddanie wyrazami niemającemi téj donośności co w pierwotworze. Już Rzymianie źle pojmowali i nie byli w stanie oddawać pomysłów homerycznych, chociaż łączyły ich jeszcze węzły wspólnéj z Grecyą cywilizacyi; że nie mają ani jednego przekładu Iliady i Odyssei, to samo najlepiéj dowodzi, jak niezmierny był przedział między ich sztuczną literaturą, a poezyą Grecyi która podyktowała prawa sztuce. Jeszcze bardziéj, gdy nowożytny świat wyszedł z gruzów starożytnego, gdy społeczeństwo urządziło się feudalnie, gdy pogańskie niewolnictwo zaczęło tracić swój charakter, gdy indywidualność niewiasty rozwinęła się pod opieką chrześciaństwa, zgoła, gdy wszystkie przeobraziły się stosunki, inne nastały wyobrażenia, inne obudziły się uczucia i dążności—jeszcze bardziéj Homeryczna pieśń odsunęła się w głąb i jeszcze mniéj znalazło się analogii między starożytną, a nowożytną cywilizacyą. Z Homera został tylko szkielet, cień

prawie, który potrzeba było erudycyą odgadywać, ożywiać natchnieniem. Mimo tego tłumaczono go wszędzie na różne języki europejskie, ale tak, że ani charakteru, ani owéj poważnéj bohaterskiéj prostoty nie umiano w nim zostawić. I niedziw, bo duch cywilizacyi epoki Homerowéj, przechodził wiedzę i czucie najzawołańszych jego tłumaczów co pojmowali klasycyzm starożytny tak, jak go pojmowała tak zwana literatura odrodzenia się nauk, nieumiejąca odgadywać ani stanu społecznego epoki bohaterskiéj Grecyi, ani rozumieć związku między światem bogów a ówczesnymi ludźmi, albowiem co do tego ostatniego punktu oświecano się tylko mitologiją rzymskich pisarzy, pozbawioną już tego ducha głębszego który ożywiał religiję pierwotnych Hellenów. Ztąd też czyny i mowy bohatyrów pelazgicznych poprzekręcane są niemiłosiernie, a uniknąć tego było niepodobna nie znając klucza do téj cywilizacyi starożytnéj.

Pomimo najlepszych studiów, z wszelkiem tłumaczeniem dzieje się to samo, co z operacyą chemiczną w czasie któréj ulatnia się treść ciał poddanych analizie. Nigdy też sztuka tłumacza nie może zapobiedz aby się nieulotniła i niezwietrzała najistotniejsza cząstka oryginału; przybliżenie tylko może być większe lub mniejsze, i w tém cała zasługa aby jak najbliżéj zetknąć się z oryginałem. Przekalkowanie samych słów, choćby w porządku jak idą po sobie w tekscie, nie daje bynajmniéj zadowalniających wypadków; owszem, ten rodzaj niewolniczego tłumaczenia okupywany bywa kosztem i dobrego smaku, i harmonii i natury języka którym się tłumaczy: tak dalece, że czytając podobny przekład tyle się zeń korzysta, ile z samego oryginału, kiedy się go nierozumie. Uważałem, porównywając różne przekłady Homera, że nasz język ma niezmierną wyższość nad innemi do oddania wszelkich cudownych własności pierwotworu greckiego, a to z téj przyczyny, że podobnie

jak język grecki jest malowniczy, pierwotny, prosty w swoich wyrażeniach, a przytem jakby stworzony na oddanie kształtów i barw, tak i nasz, lubo nie w tym stopniu, ale bardzo przybliżenie posiada te same przymioty, zwłaszcza odkąd zrzucił ze siebie pęta frazeologii i zaczerpnął téj naturalnéj swobody i malowniczości jaka znamionuje pieśń gminną lub powieść. Każdy język urobiony na szkolnéj loice i retoryce, rozumujący i metafizyczny, mający zdolność oddawania odcieniów myśli, a nie zewnętrzną stronę rzeczy, nigdy niepodoła Homerowi, i jeśli się porwie nań, przegra sprawę, jak ją przegrali bez apellacyi Cesarotti, Pope, Bignan, nasz Dmóchowski i tylu innych, co mimo zdolności pisarskich, minęli się z oryginałem.

Niektórzy przyjmują za zasadę, że tylko ta epoka zdolną jest przekładać jakiego starożytnego autora, która zostaje w analogii z tą epoką w jakiéj żył ów autor; lecz w dziejach ludzkości trudno znaleźć dwie epoki kropla kroplę podobne sobie, zwłaszcza że różnica narodowości i wyobrażeń religijnych zawsze będzie niezmierna. Mimo tego jest w tem cokolwiek prawdy, gdy między innemi, przekłady biblii lub Homera dokonane w wiekach czerstwiejszéj i prostszéj wiary, rycerskości i śmiałych przedsięwzięć mają dziś dla nas jakąś woń starożytną, jakąś wielkość w prostocie, a w samem słowie zwięzłą moc i coś tak wyrazistego, że nowszy pisarz może i płynniéj i wdzięczniéj i głębiéj to samo powiedzieć, ale sposób jego powiedzenia niezawsze potrafi tak uwydatnić kształty zmysłowe, ani tak je narzucić barwami, jak to umiały robić wieki mniéj wykwintnéj cywilizacyi.

W niewyrobionych jeszcze językach było coś, co miało analogię z homeryczną lub biblijną prostotą. Na dowód weźmy jeden ustęp z Iliady przełożony przez Jana Kochanowskiego; o ileż on bliższy swego wzoru, od pó-

żniejszych, z przeszłego wieku tłumaczeń! Jeżeli czego żałować, to że Kochanowski niedokonał całego przekładu Iliady, nie już rymem, bo ten widocznie mu zawadzał i plątał potoczność opowiadania, ale wierszem białym użytym tak szczęśliwie i wzorowo w Odprawie Posłów. Spokój, powaga, zwięzłość i dosadność słowa, a nadewszystko to odgadnienie greckiego ducha, którem Kochanowski wyprzedził wszystkich nowożytnych pisarzy co go odgadnąć usiłowali, zgoła te nieoszacowane w tłumaczu przymioty, mogły przyczynić się do prawdziwego wzbogacenia naszéj literatury przekładem, któremuby równego nieznalazł w żadnym języku. Kochanowski, prawdziwy twórca poetycznego naszego kodeksu, miał już przeczucie pieśni gminnéj, jak tego ślad zostawił w Świętojańskiéj Sobótce; był więc w części panem tajemnicy odsłaniającéj mu zagadkę wieków Iliady i Odyssei. Rzecz dowiedziona, iż sam język książkowy czyli taki, jakim go robią ciała akademiczne, lub szkolna retoryka, lub nareszcie wykwintne wymagania wyższych towarzystw dworskich, nigdy niepodała téj swobodnéj prostocie cechującéj zazwyczaj wszystkie utwory młodzieńczości narodów; niepodoła tym epopejom religijnym, bohatyrskim, jak biblijne ustępy, jak Edda, poemata homeryczne i t. p.

Dzisiejszy nasz język, ile stracił na zwięzłości, barwności, i téj męzkiéj energii będącéj własnością pisarzów Zygmuntowskich, tyle znowu zyskał na giętkości dającéj się użyć do każdego przedmiotu; bogaty w cieniujące wyrażenia zdolnym się staje do oddania wszelkiéj myśli lub obrazu, a i prostym być umie przez przyswojenie sobie form i wyrażeń i toków mowy pieśni i powieści gminnéj. Władając nim, czyli będąc panem starego naszego języka i nowego żywiołu, można się już łatwiéj pokusić o przelanie na polskie tych nieśmiertel-

nych wzorów, które zawsze będą wszystkich tłumaczów przyprawiać o rozpacz.

Tu już zasada o analogii epok niemoże na nic się przydać; bo kiedyż było więcéj przeciwieństwa jak między naszym czasem tak prozaicznym tak niebohatyrskim, tak analitycznie wytrzeźwionym, tak skierowanym do drobnych praktycznych celów, a między temi epokami pełnemi syntezy, wiary wszystko przenikającéj, i pędzącéj do odegrania wielkich scen życia. Małość mierzy się tu z olbrzymiością, chłód z ogniem, bardzo względne prawdy, z prawdami nieprzełomnymi, pół charaktery z charakterami jednego odlewu. A jednak mimo téj sporności, i właśnie dla téj sporności, epoka nasza zdolną jest więcéj niż inne, odwzorować sobie ten świat starożytnego idealu, który swoją cudowną uroczością tem więcéj pociąga, im większe koło siebie spostrzegamy braki. Tkwi bowiem w zadaniu idei nowożytnéj pewna dążność usiłująca rozprzestrzenić pole umysłowości, przez przyswojenie sobie słowa i wyobrażeń różnych narodów i różnych epok cywilizacyi, przez zaszczepienie swojskiéj literatury na pniu innych literatur, zgoła pewne zbratanie się duchem w narodach. Widoki te liberalne i zbyt filozoficzne, nigdy niemogły postać w myśli Rzymian, co choć tak spowinowaceni z Grekami, których wzięli sobie za mistrzów, przecież nieumieli wniknąć w ich ducha, tylko chcąc sobie oszczędzić trudu tworzenia, korzystali po prostu z form wynalezionych przez Greków. Zasada plagiatu tak była zakorzenioną w Rzymie, że nikt się nawet niedziwił, kiedy pokazała się *Eneida* obciążona łupami zdartemi z epopei Homerycznéj.

Ta właśnie sympatyczność duchowa i umysłowa między dzisiejszemi narodami robi zadanie tłumacza łatwiejszém o wiele niż dawniéj; toż i tłumaczenia dosięgają wyższéj doskonałości, i już zaczynają wchodzić w skład bogactw intelektualnych każdéj literatury.

Wszakże obok tego, jak zawsze, wyradza się rzemieślnictwo i nadużycie. Niech tylko jakie znamienite dzieło ukaże się gdziekolwiek, zaraz dzielą je między takich wyrobników tłumaczów, którzy najczęściej niemają innej zasługi, prócz pośpiechu w robocie. Nakładcy idzie też najwięcéj o pośpiech; byle gruby sens materyalny został mniej więcéj wiernie przekopiowany, o resztę mniejsza. Bo cóż obchodzi spekulanta, że publiczność nawyka do złego stylu, i nabiera fałszywego wyobrażenia o pisarzu w ten sposób pogwałconym? Stawić tłumaczenie na wysokości sztuki, jest dziś prawie niepodobieństwem, tak dalece zajęły się tém zadaniem mierności, i tak dalece spospolitowano ten zawód, że choćby i wyższy talent poświęcił sumienną pracę i długie lata przekładowi jakiego znamienitego utworu, to pewno nieznajdzie czytelników, a nakładca, odeszle go do kategoryi wyrobników pióra. Włoskie przysłowie: *Traduttore, traditore* — może się najlepiéj stósować do tej śnieci zanieczyszczającéj wszystkie żyjące literatury. Odkąd robienie książek pomięszało się z wyobrażeniem o tworzeniu, czyli produkcyi z ducha i serca — odtąd zawód wydawcy i autora spłynął niby w jedno, — odtąd nasuwa się konieczność częstego wytykania granicznych kopców między rzemieślnikiem, a sztukmistrzem. Podobnież i w tłumaczeniach — jedne są, które żadnego zysku nieprzynoszą literaturze, drugie, które tyle ważą co najoryginalniejsze utwory. Wiadomo przecież jaki obrót i wzrost nadały literaturze niemieckiej przekłady Vossa dokonane w przeszłym wieku. Dość przeczytać wyborne dzieło Cholewiusa w roku zeszłym wydane, w którém kreśląc stan literackich pojęć w Niemczech, i niedołęstwo płodów sypiących się z pod piór, wskazał zaraz inny zwrót, inny polot, kiedy piszący skąpali się w przyswojoném sobie homeryczném źródle.

Wielkie wzory, nigdy niebyłyby takiemi, żeby niemiały owéj własności zaszczepiania ideału, a tem samém wznoszenia nad poziom codzienności.

Owoż, choć to niezastanowiło nawet dzisiejszych krytyków, co z wyżyn swoich ledwo półgębkiem raczą uwzględniać tłumaczenia, choćby najklassyczniejszych Autorów — postrzegam nieśmiały jeszcze, lecz dość już wyraźny przekłon ku studiom starożytnym, szczególniej Greckim, co choć niepostrzeżenie i niegwałtownie, zawsze jednak niepomału przyłożą się do nadania płodom wyobraźni owego stępla nie tak łatwo ścierającego się w steku pospolitości.

Ostatnich kilka lat przyniosło nam wcale nie złe przekłady Sofoklesowych trajedyi przez Kaszewskiego. Tłumacz użył rymu, i w tém dowiódł, że szczerze myślał o wykonaniu artystycznego przekładu; lubo z drugiéj strony wiersz jego niema jeszcze téj gibkości, styl téj mocy i malowniczości, aby zupełnie wypowiadał myśl oryginału z właściwą mu precyzyją, a razem, żeby te zabytki oddawał z ową starożytną śniedzią nadającą świeżemu przekładowi pewną oryginalność, a co tylko potrafi poeta umiejący wcielić w siebie ducha jaki nieraz ukrywa się pod zmartwiałą formą, lub zwietrzałem słowem...

Małeckiego Elektra ma wiele wartości pod względem filologicznym, zaleca się wiernością, ależ właśnie to zbytnie trzymanie się oryginału odjęło przykładowi jasność i wdzięk. Tłumacz nie szukał w toku polskich wyrażeń się szczęśliwego oddania myśli textu greckiego, ale szedł posłuszny za nim. Obrany w przekładzie miarowy wiersz zdał mu się być łatwiejszym do ścisłego odwzorowania oryginału — a tymczasem podejrzana ta, a zawsze monotonna miarowość, popsuła potoczystość dykcyi, i ledwo że nie zdefigurowała Sofokla. — Wszystko to są próby wielce zaszczytne i wielkiej ceny, bo

łamią te lody jakie nas dzielą od starożytnych, bo przygotowują język i formy za pomocą których zostaną kiedyś przyswojeni naszéj literaturze, niewątpię, lepiej i prawdziwiej, niż ich przyswoić sobie umieli sami Niemcy, służący dotąd tłumaczom naszym za wskazówkę w sposobie w jakim wykonywać się mają przekłady klassyków. Najświeżéj ogłoszone tłumacznie Eschylesowego Agamemnona przez Węclewskiego ma już wybitniejsze zalety — wiersz biały, nie bez szczęśliwych zwrotów, i trafnych wyrażeń pozwala czytelnikowi dopatrzeć tych piękności jakie się mieszczą w Eschylu; lubo niepowiem, żeby sposób oddania myśli i obrazów nic już do życzenia niepozostawiał; brakuje tych dotknięć mistrzowskich co jednem słowem jednym zwrotem ożywiają cały obraz, a przecież w *Orestei*, a szczególniej w Agamemnonie pełno jest miejsc porywających poezyją. Między innemi ten ustęp którybym nazwał pierwszym pomysłem telegrafu, o ileżby urósł pod piórem poety:

Hafajstos z szczytów Idy świątłym blaskiem cisnął.
Więc gorzał stos po stosie, aż ognisty goniec
tu dopadł. — Z Idy bowiem Hermesowéj skale
Na Lemos, z tej zaś wyspy wzgórzu Zeusa, Athos,
trzeciemu z rzędu, świecznik jasny przekazano.
Górując nad falami, jakby po wód grzbiecie
Pojeżdżał, żar sosnowéj główni się pomykał
roskosznie, a strzelając złotem, niby słońce,
Makistu strażnikowi bystro w oczy spojrzał.
Bez zwłoki tenże baczny, snem bo niezmorzony,
posłańca urząd wiernie pełni i zażega
płomienny stós, co w dali do Euripu nurtów
w Messapios *stróżom głosi wynik boju trudów.*
Na przemian ognionośną wieść ci pchnęli dalej,
pod kopcem suchym wrzosu iskrę rozdmuchawszy.

Obfita zagiew, pożar szerząc niesłabnący,
równinę wzdłuż Azopu przeskoczywszy, niby
księżyca blask, dosięga Kiteronu opok,
i budzi straż następną do przesłania znaku.
Nie zaniechała przeto straż daleko widnéj
pochodni żar rozniecić silniej, niż poprzednie.
I przez Gorgopis wody przerzucona światłość,
Wdzierając się na szczyty góry Egiplanktu,
Napędza do pośpiechu straże nieleniwe.
Podniety nie żałując, wysadzają w górę
Niebawem słup ognisty, że po nad zatoki
Sarrońskiej brzegiem wzniosłym przeniósł płomień silny;
A wystrzeliwszy wyżéj, Arachnejskich dobiegł
chochołów i strażnicy tuż w pobliżu miasta.
Następnie do Atrydów grodu tego zajrzał
od łuny Ideowej nieodrodny promień.

Zawsze mniemam, że to miejsce jak tyle innych w téj trajedyi obfitującej w pierwszego rzędu myśli, sytuacye, obrazy, mogłoby lepiej być oddane; twierdzę nawet, że rymowy przekład nieby nieuronił, a jeszcze ożywił i podniósł — bo to pewna, że rym, tak niezbędny w naszej poezyi, mimo wszelkich prób unikających go, nie jest zawadą w ręku mistrza, a zawsze dzielnym środkiem w artystycznie skończonym odwzorowaniu oryginału. Ci, co narzekają na te więzy krępujące swobodę i wierność tłumacza, czemuż nigdzie nas nieprzekonali, aby przekłady prozą lub wierszem białym niepozostawiały nic do życzenia? Jeżeli to ma być jednak koniecznem ułatwieniuem, niechże pociągnioną będzie granica między przekładami li gramatycznemi jakie służyć mogą uczącym się starożytnych języków, a przekładami mającemi przyczynić się do wzbogacenia naszéj literatury. Środek, łączący te dwa zadania, a nieodpowiada-

jący całkowicie żadnemu, musi wydawać niesmaczne płody.

Wracając do Agamemnona p. Węclewskiego mam jeszcze dołożyć, że tłumacz w chórach, których Eschylosowe trajedye mają najwięcéj, i to olbrzymich lirycznych piękności, widział potrzebę uciec się do rymu, jakby téj saméj potrzeby niebyło i w części czysto dramatycznéj? Wszakże tak w wierszu jaki obrał, jak w rymach, które rozproszył, niepodobna dopatrzeć się ani muzykalnéj harmonii, bez któréj niema poezyi lirycznéj, ani jasnego sęsu, bez którego znowu nic być niepowinno. Prawda, że chóry Eschylosowe są ciemne, texty poszarpane tysiącami lat, przeskoki gwałtowne, metafory niespodziane — ale dla tego w przepolszczeniu wypadało nadać temu szyk zrozumialszy — bo myśli zawsze dopatrzeć można, a dopatrzywszy, oddać przystępniejszym tokiem. Weźmę tę strofę opisującą zamordowanie Ifigenii, śliczną, jak płaskorzeźba z naczołka jakiéj świątyni;

Więc gwałtu wędzidło zaniemieć jéj każe.
Szafranowa sukienka do ziemi spłynęła,
A ona wszystkie ofiarników twarze
Wzrokiem żebrzącym o litość objęła;
I piękna, by posąg, wydobyć chce głos
Jakim niegdyś przy ucztach w komnatach rodzica
Słuchaczy czarowała, gdy rodzica los
Szczęsny nie rzadko, wstydliwa dziewica,
I ochocze biesiady umysłem chętnym
Opiewała głosem ponętnym.

Obrałem najszczęśliwszą strofę, a niemogę powiedzieć żeby przekład odpowiadał duchowi tego obrazu z jakim go Eschylos nakreślił, a choć z tak słabem rymowaniem, nieoddał przecież tłumacz tego miejsca jak

w originale, gdzie Ifigenia na ofiarników rzuca z oka *strzały wzywające politowania* βέλει φιλοίκτῳ. — Ta właśnie plastyka stanowi jedną z głównych właściwości greckiej poezyi, i tylko poezyją można jej podołać.

Uwagi te płynące z żywéj przychylności dla tłumacza zmierzają do tego aby go pobudzić do nadania najwyższéj doskonałości przekładom, które zapewne dokona uzupełniając nam całą trylogię Orestei. — Główna tu rzecz tak opanować myśl oryginału, aby w przepolszczeniu nieodstąpić od rzeczy i to samo powiedzieć, tylko w tonie nierażącym naszego ucha, ani naszego pojęcia.

Studia Greckie rozpoczęte tak szczęśliwie wzbogacą się jeszcze przekładem dzieł Platona, który wygotował p. Bronikowski z Poznańskiego. — Uprzejmy tłumacz pozwolił mi czytać jednę z Platońskich rozmów szczęśliwie bardzo przelaną na ojczysty język, co wróżyć mi pozwala, że z poznaniem tego ojca filozofii niejedna myśl poważniejsza i głębsza przyjmie się w umysłach, a racźej nie jedna stara prawda wyprze błąd nowy uchodzący za prawdę.

Do liczby przekładów mogących mieć znaczenie w naszéj literaturze, kładę niedawno wydane *Hymny Kościelne* *) tłumaczone przez księdza Metropolitę Holowińskiego. Hymny te opiewające chwałę Boga i Świętych Pańskich, złączone ściśle z liturgią kościoła Rzymskiego, nigdy nie przestaną rozlegać się w przybytkach poświęconych chwale bożéj, bo jak mówi stare łacińskie przysłowie: *qui cantat bis orat.* Nietylko są one częścią integralną liturgii, ale będąc utworami wielkich ojców kościoła i świętych, przez to samo wzbudzają to poszanowanie jakie wierni mają dla świętego słowa—niemniéj

*) Hymny kościelne, Kraków, Nakładem Wydawnictwa katolickiego, w drukarni „Czasu“ 1856.

uważane pod względem poetyckiéj, literackiéj ich wartości, przedstawiają się nam jako jedyny skarbiec liryki chrześciańskiéj. Po wykwintnym artyzmie pogańskich poetów — zjawia się ta prosta pieśń, złożona wcale nieklassyczną łaciną, gwałcąca prozodyę, używająca nawet rymu, pieśń tak biedna, tak pogardzona w swojéj zewnętrznéj postaci, jak który z niewolników przywleczonych z nad Dunaju co nawet nie jest człowiekiem w oczach każdego z tych purpurowych poetów uwieńczonych różami co w kole biesiadników spitych Massykiem lub Falernem filozofują nad życiem które im ucieka...... Biedna pieśń! plunąłby na nią autor listu do Pizonów, jak na niezgrabnego niewolnika coby mu stłukł dzban etruski.. biedna! ale treścią wyższa, jak wyższe niebo nad ziemią; ale podnosząca upadających pod cierpieniem, ale rozszerzająca horyzonty życia po granice wieczności.... W chrześciańskiéj poezyi rzec można, nie było żadnego przejścia, bo co ten duch zaraz w początkach owiał, przybierało formę znikomą, łachman żebraczy, pod którym rosła myśl ofiary, uczucie nieskończoności, wiara w nieprzemienną prawdę. To już się stało cechą nieodłączną od poezyi chrześciańskiéj, nowożytnéj, która odzywając się do prostaczków, nie mogła być wykwintną, bogatą w ozdoby, nastrzępioną erudycyą. Ztąd i hymny kościelne możnaby nazwać rodzajem poezyi gminnéj, z tą różnicą, że się odzywały nie właściwym każdemu narodowi językiem, ale językiem powszechnym, słowami kościoła. Prostota jest więc wybitnym ich znamieniem, ale prostota połączona z tą szczytnością, jakiéj użycza cel wielki opiewania chwały Bożej; z téj przyczyny i przekład hymnów należy do nieposlitych trudności, bo walczyć trzeba z jednéj strony z przesadą i wymuszonością, a z drugiéj z zaniedbaniem trącającém o trywialność. X. Hołowiński szczęśliwie wyszedł w wielu hymnach z téj próby, lecz w ogóle dał przekład wię-

céj kunsztowny niż tego rodzaju liryka znosi, przekład, który może zachwycić każdego wykształconego czytelnika, ale niewiem czy potrafi te dawniejsze przekłady wyrugować, jakie się mieszczą w naszych śpiewnikach, przekłady proste jak kantyczki, źle rymowane, bez wdzięku stylu, ale jakoś odpowiedniejsze duchowi nabożeństwa. Weźmy ten ambrozyański hymn: *Splendor paternae gloriae*—X. Hołowiński tak go tłumaczy:

O blasku ojcowskiéj chwały
Przyjścia sądu błyskawico;
Wieczny dniu, tworzysz dzień biały
Światła światło i krynico.
Istne słońce spuść twój promień
Niech wiecznym blaskiem w nas pała
I Ducha świętego płomień
Rozléj nam po zmysłach ciała.

Śpiewnik kościelny taki przekład nieznajomego autora podaje:

Jasności z ojca płynąca
Z światła światło wydająca
Dniu wszystkich dni, źródło lśniące
Cały rok oświecające.
Wnijdź słońce z którego śliczny
Blask pochodzi ustawiczny
Jasność swą ducha świętego
Racz wlać do serca naszego...—

Te *zmysły ciała*, daleko zrozumialéj zastąpione są *sercem* — a wiersz: *Światła światło i krynico*, nie tyle obrazowy co: *Źródło lśniące, Cały rok oświecające.*

Z porównania tych dwóch przekładów w ostatnim wieje pobożny duch kościoła, w pierwszym więcéj światowa wykwintność przebija. To i do całego odnosi się przekładu.

Lucyan Siemieński.

FAKT I PRAWO.

Żadnéj zdaje się już nie podlegać wątpliwości, że każda w ogóle sprawa europejska wymagać będzie konferencyj. Zdanie to na tem miejscu w roku przeszłym wyrzeczone z powodu konferencyj paryzkich jako następstwo konieczne systematu solidarności przyjętego za zasadę w polityce państw europejskich, potwierdziły drugie konferencye, które się odbyły w Paryżu w przeszłym miesiącu. Zaledwie atoli drugie to zebranie reprezentantów państw ukończyło swe zadanie, a już zapowiedziane zostały dwie nowe konferencye: jedne całkiem odrębne od dzieła tak zwanego kongresu, a mające załatwić sprawę neufchatelską; drugie, będące dalszym tegoż ciągiem w sprawie Księstw naddunajskich dotąd nie roztrzygniętéj.

Obie te sprawy dostatecznie są znane. Potężnego gmachu by potrzeba na pomieszczenie tego wszystkiego co napisano w tym przedmiocie, i niemasz podobno najmniejszego szczegółu, któryby nie był dokładnie wyjaśnionym, a nawet wytłomaczonym na korzyść jednej i drugiej ze stron spornych. Kreślić zatem przebieg

tych spraw, byłobyto jak mówią zwozić drzewo do lasu. Zresztą sprawy za nim doszły do konferencyj, to jest do celu, jaki dzisiejszy systemat polityczny, każdéj prawie wyznacza kwestyi, odbiegły znacznie od swego źródła, a przynajmniej zmieniły cechę jaką miały z początku, to jest w chwili swojego zawiązku.

Sprawa neufchatelska wszczęła się o więźniów rojalistowskich. Król pruski zaprzeczał Związkowi szwajcarskiemu prawa wytoczenia im procesu, i żądał uwolnienia ich na mocy przysługujących mu praw do księstwa neufchatelskiego. Związek szwajcarski nie chciał się przychylić do tego żądania, utrzymując, że jako najwyższa zwierzchność nad wszystkiemi kantonami konfederacyi helweckiej, służy mu prawo stawienia pod sąd więźniów, których uważa za rokoszan w kantonie neufchatelskim. Dziś więźniowie są na wolności, niema o nich mowy. Spór między Królem pruskim a związkiem szwajcarskim stracił swą wojenną cechę, jak powiedział Cesarz Napoleon w mowie tronowéj na otwarciu zgromadzenia prawodawczego. Chodzi o ułożenie warunków pod jakiemi Król pruski zechce się zrzec praw, które jako książe neufchatelski posiada w kantonie szwajcarskim.

Sprawę Księstw naddunajskich wywołało, powiedzieć można, wkroczenie wojsk rosyjskich do tych prowincyj w r. 1853. Od téj chwili widzimy ją ciągle ważną odgrywającą rolę w kwestyi wschodniej. Protektorat Rosyi nad Księstwami wydawał się zagrażającym niepodległości i nietykalności Turcyi jako państwa europejskiego, a tem samem niebezpiecznym dla równowagi politycznéj. Zastąpić go więc postanowiono przez protektorat wszystkich mocarstw, pod nazwą „gwarancyi“ w duchu systematu solidarności przyjętego za zasadę; aby zaś uniknąć wpływu jednego mocarstwa, i zasadę jak należy zastósować, zamierzono uorganizować

Księstwa według życzeń ich mieszkańców, z zastrzeżeniem praw lenniczych Sułtana. Tak się przedstawiała sprawa Księstw naddunajskich jeszcze w negocyacyach nad sporem turecko-rosyjskim w r. 1854, tak samo na konferencyach wiedeńskich w r. 1855, gdzie już zdawała się być rozstrzygniętą w tym kierunku. Uczyniony atoli w ówczas wniosek przez bar. Bourqueney pełnomocnika francuzkiego, poparty przez lorda Russell pełnomocnika angielskiego i zamieszczony jako dodatek w protokóle z d. 26 marca, nadał, jeżeli tak powiedzieć wolno, inny sprawie tej obrót, a przynajmniej zawiesił jej rozwiązanie. Wniosek tyczył się możliwéj Kombinacyi połączenia obu księstw Multan i Wołoszczyzny w jedno. Nie było w tej mierze jedności pomiędzy mocarstwami obradującemi w Wiedniu; nie było zgody i na konferencyach paryzkich w roku przeszłym, jak tego dowodzi protokół posiedzenia z dnia 8go marca, gdzie rzeczywistą i jedyną osią dyskusyi nad sprawą Księstw naddunajskich był wniosek bar. Bourqueneya, utrzymywany przez hr. Walewskiego w imieniu Francyi, poparty przez pełnomocników Anglii Rosyi i Sardynii, a odpierany przez pełnomocników Turcyi i Austryi oświadczających się przeciw połączeniu Multan i Wołoszczyzny. Traktat z 30 marca 1856 zniósł zatem tylko protektorat wyłącznyRosyi, zamienił go w gwarancyą wszystkich mocarstw, zastrzegł prawa Sułtana w Księstwach, ale zostawił zupełną wolność mieszkańcom objawienia swych życzeń nieograniczając w niczem zmian jakim uledzby mogła na przyszłość organizacya dzisiejsza tych krajów, nad którą stanowczo orzec ma dopiero konferencya. Podobnie więc jak niema dziś mowy o więźniach w sprawie neufchatelskiej, tak w sprawie Księstw naddunajskich, nie ma już mowy o protektoracie ani wyłącznym ani wspólnym. Cel dawniejszy znikł zupełnie w obu sprawach: w pierwszéj to co było celem stało się środkiem;

w drugiej przeciwnie. Chodzi tu tylko o organizacyę Księstw, a nawet, mówiąc wyraźniej, o to czy kraje te będą połączone w jedno księstwo, czy pozostaną w *statu quo*.

Zmiany te zaszłe w obu sprawach wypada mieć na pamięci, bo odbiją się one niezawodnie w zapowiedzianych konferencyach, i jak są dzisiaj przedmiotem negocyacyj w gabinetach, tak póżniej stać się mogą powodem do różnych trudności. Z pola faktów przerzuciły one sprawy neufchatelską i Księstw naddunajskich w dziedzinę prawa. Skoro się usunął fakt co do więżniów i procesu, pozostały prawa Króla pruskiego i Szwajcaryi; za zniesieniem protektoratu Rosyi wystąpiły prawa sułtańskie. Stąd też inne jest całkiem stanowisko przyszłych konferencyj aniżeli to jakie zajmowały ich poprzedniczki. Nie mają one zadania urządzać równowagi europejskiej, która zawsze pozostanie faktem tylko i w prawo zamienić się nie da choćby też jak najdoskonalej ułożona — co było zadaniem pierwszych konferencyj paryzkich —; nie mają również zadania orzekać nad faktem wojennym, jak to było powołaniem drugich konferencyj paryzkich. Ani jedna ani druga sprawa, które stanowić mają przedmiot ich przyszłego zwołania i narad, nie dotyczą bezpośrednio równowagi europejskiej, ani też są następstwami wojny. Sprawa neufchatelska straciwszy swoją wojenną cechę, nie zagraża już więcéj zerwaniem pokoju europejskiego, a zachowanie przez Króla pruskiego praw do Neufchatelu lub zrzeczenie się takowych, nie może być przeważną kwestyą w systemacie politycznym Europy. W sprawie zaś Księstw naddunajskich, zniesienie protektoratu Rosyi było następstwem wojny; skoro to raz już dokonanem zostało i równowaga europejska przywrócona, kwestya połączenia Księstw w jedno, lub utrzymania *statu quo* nie zdaje się aby mogła dotykać bezpośrednio ró-

wnowagi. W obu sprawach przeważa strona prawna stanowisko też przyszłych konferencyj więcéj jest teoretycznem aniżeli poprzednich. Konferencye nad sprawą neufchatelską i sprawą Księstw naddunajskich dotyczą więcéj teoryi prawa narodów, i wpłynąć mogą bezpośrednio na politykę państw. Cel nawet jaki im powszechnie stawiają, przerzuca je niejako po za sferę zwykłéj i czynnéj polityki. Zadaniem konferencyj neufchatelskich, według wyrażenia powtórzonego tylokrotnie ma być „nadanie faktowi powagi prawa“; konferencye zaś mołdowołoskie „mają życzenia mieszkańców Księstw uwzględnione stósownie do warunków traktatu z 30 marca pogodzić z prawami Sułtana“.

Obie więc konferencye mają wspólną cechę, to jest, stronę prawną. Dla tego też pomimo uderzających różnic co do formy, w treści czyli w duchu istnieje między niemi pewna anologia. W rzeczy saméj, nie mówiąc już o sprawach które je wywołały a które w żadnéj ze sobą nie zostają styczności, okoliczności nawet które im towarzyszyć będą, są całkiem odmienne. Obie wprawdzie konferencye odbyć się mają w Paryżu, ale materyały do konferencyj neufchatelskich przygotowane były o ile się zdaje w poprzednich gabinetowych negocyacyach; do konferencyj w sprawie Księstw naddunajskich nie ma dotąd jeszcze materyałów, bo życzenia mieszkańców nie znane, a komisya złożona z reprezentantów siedmiu państw ma przedstawić projekt na tych życzeniach oparty; pierwsze mają się zebrać wkrótce i uczynić to mogą, zwołanie drugich od wielu jeszcze zależy okoliczności i epoka ich otwarcia przewidzieć się nie da; w pierwszych nakoniec zasiadać mają reprezentanci mocarstw, które wzięły udział w konferencyach londyńskich z 1852 r. z przypuszczeniem do obrad Szwajcaryi, w drugich zabiorą głos reprezentanci mocarstw, które podpisały traktat z 30 marca. Ale w grun-

cie, w zasadzie, zadaniem jest tak jednych jak i drugich ułożyć w harmonią pewne prawa z faktami, zadaniem, w którem rozpatrzywszy się pilnie, dostrzedz można więcéj teoryi prawa narodów, aniżeli praktyki politycznéj systematu państw.

O jakież to bowiem chodzi prawa które pogodzić z faktami jest celem zapowiedzianych konferencyj? O jakież fakta, którym nadać one mają powagę prawa? Cóż nareszcie jest istotnie faktem a co prawem w sprawach które rozwiązane być mają?...

Nie może tu być naturalnie mowy o prawach odnoszących się do najwyższéj zwierzchności, w teoretycznem a przeto najobszerniejszem a oraz najściślejszem jéj znaczeniu, która zależy na prawie powierzania władzy rządowéj komu się podoba, pod jakąkolwiek formą i na dowolny przeciąg czasu. Takie pojęcie najwyższéj zwierzchności wiąże się ściśle z pojęciem narodu, który jest cząstką społeczności różniącą się od innych materyalnym swoim składem i żywiołami duchowego swego wykształcenia; różniącą się więc i tem co zawierają dzieje jego przeszłości, i tem co niesie dla przyszłości w zarodzie. Najwyższa zwierzchność jest ideą któréj faktem odpowiednim czyli podstawą jest naród. Dwa te pojęcia odłączyć się nie dadzą, i prawa jakie ztąd wypływają nieulegają żadnemu przedawnieniu. Dla tego téż bardzo słusznie orzekła konferencya londyńska, „że żaden fakt prawa nadwerężyć nie może“. O inne więc prawa rozchodzić się tu musi, skoro konferencye neufchatelskie, które są tylko powtórzeniem tych samych konferencyj londyńskich, mając uznać jakowyś fakt za prawo, czyli nadać mu powagę prawa, co na jedno wychodzi; a konferencye znów Księstw naddunajskich mają pogodzić prawo z faktem czyli ograniczyć pierwsze, bo to także na jedno wychodzi. Fakta więc te zostają w sprzeczności z owemi prawami, istnieją więc

pomimo praw; a te ostatnie utrzymują się nie przez swoją własną istotę, istotę prawną, ale przez siłę, czyli rzeczywiście są tylko faktami. Cechą bowiem prawa jest uznanie, a téj właśnie cechy udzielić mają faktom dopiero konferencye.

Jakoż prawa Króla pruskiego w Neufchatelu o których zrzeczenie się Szwajcary prowadzą negocyacye, i prawa Sułtana w Księstwach naddunajskich, które traktat z 30 marca pogodzić chce z życzeniami mieszkańców tamtejszych, pomimo swéj niezaprzeczalności, nie są zdaje się takiemi aby żadnéj nie mogły uledz zmianie.

Prusy nie miały praw najwyższéj zwierzchności w Neufchatelu, nie mogły powierzać tam władzy komu im się podobało, ani też zmieniać jéj formy. Król pruski był wprawdzie księciem neufchatelskim, ale Neufchatel był kantonem szwajcarskim, miał własną konstytucyą, która się zmieniła wraz z konstytucyą całéj konfederacyi. Rewolucya szwajcarska r. 1847, zaprowadziła w prawach Króla pruskiego pewne ograniczenia, którym właśnie zapowiedziane konferencye mają teraz nadać powagę prawa. Sprawa więźniów neufchatelskich przekonać mogła, pomimo ustąpienia ze strony Szwajcaryi, że prawom Prus w Neufchatelu brakuje uznania, że takowe w obec Szwajcaryi siłą tylko utrzymać potrafią.

Prawa Turcyi podobnież nie dawały jéj nigdy najwyższéj zwierzchności w Księstwach naddunajskich. Świadczy o tém historya. Księstwa miały zawsze swoje swobody i przywileje. Prawa Sułtana są raczéj prawami średniowiecznemi, feudalnemi; Księstwa są prawie lennościami. Prawa te ulegały niejednéj zmianie, jak tego dowodzi protektorat rosyjski, i dzisiejsza gwarancya mocarstw europejskich.

Tak pierwsze więc, jak drugie są to prawa polityczne, nie mające swéj podstawy w narodzie, nie mające innego punktu oparcia prócz zapisania w traktatach. Prusy

odwołują się do kongresu wiedeńskiego; Turcya do kapitulacyj i traktatów z Rosyą. Ale wszak same traktaty są to fakta, uważane jako prawo i uznane za takie w polityce państw, a jak zmieniają się fakta, podobnież zmieniają się i traktaty. Nie ma więc nic dziwnego, że przyszłe konferencye nadadzą jednym faktom powagę prawa, a drugie zechcą pogodzić z istniejącemi prawami.

I jakież to fakta zasłużyły na takie w polityce obecnéj uwzględnienie? Czemże się rewolucya szwajcarska r. 1847 tak dalece przysłużyć mogła Europie, aby zmianom jakie zaprowadziła w Neufchatelu, nadać chciano powagę prawa? Cóż tak bardzo zależeć może mocarstwom na zadosyćuczynieniu życzeniom mieszkańców Multan i Wołoszczyzny, aby w tym celu narażać się na różne trudności i zawikłania?...

Posłużyć tu może za skazówkę koniec rozmowy między szefem gabinetu angielskiego lordem Palmerstonem a posłem pruskim w Londynie hrabią Bernstorff w sprawie więźniów neufchatelskich, rozmowy, która z powodu uporu Szwajcaryi grożącego wojną Europie i żywości charakteru ministra, wyszła nieco ze zwyczajnych granic dyplomacyi.

— Niezaprzeczam bynajmniéj praw Jego królewskiéj Mości, rzekł lord Palmerston, ale pozwolisz sobie Wasza Ekscelencya powiedzieć, że ilekroć razy zdarzyło mi się być obecnym na egzaminie studentów, każdy choćby najmniejszy chłopiec na zapytanie: co jest Neufchatel? odpowiadał, że to jest miasto szwajcarskie.

— Milord mi przypominasz popisy szkolne w Berlinie których nieraz byłem świadkiem i gdzie zawsze słyszałem że Gibraltar jest miastem hiszpańskiem, odrzekł złośliwie poseł.

Nie można zaręczać za autentyczność téj politycznéj anegdoty, lubo ma ona za sobą niejakie prawdopodobieństwo. Ale to pewna, że wielka prawda mieści się na

dnie tego przemówienia się dwóch ludzi stanu. W rzeczy saméj, ani prawa Króla pruskiego zapisane w traktatach, i potwierdzone w konferencyi londyńskiéj, ani nawet prawa W. Brytanii oparte na posiadaniu i na tysiącu działach, sprawić tego nie mogą, aby Neufchatel nie był miastem szwajcarskiem a Gibraltar przestał być miastem hiszpańskiem. Nie będą one takiemi w sferze politycznéj, gdzie prawem publiczném są traktaty; ale pozostaną niemi w sferze tego prawa „którego żaden fakt nadwerężyć nie może“ jakto orzekła konferencya londyńska wiedząc że one nie cierpią przedawnienia. Źródłem tego prawa jest narodowość. Ona to właśnie jest tym faktem ktory wystąpił w sprawie neufchatelskiéj, upomniawszy się pierwéj o prawa swoje lubo na niewłaściwéj drodze w rewolucyi szwajcarskiéj z 1847 r. Neufchatel należy do narodowości szwajcarskiéj, jest częścią tego narodu; zapowiedziane konferencye neufchatelskie w Paryżu mają faktowi temu nadać powagę prawa, to jest prawa politycznego zapisując je w traktat.

Podobnież co do przyszłych konferencyj w sprawie Księstw naddunajskich. Sprawa ta jak się wyżéj powiedziało, zmieniła się w kwestyą: czy oba Księstwa będą w jedno połączone? Na czemże się opierał baron Bourqueney stawiając swój wniosek w konferencyach wiedeńskich?— „Zbyteczném byłoby dowodzić, są to wyrazy tego dyplomaty, że natura sama uczyniła wszystko cokolwiek może ułatwić tę kombinacyą, wskazywać tożsamość języka, religii, zwyczajów, ustaw i interesów“. — Jakież powody przemawiające głównie za połączeniem przytaczał hrabia Walewski na konferencyach paryzkich? — „Wszystkie objaśnienia, mówił ten minister, przedstawiają jednozgodnie Mołdo-Wołochów jako ożywionych bezwyjątkową chęcią tworzenia na przyszłość jednego księstwa. Chęć ta tłumaczy się wspólnością pochodzenia i religii, jako też wypadkami które wyświe-

tliły niedogodności porządku publicznego lub administracyjnego wynikające z tego rozdziału: połączenie będąc bezsprzecznie żywiołem siły i pomyślności dla obu prowincyj, odpowiada celowi jaki sobie założyła pieczołowitość kongresu".—Niepodobna zaprzeczyć aby w tych wyrazach obu mężów stanu nie przebijała dobitnie definicya narodu poprzednio określona. Nie wdając się więc bynajmniéj w rozbiór pytania, czy Multany i Wołoszczyzna mają cechy narodu sobie wspólne, czy są jedną narodowością lub dwiema, nie przesądzając w niczem kwestyi połączenia ich w jedno księstwo, śmiało jednak powiedzieć można, że owe życzenia mieszkańców które uwzględnione być mają, że ów fakt którego pogodzenie z prawami Sułtana ma być zadaniem przyszłych konferencyj w tym przedmiocie, są to prawa narodowości, które bądź co bądź, w sprawie téj wystąpiły i podobnie jak prawa narodowości w Neufchatelu, do prawa publicznego europejskiego zapisane zostaną.

Z tego łatwo wnosić, co istotnie jest prawem a co faktem w sprawach nad któremi zapowiedziane konferencye obradować będą. Odwołać się raz jeszcze przychodzi do wyroku konferencyi londyńskiéj, bo jeżeli żaden fakt prawa nadwerężyć nie może, to tem więcéj żaden fakt z prawem sprzeczny powagi prawa uzyskać nie może. Nic tego dokazać nie zdoła, nawet konferencye. Nadać powagę prawną można tylko temu co jest prawem, można tylko uznać że jest prawem. Uznanie praw narodowości w Neufchatelu i w Księstwach naddunajskich, zamienia w fakta te prawa, które są z niemi w sprzeczności. Taki daje wypadek nieugięta loika w teoryi.

Lecz zbytecznem nie będzie nigdy powtarzać, że polityka nie jest teoryą, że jest praktyką. To też w praktycznéj stronie przyszłych konferencyj pozostaną zawsze prawem prawa Prus do Neufchatelu, a faktem re-

wolucya szwajcarska r. 1847, ktora te prawa nadwerężyła; prawem będą prawa Sułtana do Księstw naddunajskich, a faktem traktat z 30 marca który uwzględnić życzenia mieszkańców tych krajów zawarował. Jednakowóż, strona teoretyczna tak jest przeważną w tych sprawach, że na to aby konferencye neufchatelskie mogły faktowi nadać powagę prawa, trzeba pierwéj zrzeczenia się praw Króla pruskiego; że na to aby konferencye Księstw naddunajskich mogły pogodzić fakt z prawem, trzeba rozwiązania kwestyi połączenia i... wielu innych rzeczy mgłą przyszłości zakrytych.

Dla tego też nie może być obecnie zamiarem rozbiór praktycznéj strony zapowiedzianych konferencyj. Nic pewnego nie masz jeszcze w téj mierze. Pod jakiemi warunkami Król pruski zechce się zrzec praw swych do Neufchatelu? jak wypadną Dywany i komissya w Księstwach naddunajskich? Jaki obrót weźmie kwestya połączenia? czy wywoła nowe zawikłania i posłuży za pole do nowych przymierzy?...W tych wszystkich ważnych kwestyach same tylko dotąd domysły, mogące posłużyć kombinacyi ale nie rozumowaniom nad ich następstwami. Konferencye z politycznego stanowiska oceniać można tylko, skoro ich wypadek jest wiadomy. Również niepodobna dzisiaj odpowiedzieć na rzucone pytania: czem się rewolucya szwajcarska r. 1847 tak dalece przysłużyć mogła Europie, aby zmianom jakie zaprowadziła w Neufchatelu, nadać chciano powagę prawa? Czy dla tego, że działała na korzyść idei państwa centralizując władzę, niszcząc decentralizacyą kantonalną?...Cóż tak bardzo zależeć może mocarstwom na zadosyć uczynieniu życzeniom mieszkańców Multan i Wołoszczyzny? Czyby kwestya połączenia miała być wątkiem nowéj polityki na nowym układzie mocarstw w systemacie równowagi opartym?...

W każdym razie niełudzimy się bynajmniéj, aby kwestya narodowości miała udział w ruchu politycznym jaki się objawia w sprawach mających być przedmiotem zapowiedzianych konferencyj. Nie ma ona miejsca w polityce państw. Niemniéj jednak powołaną zostanie przed trybunał systematu solidarności i tam się ostatecznie rozstrzygnie tak co do Neufchatelu jako i co do Księstw naddunajskich. Pod faktami bowiem nad któremi obradować będą w Paryżu, ukrywają się prawa narodowości. Prawdziwym gruntem przyszłych konferencyj są bądź co bądź prawa narodów; lecz aby się o tem przekonać, trzeba wszelkie względy polityczne odłożyć na stronę, i nie dając się uwieść pozorem, rozważyć dobrze znaczanie faktu i prawa. Znaczenie to całkiem jest inne w teoryi, inne w polityce. W teoryi fakt nie może zniszczyć prawa — w polityce siła utrzymuje a nie raz zastępuje prawo. Inaczéj też przedstawiają się przyszłe konferencye z teoretycznéj, a inaczéj z politycznéj uważane strony. Teorya zdaje się wymagać po nich uznania praw — polityka wpisania faktów w prawo publiczne. Stanowisko ich widoczne — na wypadek czekać potrzeba.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lutym.

Parmi les aveugles les borgnes sont rois, to jest pośród ciszy panującéj zwykle w Krakowie, teraźniejszy luty niezmiernie był hałaśliwy. Nie idzie wszakże za tem koniecznie, iżby miano od doby do doby tańcować, by się na śmierć zatańcować, jak się to zdarzało w czasie panującéj w średnich wiekach tańcomanii, o któréj historya jak o niebezpiecznéj, bo prawie zawsze śmiertelnéj chorobie wspomina; nie idzie za tem, aby karnawał krakowski miał z zamkniętej i ogrzanéj sali zejść na ulicę, na publiczny gościniec, by kopać się przez śniegi i zawieje kuligowemi zajazdami od domu do domu, od dworu do dworu, a tem mniej jeszcze, aby w śpiczastej i dzwonkami nastrzępionéj czapce błazna weneckiego, lub choćby też w spódnicy tłusto czwartkowego Combra krakowskiego wyprawiać miał publicznie psoty. Do podobnego szału zapustnego, do podobnego że się tak wyrażę rozpasania hulanki nie doszło tu bynajmniej; brakowało nawet dużo jeszcze do rześkiej ochoty, którą rodzi wewnętrzny do wesołości popęd i swoboda umysłu. Bawiono się zresztą bardzo przyzwoicie, nie dając się unosić żadnéj namiętności, niezapomniano ani jednego z prawideł dobrego wychowania,

niepominięto ani jednéj formalności wymaganéj regulaminem towarzyskiego pożycia. Regulaminu tego nienaúczy się u nas inaczéj tylko z praktyki. Niemcy radzą sobie w tej mierze niesłychanem mnóstwem dzieł mniejszéj lub większéj objętości, w których traktują przepisy zachowania się w każdym razie, na każdem miejscu i o każdéj porze: na balu, na herbacie tańcującej lub herbacie literackiej, na weselu, imieninach, chrzcinach, pogrzebach, wizytach pierwszych i wizytach drugich. W manuałach tych, których tytuły np. „*Der Galant-homme in der Westentasche*“ lub „*Der Geselschafter comme il faut*“ młody człowiek wstępujący na świat znajdzie w każdym przypadku niewątpliwą pomoc i radę. Z książką taką w ręku nie zabraknie mu nawet nigdy właściwych *à propos*, a nikt w towarzystwie nie zgorszy się, że sąsiad jego gada z książki.

U nas rzecz to trudniejsza; niemasz bowiem prawa pisanego, a obowiązuje tylko prawo zwyczajowe, z którém przez długą tylko praktykę obeznać się można. Są też ludzie co całe życie na studyowaniu tego prawa strawili i doszli wreszcie do tego, że są najwyższymi sędziami i rozjemcami w sporach towarzyskich i jedynymi tego prawa tłumaczami i komentatorami. Do nich to w każdym wątpliwym przypadku uciekać się należy, czy to idzie o różnicę białego i czarnego krawatu, czy o oznaczenie, jak dalece nadepnięcie na nogę może być uważane za obrazę lub za niezgrabność. Rozległy prócz tego zakres wiadomości z koła towarzyskiego, znajomość rodowodów i koligacyj, uczyniła osoby te żywemi kronikami i przechowaczami tradycyj światowych, tudzież powiernikami firankowych tajemnic. Noszą oni zwykle odzież téj lub owéj płci, nie można ich wszelako ani do jednéj ani do drugiej bezwzględnie i wyłącznie zaliczać.

Karnawał jest dla nich szczególnem polem działalności. Noc na balu, dzień na udzielaniu rad, kierowaniu młodą generacyą spędzając, niezmordowani w pełnieniu dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków, niemają innéj w tem życiu nagrody nad to wewnętrzne przekonanie, iż nic się bez nich niepowiedzie, że są nauczycielami młodych, a pocieszycielami starszych pokoleń.

Drugim typem wyłącznie karnawałowym jest tancerz *par excellence.* Składa się on z regularnie rozczesanéj czupryny, białego krawatu, nieposzlakowanego kołnierzyka i mankietu, fraka według paryskiego ostatniego modelu, świeżéj pary rękawiczek i bucika lakierowanego, zazwyczaj mniejszego niż noga, która weń wejść zmuszona. Tancerz *par excellence* niepotrzebuje nic umieć, prócz mazura, kadryla i polki; reszta nauk jeśli się przypadkiem w nim napotka, nie tylko, że mu do jego roli nie pomaga, ale owszem przeszkadza, odrywając go od właściwego przeznaczenia, którem jest, na każde uderzenie klawisza stawać w szeregu i nieschodzić z placu, aż do wytańczenia wszystkich panien do upadłego. Rozmowność jego, dowcip, a gorzéj jeszcze uczuciowość, są wadami, które niekiedy zacierają najpiękniejszą cnotę nóg jego, bo nietylko odrywają go od właściwego powołania, ale nadto czynią niebezpiecznym dla tych niewinnych istót, które ma w ruch wprowadzać. Twarz tancerza z powołania powinna być martwa, bo całe jego życie przeszło w palce nóg jego; powinna być zimna, bo cały ogień zapału służy na zagrzanie muskułów łytkowych; powinna być niema, bo cała dusza skierowana ku przestrzeganiu taktu muzycznego. Twarz takiego tancerza powinna być wreszcie podobna do lalki perukarskiej i krawieckiej, na któréj włos raz uczesany i wypomadowany nie rozpierzchnie się samowolnie, bielizna się nie pomnie, rękawiczka się nie spoci, frak nie obwiśnie. Tancerz z rzemiosła nigdy nie jada i nie pija, bo jadło czyni go ociężałym, wino idąc do głowy, odejmuje nogom siłę, a jedyne co mu przyjąć wolno na wieczorze, jest niewinna szklanka orszady i rownież niewinny pączek kwiatowy ofiarowany mu przez rozkwitłą już tanecznicę.

Tancerz z powołania po kilku latach służby staje się zwykle inwalidą, a jako taki przechodzi na łaskawy chleb tych, dla których pracował, których wdzięki roztaczał przed innymi, sam niemym i obojętnym będąc ich świadkiem. W tych latach wypoczynku wyradza się w nim nieznany dawniej apetyt, który czyni go nieraz przedmiotem i celem żarcików towarzystwa lub ściąga nań surowe spojrzenie gospodyni domu. Lecz jedno i drugie znosi z obojętnością, gdyż stół zastawio-

ny, jest tylko w oczach jego daniną składaną dawniejszym jego zasługom. Przez czas trwania tańców nie spuszcza on z oka tancerzy, głową i ręką dając takt muzyce lub podszeptując z tyłu rady nowicyuszom, których za swoich zastępców uważa. Niekiedy przesuwa się z jednego końca sali na drugą, a wtedy jednym niby od niechcenia ruchem nogi zdradza ukryty talent, lecz zwykle zaraz opłaca tę śmiałość jakim pedogrycznym bólem, który mieszając się na ustach jego z uczuciem zadowolenia, wyraża ów uśmiech wykrzywiony, który jest właściwym wdziękiem cierpienia. Z tych to inwalidów najczęściej rekrutuje się męski poczet owych tłumaczy i objaśniaczy prawa zwyczajowego, którem się rządzą społeczności balowe, lecz na godność tę wynoszeni bywają tylko zdolniejsi towarzysze z pułku wysłużonych tancerzy. Reszta kończy życie samotne i nieznane: zapomnieni od niewdzięcznego świata, schodzą do nieco niższych warstw społeczeństwa, gdzie konneksyami swemi i powtarzaniem zużytych frazesów imponują, albo też jadą do Graefenberga i kurują się zimną wodą. Rola tancerza z powołania dostaje się dość często w salonach pańskich ludziom młodym z innego koła społeczeńskiego wyszłym, a którym otwarto podwoje świątyń woskowanych jedynie pod warunkiem trzymania się ściśle w granicach obowiązków na siebie przyjętych. Tacy po zużyciu wyrzucani bywają jako sprzęt niepotrzebny, i biada im, jeśli olśnieni na chwilę blaskiem co ich otacza, sądzą, że się stale zagnieździć tam zdołają. Czasem w pół drogi jedno dumne spojrzenie da im poznać przestrzeń dzielącą ich od towarzystwa, w które przypadek lub powierzchowne najczęściej przymioty wmieszały ich; szczęśliwi, jeśli poznawszy się na sobie i drugich, sami się cofną dość wcześnie, by godność własną zachować; niekiedy wszelako zaślepieni czekają aż do ostatniej chwili, kiedy przyjdzie im wypić aż do dna kielich rozczarowania. Cóż czeka ich wtedy lepszego jak przyjęcie na siebie roli w którėj wszystkiego jest potrosze: pieczeniarza, lokaja i błazna.

Te same figury jakie się napotykają w jednėj klasie społeczeństwa, nie są obcemi w drugiej, z pewnemi tylko różnicami ich wyrazistości, daleko zwykle wybitniejszej w strefach skrajnych, niż w przechodnich środko-

wych, a przeto dającej się łatwiej pochwycić choćby też najobojętniejszemu obserwatorowi.

W karnawał spotykają się niekiedy w jednéj sali różne warstwy społeczeństwa, osobliwie zaś na balach na cele dobroczynne, które jedynemi w tym karnawale w Krakowie były balami niejako publicznemi, jeśli z pod nazwy balów publicznych wyłączymy owe liczne przedmieściowe bale i zabawy tańcujące, których afisze czy pisane czy drukowane codziennie po rogach ulic spostrzegać się dawały. Lubo osobiście o tych ostatnich powziąść wiadomości nie byłem w stanie, sądzę jednak, że one to właśnie prawdziwej zabawy obraz przedstawić byłyby zdolne. Na takich zebraniach każdy bawi się jak mu się tylko podoba, niepytając o resztę obecnych i niedając się hamować czemkolwiek w swojéj wesołości.

Innych balów publicznych nieznamy tutaj, i słusznie; bo trzeba im być albo balami zupełnie otwartemi jak owe bale przedmieściowe, albo ograniczając się do pewnych czy to warstw społeczeńskich czy też osób, lub wreszcie do powierzchownych oznak uprawniających do znajdowania się na balu, zamieniać się w zabawy mniej więcéj prywatne. Do tych ostatnich na pół publicznych a na pół zamkniętych liczyć można bale na cele dobroczynnne, gdzie jakaś wyższa, wznioślejsza pobudka niżeli kadryl lub polka, dozwalały zebrać się w jednem kółku osobom niemającym żadnych z sobą innych stosunków, prócz chęci zebrania się licznie. Jako dawnemi czasy w pewne tylko dni świąteczne znajomi i nieznajomi, bogaci i ubodzy u jednego i tego samego zasiadali stołu, tak dziś na balach dobroczynnych ludzie różnego stanu i pozycyi socyalnej razem bawić się mają. Po za tym celem niemasz dziś zabaw publicznych, i inaczej też być nie może, chyba gdybyśmy posądzać się mieli o powrót owéj choroby pląsów „dansomanii“, o któréj, z zestawienia dat wielkich zdarzeń historycznych wnoszą, że powstała ona skutkiem niepohamowanéj radości z ustania ciężkich i morderczych wojen. Inni znów twierdzą, że gdy wróżba o końcu świata niesprawdziła się, dawniejsza trwoga przemieniła się w szaloną uciechę, kończącą się często śmiercią pląsających.

W tym jednak karnawale nie było wcale powodu do obawy, aby pewność ustalenia pokoju europejskiego traktatem paryzkim, miała sprowadzić powtórzenie tego szału tanecznego. Wprawdzie ciężka to była i mordercza owa wojna, którą ten traktat zakończył, ale trzymała się nas, jak tylko można było zdaleka, i odgrywaliśmy w niej tylko rolę owych dwóch polityków Goethego:

„Nichts bessres weiss ich mir an Sonn- und Feiertagen,
„Als ein Gespräch von Krieg und Kriegsgeschrei,
„Wenn hinten, weit, in der Türkei
„Die Völker auf einander schlagen.
„Man steht am Fenster, trinkt sein Glässchen aus
„Und sieht den Fluss hinab die bunten Schiffe gleiten;
„Dann kehrt man Abends froh nach Haus,
„Und segnet Fried' und Friedenszeiten“.

A drugi mu na to:

„Herr Nachbar, ja! so lass ich's auch geschehn,
„Sie mögen sich die Köpfe spalten,
„Mag alles durcheinandergehn;
„Doch nur zu Hause bleib's beim Alten“.

Co zaś do drugiej domniemanej przyczyny owych szalonych tańców, o jakich wspominają dzieje średniowieczne, to jest, iż się radowano, że się nie zjiściła przepowiednia o końcu świata: to zdaje mi się, że ci się raczéj zawiedli, którzy w tę przepowiednię nie uwierzyli. Wtedy bowiem własnie kończył się świat jeden a zaczynał się drugi; przeobrażenie to jednak dla współczesnych onego uczestników było niedostrzeżonem. Być może, że i dzisiejsza epoka jest epoką przetwarzania się dawnego świata na świat nowy, ale ani pogrzeb pierwszego, ani chrzciny drugiego nie w krakowskiej sali balowéj obchodzą.

Lwów w lutym.

Kwestya pieniężna zmieniła bardzo oblicze karnawału naszego. Oto już bliscy jesteśmy postu, a prócz balu Techników, balu *crèche* i towarzystwa dam dobroczynności, tudzież jednego u hr. Krasickich, u państwa Zawadzkich i recepcyi z tańcami u JExcel. Namiestnika, nie słychać daléj o zabawach na większe rozmiary. Po domach tu i owdzie wieczorek z herbatką *cum attinentiis*, a czasem z mazurkiem bez konfitur wprawdzie, ale z fortepianem; jestto jakby opozycya idealnego kierunku przeciw dzisiejszemu materyalizmowi. Przyczem wieczorek osładza się zwykłą formułką: Niech się dzieci trochę zabawią. Otoż to jest „*la Question d'argent*"; choć jéj tu na scenie nie przedstawiali, o autorze zaś ledwo z *Czasu* dowiadujemy się; już ją dokładnie znamy i czujemy, już w jéj atmosferę weszliśmy. Kiedy już do epoki karnawałowéj należy, by przecież o karnawale coś napisać, to wam chyba opowiem, jakie definicye tegorocznego karnawału lwowskiego słyszałem na wieczorku, gdzie się bawiono w tak zwane „drobne gry"; kiedy miano wynajdywać epiteta do słowa „Karnawał" lub go opisywać. Sędziwy starzec, grając preferansa, nachyla ucho do synka, który go zapytuje, co ma powiedzieć: „Powiedz moje dziecię, że to adwent z czasów króla Sasa." Jakiś panicz wracający z podróży mówi: że „blady i bezbarwny, jak zimowe niebo w naszym kraju." Pan R. twierdził, że karnawał chudy, jak dywidenda tegoroczna ze sprzedanych promessów. Tam znowu odzywa się cienki głosik spoglądając na sąsiadkę: że to karnawał nie dla *mirtu*, lecz dla *pietruszki*. — Owdzie żona spoglądając z boku na męża mówi: że karnawał taki skąpy i sknera jak „Łatka" w „*Dożywociu*."

Otoż z tych rysów mniéj więcéj głośnych złóżcie obraz karnawału lwowskiego dla tych, co im na tém zależy: ja wracam jak dawniéj do rzeczy literackich.

Z nabytych niedawno dzieł i rękopisów do biblioteki hr. Wiktora Baworowskiego, przeglądałem niektóre, jak mi w krótkiéj chwili do rąk wpadły, i o tych słów parę. Widziałem najprzód dwa egzemplarze Paprockiego; oba wydane w Krakowie w drukarni Macieja Garwolczyka

w r. 1584. W jednym widać dość gęsto karty téjże saméj liczby podwójne, obok siebie oprawne; lecz w tekscie znaczna różnica. Widocznie jedna z nich podrobiona, co porównawszy z egzemplarzem drugim, nie zostawia żadnéj wątpliwości, że było wydanie podrobione, którego stoją tu kartki obok niesfałszowanych. Jest jeszcze i objaśnienie pisane na kartce przed tytułem, z którego dowiaduję się, że dzieło to bardzo rzadkie sprzedane było na licytacyi duplikatów puławskich za 1260 złot. pols., że podobny egzemplarz posiada biblioteka byłego Uniwersytetu w Warszawie. Zwykle w Paprockim brakuje spisu Radzców krakowskich, jak twierdzi objaśnienie, że pewna rodzina z nich pochodząca uzyskawszy szlachectwo za Jana Sobieskiego, owe spisy niszczyła, chcąc uchodzić za starą szlachtę. — Ciekawa np. wzmianka o Radziwiłłach, porównawszy dwie obok siebie karty jednéj liczby. Jedna twierdzi, że „są książętami, tak od królów polskich, jak i od Cesarza Chrześciańskiego tym tytułem ozdobieni etc.“; druga zaś mówi: że to są książęta „nie z rodzaju książąt, ale za sprawy znaczne są tym tytułem oszlachceni etc.“ Takież, lub podobne odmiany napotykasz na wielu miejscach. Są téż i opuszczenia, lub dodatki umyślne. Z innych nabytków świeżych, które w bibliotece hr. Wiktora Baworowskiego pobieżnie spostrzegłem, są: Rękopis „Orland szalony“ 17 wieku, wyszły z biblioteki niegdyś księcia Alberta Sasko-Cieszyńskiego; Reja „Zwierciadło,“ wydanie M. Wierzbięty 1568; Adryana Wierzbowskiego „*Miscellanea* historyczne“ i inne.

Zbiór numizmatów po ś. p. hr. Łosiu znajduje się obecnie w ręku Wgo Laskowskiego i jest do sprzedania. Ma on jeszcze ważne i rzadkie rzeczy tego rodzaju, któreby warto przechowywać w zakładzie jakim zbiorów umiejętnych, już dla tego że mozolnie i z wielkim kosztem gromadzona praca mogłaby się znowu rozejść przez cząstkową sprzedaż i zaginąć. Obecny posiadacz nie będąc sam z powołania numizmatykiem, odstąpiłby je chętnie, byle zbiór ten w nowem ręku znalazł ochronę, na jaką wartością swą umiejętną i rzadkością zasługuje.

Wiedeń w lutym.

Karnawał skończył się wesoło. Od dni piętnastu szły bale publiczne i prywatne jedne za drugiemi bez przerwy. O niektórych ważniejszych słów kilka: Trzy prawdziwie arystokratyczne stanęły w przeszłym tygodniu jakby do walki o pierwszeństwo. Były to bale u księcia Szwarcenberga, margrabiego Pallavicini i u księcia Auerszperga. Który z nich wspanialszy i świetniejszy, odpowiedzieć trudno. Salony księżnéj Auerszperg mają coś i w rozmiarach i w stroju i w okazałości, co się z majestatyczną i wspaniałą, a nawet można powiedzieć piękną postawą saméj pani domu wybornie zgadza, lecz co na całe zgromadzenie, w którém kilka zaledwie dam pod względem urody i kwitnącéj czerstwości wdzięków obok niéj stanąć może, rzuca, jak w przepysznym obrazie, cień za nadto silny i uderzający. Główną figurą tego obrazu jest księżna sama. Przy wejściu do salonu, ona pierwsza uderza roztargnione rozmaitością widoku oczy, jak równie i prawie wyłącznie sama zajmuje w następnych chwilach, pojedyńczą i ogólną uwagę. Byłoby to, jak łatwo pojąć, dla pani domu rola nader trudna do utrzymania, gdyby z tą powierzchowną udatnością i okazałością, niełączyła księżna bogatego zasobu przymiotów umysłu i serca. Jest uprzejmą, dobrą, wesołą, równie jak piękną, i podoba się wszystkim, bez narażenia się nikomu. Margrabina Pallavicini staje co do powierzchowności już na drugiem, jak księżna Szwarcenberg na trzeciem miejscu. Obie niegdyś rzadkiéj piękności, a któréj ślady są jeszcze zachwycające, obie są pełne przymiotów odpowiednich wychowaniu i życiu wysokiego świata. Lecz obie, tak we własnych jak obcych salonach więcéj zajmują niż uderzają, więcéj zostawiają miejsca drugim, niż go biorą same. Te usposobienia i ta ich różnica odbijały się w trzech balach tak wyraźnie, że każdy z nich, lubo tło ich było jednakowe lub podobne, miał prawie wyłączny i sobie właściwy odcisk. Bal księżnéj Szwarcenberg możnaby nazwać świetnym; bal margrabiny Pallavicini wspaniałym; bal księżnéj Auerszperg pięknym. Na wszystkich trzech liczba zaproszonych ta sama: lecz na każdym gra wewnętrznych i zewnętrznych usposobień, właści-

wemu głównemu tonowi odpowiednia. W ubiorach dam w ogólności na wszystkich trzech, więcéj dostrzedz można było blasku niż smaku, i więcéj bogactwa niż powabu. Brylanty, perły, rubiny lśniły się jak gwiazdy na firmamencie, zostawiając w ziemskim cieniu nie jedną twarz, któréj piękność odbiłaby się była cudownie obok świeżéj róży, lub kamelii rozkwitłéj wśród zręcznie utrefionych włosów. W ogólności, naturalne kwiaty i lekkie, wydmuchane, świeże, w koronki obwinięte stroje, należą jeszcze w Wiedniu do wyjątku. Panny poprzestają na gazach i tiulach, damy na jedwabiach, łącząc do tego sztuczne kwiaty lub familijne klejnoty. Ostatni bal wielkiego świata odbędzie się dziś w ostatni wtorek u Księcia panującego Lichtenstein. Jest to pod względem świetności salonów i okazałości przyjęcia, perła wszystkich balów wiedeńskich. W przeszłym roku cztery tu wspomione bale zaszczyconemi były obecnością NN. Państwa. Dziś Arcyksiążę Wilhelm mógł się tylko znajdować na nich, gdyż reszta rodziny cesarskiéj nosi dotąd jeszcze żałobę po Arcyksiężnéj Elżbiecie.

Z balów publicznych trzy również odznaczały się między innemi: to jest, bal uczniów medycyny, prawa, i techników, nad któremi trzema górował wspaniały w swych rozmiarach bal miasta. Pierwsze trzy odbyły się w *Sophien-Saal*, ostatni w sali *Burgu:* wszystkie pod sterem muzykalnym niezmordowanego Straussa. Co do piękności i świeżości tańcujących dam i panien, bale te śmiało stawić można było nad balami świata arystokratycznego. W tym ostatnim twarze odznaczające się wdziękami naturalnemi, łatwo policzyć; w tamtym występują one tłumnie, i na balach zwłaszcza czarujące sprawiają wrażenie. Trzy powyżéj wspomniane bale uczniów stanowiły pod tym względem zachwycający widok. Był to kwiat młodości, w bukiecie złożonym z prześlicznych twarzyczek i nawet powabnyah strojów. Bal miejski uderzał raczéj massą, niż zajmował szczegółami. Było na nim przeszło trzy tysiące osób. Lecz mieszanina strojów i twarzy, więcéj męczyła niż zaspakajała biegącą za wyborem uwagę. Na wszystkich tych balach, arystokracya miała swoich choć nielicznych reprezentantów.

Między innemi tłumnemi tego miesiąca rozrywkami, liczyć trzeba bal maskowy, który się odbył jak zwykle w sali redutowéj pod sterem muzykalnym Straussa. Bale tego rodzaju w Wiedniu mają poważny, li sobie tylko właściwy charakter. Kostiumów mało. Kobiety są w maskach i *dominach*, mężczyzni we frakach. Mężczyzni we frakach. Muzyka trwa tylko do pierwszéj z północy. Tańczy się zwykle mało, gdyż ścisk w obu salach jest taki, iż przedrzeć się czasami trudno. Cała zabawa ogranicza się na przechadzaniu się pojedyńczo lub z maską, co prawie zawsze wychodzi na jedno, gdyż rozmowa jest małym zasiłkiem. Osoby lepszego towarzystwa rzadko się kiedy kryją pod maskami, i jeżeli są kiedy to się zwykle trzymają swych przyjaciół, krewnych lub znajomych. Na balu o którym mowa, było kilka, które odgadywano po nazwisku, lecz zamkniętych w tem poufnem kole. Ostatni bal maskowy odbędzie się dziś w ostatni wtorek. Bywa on zwykle najliczniejszym i najweselszym: może dla tego że ostatni.

W teatrach ciągła próżnia lub mierność. W operze dane z wielkim nakładem ubiorów i dekoracyj drama muzykalne p. Dorn „*Niebelungen*“ niezaspokoiło znawców muzyki klassycznéj, i niepodobało się w ogóle publiczności. Akcya tego dramatu jest słaba, sceny źle rozłożone, sytuacya bez effektu. Może inny tekst dałby panu Dorn lepsze do popisu pole. Wszakże w zakresie jaki miał przed sobą, rozwinął mało nawet technicznych zdolności. Instrumentacya jest huczna, zagmatwana, bez charakteru. Melodyi w ogólności bardzo mało. Dodać nadto trzeba, że opera musiała wyprowadzić na scenę wszystkie swe siły, żeby przedstawieniu dzieła zadość uczynić. Lecz pomimo wszystkich tych zabiegów, *Niebelungen* nie długo pozostaną na tutejszéj scenie. Szczęściem dla nich i dla publiczności, że za miesiąc otwiera się opera włoska. P. Merchi już wrócił z Medyolanu i zapewnia że skład kompanii włoskiéj odpowie wszystkim oczekiwaniom. Między nowemi artystami znajduje się z dam, panna Brambilla *contralto*, znany na pierwszych teatrach włoskich.

W *Burgu* nowa sztuka „Syn Margrabiny“ zupełnie upadła i zdaje się że rzadko przed publicznością znudzoną pierwszemi przedstawieniami się ukaże. Dyrekcya

tego teatru robi wszystkie usiłowania żeby świat dramatyczny pobudzić do zasilenia sceny nowemi płodami. Lecz dotąd ważnych rezultatów otrzymać nie była w stanie. Większą i najlepszą część repertoaru stanowią tłumaczenia z angielskiéj i francuzkiéj dawnéj i nowéj dramaturgii.

Kompania francuzka na *Wiedeniu*, dokazała nadzwyczajnéj na tutejszą publiczność rzeczy. Pomimo cen wysokich ma ona co wieczór liczną i wyborową publiczność, która przyklaskuje grze i sztukom z coraz żywszem i wyraźniejszem zadowolnieniem. Pan Brindeaux zostawi w Wiedniu dobrą po sobie pamiątkę. Zabawi on tu jeszcze do końca tego miesiąca, udając się potem do Wenecyi i do innych miast włoskich.

W przyszłym miesiącu będziemy mieli przyjemność widzieć tu znowu panią Ristori. Zatrzyma się ona w przejeździe do Petersburga i da w *Kärtnerthortheater* dwanaście przedstawień.

W teatrach na przedmieściach nic nowego. Sławna Pepita di Oliva rozpoczyna swe tańce w *Josephstadt*. Treumann ściąga widzów piosnkami pożyczanemi od Levassora. Rott w mundurze Renza bawi widzów na Wideniu. O sztukach dramatycznych nie ma ani mowy.

Berlin w lutym.

W miesiącu maskarad, balów, wieczorów i wszelkiego rodzaju uciech karnawałowych, które zamkniętemu nawet w czterech ścianach mieszkania swego trzęsącego się od sąsiednich podskoków, zaledwie dozwalają myśleć o czém inném, więcéjbym może odpowiedział oczekiwaniu czytelnika, gdybym mu kreślił wszechwładne panowanie pląsającéj w obszernéj krynolinie Terpsychory, aniżeli, podejmując przerwaną rzecz o rozwoju sztuki rzeźbiarskiéj w Berlinie, przedstawiał mu stąpające na koturnach drapowane marmurowe i bronzowe postacie ze świata Melpomeny. Gdyby mi chodziło o pomnożenie i podwyższenie effektów mego berlińskiego cyklorama, nie mógłbym zaiste dokonać tego i snadniéj i skuteczniéj, jak wtrącając do ciągu opowiadania po-

żądany szkic karnawałowy, odmalować obok starożytnéj draperyi nowoczesną krynolinę. Cóżby to był za kontrast, pełen niewidzianych dotąd estetycznych efektów! Kontrast taki widziałem przed parą dniami na balu tutejszych artystów. Phidias, ujrzawszy go, nanowoby się w grób położył, a Horacy podarłby w gniewie list swój do Pizonów. Nie chcę więc być pisarzem estetyki krawców, stanowiącéj bardzo wielką część naszéj przechwalonéj, jak balon wydętéj cywilizacyi. Kronika karnawałowego miesiąca nic na tém nie straci. W Atenach nad Sprewą mody i tańce zapisują się z Paryża. Wszystko tu w tym punkcie tak samo jak gdzieindziéj. Trochę mniéj ognia, życia i szału, to cała różnica. Z zaspokojoném sumieniem przystępuję tedy do właściwego przedmiotu korrespondencyi.

Schadów, mówiłem poprzednio, był twórcą berlińskiéj szkoły rzeźbiarskiéj, Rauch przez liczne i znakomite dzieła swoje, pracując w miejscu przez całe upłynionę półwieku, dziś 80letni starzec, ale pełen życia i siły, i do téj chwili czynny, stał się prawdziwym jéj utwierdzicielem. Jeżeli mówię o szkole, to nie rozumiem pod tym wyrazem pewnego wyłącznego, właściwego i osobnego stylu lub maniery, jaka np. w malarstwie lub poezyi tak zwane szkoły cechować zwykła. Rzeźbiarstwo ma właściwie jeden tylko prawdziwy styl, opierający się na wzorach starożytnego świata, które sztuce téj zakreśliły raz na zawsze granice jéj idealnego przeznaczenia. Styl ten przez długi czas nieznany, niezrozumiany lub niezachowywany, a wskrzeszony dopiero przez Canowę, pokonawszy panującą w zeszłym wieku teatralną manierę francuską, stał się odtąd mniéj więcéj własnością wszystkich szkół rzeźbiarskich, jak włoskich, francuskich, tak i niemieckich. Nazwą szkoły berlińskiéj mianuję więc właściwie tylko tutejszą wielką pracownią rzeźbiarską, zostającą pod dyrekcyą Raucha, pracownią, z któréj wyszło w ciągu ostatnich lat dwudziestu wielu uczniów znakomitego imienia, słynnych obecnie w całych Niemczech.

Wszakże szkoła ta berlińska nie jest bez pewnéj charakterystycznéj cechy, nie tyle we względzie stylu, ile we względzie właściwéj sobie dążności. Dążność tę nazwać można realistyczną, w przeciwstawieniu do ideal-

nej, któréj szczególnie Grecy hołdowali, a z nowszych mistrzów najbliżéj Thorwaldsen obok nich stanął. W téj to realistycznéj dążności, która także cechuje nowszego czasu rzeźbiarzy francuskich, a przed innymi Dawida, wyszło ze szkoły berlińskiéj, tak z pod dłuta samego Raucha jak z pod dłuta jego uczniów, tyle pomników historycznych, uwieczniających pamięć już to osób panujących, już bohaterów wojną wsławionych, już mężów, którzy się nauką, sztuką, wynalazkami lub innemi zasługami przeważnie dla dobra większéj lub mniejszéj ludzkości odznaczyli. Że dzieła z dążności téj powstałe mniejsze dają świadectwo o twórczości wyobraźni, jak dzieła pomysłów idealnych, to łatwo rozumieć. Całą ich zaletą jest trafność w pochwyceniu charakteru przedstawionéj w pomniku osoby, i talent w plastyczném wydaniu go w rysach twarzy, głowy, ruchu rąk, postawie ciała, zgoła w całéj monumentalnéj postaci, w połączeniu z skończoném techniczném wszystkich tych pojedynczych części wykonaniem. Większa część dzieł Raucha ma tę zaletę, mają ją i dzieła niektórych uczniów jego. Ale ani Rauch ani żaden z tych ostatnich nie doścignęli ani Canowy ani Thorwaldsena w genialności ich idealnych kompozycyj. Berlińskiéj szkole rzeźbiarskiéj niedostaje polotu fantazyi, natomiast ma ona dar bystrego obserwowania natury, zdolność głębokiego przejęcia się zadanym przedmiotem, wielką znajomość anatomii i rysunku, wreszcie dość powszechny i wysoko uprawiony talent nader wytwornego technicznego obrabiania szczegółów. Są to w ogóle przedmioty duchowego usposobienia tutejszych artystów i na polu innych sztuk pięknych. Wiele rozumu, mało twórczości. Ztąd w poezyi taki obecnie pociąg do dramatyczności, w muzyce do harmonii, wsparty mniemaniem, że tam rozumna refleksya w treści i poprawne wykonanie w formie zdołają zastąpić twórczość wyobraźni, i mozolnie dokonaną pracę podnieść do wartości arcydzieła.

Zrobić medalion, popiersie, statuę, posąg, tego gotów jest podjąć się każdy nawet z podrzędniejszych rzeźbiarzy. Brać i postaciować pomysły ze świata idealnego, na to porywają się rzadko nawet pierwsi mistrze. Sam nawet Rauch stworzył bardzo mało dzieł w tym rodzaju.

Wspomniałem w przeszłym liście jego Wiktorye, przedstawiane w najrozmaitszych postawach, w których wyczerpnięte są niemal wszystkie odcienia myśli tego przedmiotu. Wiktorye te będą kiedyś mocniéj świadczyły o twórczéj genialności Raucha, aniżeli niejeden z jego historycznych posągów, aniżeli nawet, wedle zdania mego, kolosalny posąg Fryderyka W., uważany powszechnie za największe jego dzieło. W małéj liczbie utworów Raucha idealnego rodzaju, wymieniam tylko jeszcze pełną gracyi Najadę, którą nabył zmarły cesarz rossyjski, oraz przed parą dopiero laty wykonaną Danaidę, obiedwie w marmurze. Do ostatniego dzieła swego, dopiero w modelu wykonanego, a przeznaczonego być odlaném w bronzie, wziął Rauch treść z Pisma ś. starego testamentu. Dzieło to tworzy grupę, złożoną z trzech kolosalnych figur Mojżesza, Aarona, Hura, pomyślaną w chwili, kiedy ci trzéj mężowie przypatrują się z wierzchu pagórka bitwie Jozuego z Amalekitami. „A gdy podnosił Mojżesz rękę swoję, przemagał Izrael; a gdy opuszczał rękę swoję, przemagał Amalek. Ale ręce Mojżeszowe ociężały były; wziąwszy tedy kamień, podłożyli podeń, i usiadł na nim; a Aaron i Hur podpierali ręce jego, jeden z jednéj, drugi z drugiéj strony: i nie ustały ręce jego aż do zajścia słońca. Tedy poraził Jozue Amaleka i lud jego ostrzem miecza.“ Na tle téj treści stworzył Rauch rzeczoną grupę. Pomysł był dany. Chodziło tylko o nadanie spojonym jedną myślą osobom właściwego każdéj z nich charakteru bez naruszenia jedności myśli. Rauch odpowiedział zadaniu temu z natchnieniem i zapałem młodzieńca, z rozmysłem i doświadczeniem star go mistrza. Mojżesz siedzi na kamieniu, w postawie modlącego się, z głową nieco w tył skłonioną, z oczyma ku niebu wzniesionemi, z otwartemi szeroko ramionami, zdaje się dźwigać do góry, jakby dla przyjęcia głosu Bożego. Aaron, starszy wiekiem, stoi po lewéj stronie, z obliczem ku twarzy Mojżesza zwróconém, lewą rękę ku ziemi opuścił, prawą podpiera ostatniemi siłami lewe ramię brata, sam zdaje się z długiego wytężenia uginać ku ziemi i szukać oparcia na kamieniu. Hur, najmłodszy wiekiem, postać olbrzymiéj siły, lewą ręką wspiera plecy Mojżesza, prawą dźwiga z niezachwianą mocą prawe ramię Mojżesza,

modły go nie obchodzą, wzrok ma zwrócony w dół, snać na leżące u spodu pagórka pole bitwy, wyraz twarzy maluje żądzę współudziału w boju, a zarazem przebija się w niéj promyk radości z przechylającego się zwycięstwa. Postać Mojżesza pełna powagi i uroczystości, postać Aarona może zanadto podupadła i bezsilna, zato postać Hura przenikniona cała od stóp do głów jedną żądzą i energią ducha i ciała. Nie mogę się wdawać w mniejsze szczegóły. Nie dotykam także krytycznie żadnéj strony dzieła. Wartość jego artystyczna pokaże się dopiero, gdy będzie odlane w bronzie. W każdym razie grupa Mojżesza liczyć się będzie pomiędzy najznakomitszemi utworami Raucha. Przeznaczenie jéj nie jest jeszcze wiadome. Podobno ma być umieszczona w głównym przysionku jednego z tutejszych lub poczdamskich kościołów.

Zanim przejdę do uczniów Raucha, wypada mi wspomnieć jednego z współczesnych jemu rzeźbiarzy, który teoretycznie i praktycznie niezmiernie się przyczynił do zamiłowania, wykształcenia i upowszechnienia sztuki rzeźbiarskiéj w Berlinie. Jest nim Chrystyan Fryderyk Tieck, młodszy brat znanego powieściopisarza i poety Ludwika Tiecka. Urodził on się 1776 r. w Berlinie. Tu kształcił się w sztuce rzeźbiarskiéj aż do roku 1797 pod Schadowem, następnie pod Dawidem w Paryżu, dokąd wysłany był na koszt rządowy. Późniéj pracował w Weimarze, a w r. 1805 udał się w towarzystwie brata swego i barona Rumohra, znanego przez dzieło swoje o sztuce starożytnéj, do Włoch, gdzie bawiąc przez lat cztery wykształcił się na znakomitego artystę. Przebywał następnie przez trzy lata w Monachium, dokąd go wezwał dla wykonania kilku zamówionych popiersi ówczesny następca tronu a późniéjszy król bawarski Ludwik, największy czasu swego miłośnik i mecenas sztuk pięknych. W roku 1812 widzimy Tiecka znów we Włoszech, gdzie odtąd stale, różnemi pracami zajęty, aż do 1819 r. przebywał. Wtedy poczęła się także znajomość i przyjaźń jego z Rauchem, która późniéj w Berlinie więcéj jeszcze obu do siebie zbliżyła na drodze tegoż samego zawodu i tej saméj sławy. Tieck powróciwszy w r. 1819 do Berlina, został członkiem akademii sztuk pięknych, która mu zawdzięcza znaczną część zasługi swojéj względ-

dem rozszerzenia lepszego smaku i przygotowania licznéj młodzieży do artystycznego zawodu. W połączeniu z Schinklem i Rauchem, Tieck najwięcéj starania dołożył, aby kształcącą się młodzież zaopatrzyć w jak najbogatszy zbiór technicznych wzorów, bez których sztuce, równie jak i rękodzielnictwu, trudno się gruntownie i zasadniczo rozwinąć. Tieckowi zawdzięcza także stare muzeum restauracyą większéj części znajdujących się w niém oryginalnych posągów starożytnych, oraz wielką ilość rzeźbiarskich dekoracyj, które gmach ten zdobią. Również i statuy, grupy, płaskorzeźby, zdobiące Schauspielhaus są po większéj części jego dziełem.

Najliczniejszemi i najznakomitszemi pracami Tiecka są popiersia. Wyliczę z nich główniejsze. Do najdawniejszych należą zrobione podczas pobytu jego w Weimarze 1801 r., popiersia Wolfa, Vossa, Göthego. Następnie podczas pobytu we Włoszech popiersia kardynała Sommaglia, Arcyksiężny Maryi Anny i Göthego. Daléj podczas pobytu w Monachium popiersia następcy tronu bawarskiego księcia Ludwika, brata swego Ludwika Tiecka, Schellinga, Jakobiego. Podczas drugiego pobytu we Włoszech popiersia Lessinga, Herdera, Buergera, Wallensteina, Hugo Grotiusa, Erazma z Roterdamu, książąt Wilhelma i Maurycego Oranii i innych. Wtedy zrobił także dla pani Stael statuę Neckera wielkości naturalnéj. W Berlinie będąc, wykonał wzorowe popiersia sławnego budowniczego Schinkla i zmarłego króla Fryderyka Wilhelma III. Ostatniém dziełem jego jest posąg Schinkla, który w przedsionku muzeum ma być postawiony. Tiecka dziełem są także grupy konne Kastora i Polluksa, stojące na starém muzeum, a wykonane wedle oryginałów znajdujących się na Monte Cavallo w Rzymie. Toż grupa Apollina ciągnionego przez gryfy wprzężone do wozu, stojąca na Schauspielhauzie. Również i grupy lwa i lamparta z amorkami, stojące na wielkich schodach Schauspielhauzu. Wreszcie wielkie drzwi tutejszéj katedry, wykute w bronzie.

Tieck miał bardzo wiele prawdziwego czucia, że nie powiem przyrodzonego instynktu. Wszystkie prace jego odznaczają się niezmierną delikatnością w pochwyceniu i oddaniu każdego charakterystycznego rysu. Dlatego to popiersia jego są prawdziwemi typami indywi-

dualności osób, które przedstawiają. Charakterystyczniéj portretu téj saméj osoby żaden następny rzeźbiarz wydać nie potrafił. Techniczne wykonanie nie pozostawia nic do nagany. Tieck umarł w Berlinie 14 Maja 1851 r. i tu jest pochowany.

Aby ciągu nie przerywać odkładam rzecz o uczniach Raucha do następnego listu.

Paryż w lutym.

„*Au fond de chaque chose contemporaine il y a de l'argent. C'est triste, mais c'est un fait*“ powiedział niedawno Mery. Jestto jedna z tych upokarzających prawd bez repliki, których najbezinteresowniejsi ze spuszczonemi słuchają oczyma, którym nikt nie przeczy i nikt się już niedziwi. Co większa, każdy kto wejrzał bliżéj w stósunki społeczne, nie tylko przy powyższem zdaniu obstaje, ale nadto stwierdza ten smutny fenomen, że miłość pieniędzy przeniosła się z głowy do serca. Żądza złota już się nie usprawiedliwia jak dawniéj mnogością potrzeb któremi cywilizacya obarczyła człowieka; chciwość jest dziś wzniosłą aspiracyą, do któréj każden z chlubą się przyznaje. Jak niegdyś sztukę dla sztuki, tak teraz ludzie kochają pieniądze dla pieniędzy, i kochają idealnie, bo nawet wtedy, kiedy te żadnéj im materyalnéj nie przynoszą korzyści; miło dzwięk pieniędzy słyszeć, miło patrzeć na nie, choćby tylko przez siatkę cudzéj sakiewki, i westchnąć do nich, jak niegdyś wzdychano do kochanki wyglądającéj przez zakratowane okno.

Ci co zarzucają młodemu pokoleniu brak poezyi i fantastyczności, są w błędzie — na poetycznéj fantazyi mu niezbywa, tylko rzeka marzeń tegoczesnych nowe sobie wyrobiła łożysko.

Dawniéj umysł ludzki silił się na wynajdywanie nowych religij, systemów filozoficznych, rządowych programatów — dzisiaj sili się na organizowanie towarzystw kredytowych i kompanij przemysłowych. Dawniejsi marzyciele chcieli wywierać wpływ moralny, reformować społeczność, lub też po prostu świat zbawiać —

dzisiejsi wyłącznie wpływem materyalnym zajęci, niemniéj olbrzymie tworzą przedsięwzięcia; na ogromnych planach poczętych w gorączce, projektują naprzykład stworzenie trzeciego świata; autor planu wynalazł maszynę za pomocą któréj można oddychać, jeść i pić na dnie morza; proponuje więc odebranie rybom mokrych posiadłości, i założenie na sto sążni pod wodą miast, w których ludność ziemska będzie się chłodzić podczas upałów. Na założenie fundamentów trzeciego świata genialny projektowicz żąda tylko stu milionów.

Inny znów za sto milionów podejmuje się osuszyć wszystkie bagna na świecie; inny, za ten sam kapitał, obiecuje zmienić Saharę w urodzajną niwę; inny proponuje użyźnianie ziemi ludzkiemi trupami; inni znów podejmują się scentralizować wszystkie assekuracye na całéj kuli ziemskiéj i zaprowadzić język uniwersalny; inni podają model okręto-balonu, który w ciągu trzech dni obleci do koła kulę ziemską; inni nakoniec dają abrys powietrznego omnibusu odbywającego, nie już jak Gawarni balonem swego wynalazku w szesnastu, ale w dwóch godzinach podróż z Paryża do Algieru. Każden dla urzeczywistnienia tych cudów żąda tylko nędznych stu milionów!

I mówże tu potém, że niema dziś poetów, że nie ma marzycieli, awanturników. Są, i szaleńsi jak dawniéj; tylko uprościli sobie zadanie: nie tułają się już samopas w krainie abstrakcyi, i nie gościńca w chmurach, ale *worka* na ziemi szukają; jak szekspirowski Ryszard za konia, tak oni królestwo swoje oddają za worek. Worek stał się jedynym bogiem naszéj zajmującéj generacyi.

Mieszkańcy i mieszkanki Zachodu, czy to na wsi, czy w mieście poczynają marzyć o pieniądzach w chwili kiedy je kuć przestają. Ztąd tak dobrze interes życia jak interes zabawy leży w puli; widowisko zajmuje, jeżeli idzie o zdobycie złotego runa, sztuka bawi wtedy tylko, jeżeli intryga obwija się około złotego motowidła.

Wiedzą o tém dobrze pragnący sławy autorowie i dla tego bohaterami nowych dramatów i komedyj nie są już ludzie, ale miliony.

Dwie takie sztuki grają teraz w Paryżu: „*Turcaret*“ i „*La Question d'argent*“. W piérwszéj, Lesage poka-

zuje, jakim obrządkiem wielbiono złotego cielca w zeszłym wieku — w drugiéj Dumas syn, przedstawia jak go dziś wielbią. Tu i tam chodzi o jednego boga, ale rytuał czci zupełnie teraz inny, bo inni ludzie.

Lesage pisał *Turcareta* w r. 1709, w czasie dziwnie dwuznacznym. Była to chwila zmierzchu. Słońce Ludwika XIV zaszło — nudziła się Francya — król znużony swą półwiekową sławą, ziewał w pociemniałym Wersalu, a rozpustne bożki Olimpu niezważając na zmarszczone brwi jowiszowe, broiły bezkarnie. Zepsucie jeszcze nieprzesiąkło społeczeństwa ponętną wonią, wady jeszcze się nie upolerowały. Znikła już silna szlachta z wyrazistą twarzą ocienioną puklami olbrzymiej peruki, owi ludzie których śmieszności nawet miały pewną myśl i pewien właściwy charakter — a nie przyszło jeszcze na ich miejsce owo błyskotliwe, skoczne, wymuskane i układne pokolenie elegantów, które trzepocąc koronkami i migając połą aksamitnego fraka, przedstawia nam się jak stado pstrych motyli fruwające w pudrowéj kurzawie ośmnastego wieku.

Turcaret urodził się więc w chwili przejścia, w epoce skandalów i brutalnéj rozpusty — w epoce, w któréj książe Orleański czytywał podczas mszy Rabelego w nabożnéj okładce — a księżniczki zamknąwszy się w Trianonie paliły *kaprala* z żołnierskiéj lulki. — Nic więc dziwnego, że obraz takich obyczai wydaje się przesadzoną karykaturą; że ta arystokracya przepijająca w karczmie pieniądze wyłudzone w sypialni, ta szlachta orderowa zmawiająca się z kochankami na rabunek milionowego chłopa, a cały zarząd życia powierzająca lokajom bez czci i wiary — musi nas razić do tyla, że nie możemy uwierzyć w istnienie takiego świata.

A jednak był on takim, niestety — jeżli zaś komedya Lesaga kłamie czasami, to chyba tak jak chiński parawan, który przesadą uwesela przedstawione monstrualności.

Intryga sztuki jest jednem pasmem kradzieży. Lichwiarz Turcaret eksploatuje kraj — Baronowa odziera Turcareta, Margrabia Baronową — Frontin i Lizeta okradają swych panów — a zgraja drobnych spekulantów jak sfora psów głodnych, warczy na siebie ogryzając kości magnatów. W całéj komedyi jest tylko jeden

szlachcic który niekradnie, zapewne dla tego, że zawsze pijany. — Obraz owczesnych obyczai francuzkich najwymowniéj oddaje powiastka, którą gmin rosyjski swe wewnętrzne stosunki określa: „Werbu kaza dierot, kazu wołk dierot, wołka pastuch dierot, pastucha zasidatel dierot, zasidatela prokuror dierot, prokurora...“ itd.

Co najboleśniéjsza, że autor malując tę szkołę wzajemnéj kradzieży, na nikogo się nie gniewa; jest on tylko jak *camera obscura* odbiciem tego co jest, i jak ona przedstawia rzecz wiernie, nie zdradzając żadnych własnych intencyj. Wszystkie osoby rzucone są od niechcenia, jakby cień prawdy — żadna figura nie ma tego efektownego kolorytu ani wykończenia, które artystycznem zowią obrobieniem. Sam bohater sztuki, Turcaret, ów pierwowzór dochrapskiego, o wiele jest niższy od późniéjszych swych kopij. Nie ma on wcale ani hartu ani bystrości dzisiejszych finansistów, ani pawiéj napuszystości dorobkowicza, ani brudnego skąpstwa, którem zazwyczaj pozorna hojność jego podszyta. Turcaret przypomina karnawałowego wołu w złotogłowiu, tak wypasłego że nawet nieczuje, kiedy go ze skóry odzierają — jestto nie zawiązany worek złota z którego bierze kto chce, lokaje i metresy, aż póki nie wyczerpie się do dna. Dobroduszność jego tak wielka, że w końcu widok tego człowieka obstawionego pijawkami, budzi dlań pewien rodzaj współczucia i czyni go najsympatyczniejszą figurą sztuki.

Inaczéj wygląda pan Giraud, ostro-kuty bohater „*Kwestyi pieniężnéj*“ naszych czasów. Nie jestto karykatura, ale wierny portret kapitalisty na Zachodzie. Wybitną cechą jego charakteru, pogląd bystry i zdrowy rozsądek. Giraud boi się śmieszności jak ognia; nie wstydzi się jak Turcaret swego pochodzenia, owszem, chlubi się z tego że ojciec jego był ogrodnikiem, a on sam jest milionerem (nowy rodzaj próżności, którą ludzki egoizm ku ozdobie bezherbnych nazwisk wynalazł). Chociaż ma pociąg do jaskrawego stroju, Giraud nie ubiera się przecież jak Turcaret lub bulwarowy zęborwacz — na ciemnéj jego odzieży nie dopatrzysz nawet łańcuszka od zegarka, tak bardzo się obawia żeby nieprzypominał wyśmianego typu Geldhaba. — Z urodzenia

i z zasady demokrata, używa bez zawrotu głowy swych bogactw — nie tylko śmieje się z przesądów, ale co większa, chociaż już kupił baronostwo, baronem pozwala się tylko tytułować w domu kiedy nikogo nie ma, i to jedynie, jak mówi, dla zrobienia przyjemności służącym.

Zaprawdę, łatwiéj podobno skreślić portret największego dziwaka, jak oddać szare odcienia téj marnéj poczwarki, nierażącéj żadną śmiesznością, i z pozoru nie różniącéj się niczem od innych — łatwiéj artyście z pomocą historycznéj intencyi wtajemniczyć się choćby w tak głęboki i skryty charakter jak Filipa II, niż uchwycić właściwości pierwszego lepszego towarzysza obiadu lub podróży. Pochodzi to ztąd, że własną twarz najmniéj znamy, a jeżli patrzymy w zwierciadło, to na to tylko, żeby zaczesać włosy lub zawiązać krawatę, nie zaś na to, żeby się malować.

Dumas syn posiada ów rzadki dar portretowania własnéj twarzy. Podczas kiedy inni dramaturgowie francuzcy szukają wzorów w przeszłości, kalkują portrety z portretów, on maluje ludzi z natury. Układając sztukę, młody Dumas zamyka na klucz, żeby mu nie przeszkadzały, wszystkie drukowane wzory; nie radzi się o nic ani Plauta, ani nawet Moliera — i to jest podobno największą jego zasługą. Ażeby uchwycić jaki przedmiot, autor *Demi-mondu* niepotrzebuje żeby mu go poprzednio wyraziła sztuka — słowem, widzi on ludzi posród których żyje, kiedy inni pisarze dopiéro w dwuwiekowém oddaleniu rozpoznawają człowieka.

Od czasów Lesaga po milion razy przedstawiano na scenie dorobkowicza, i zawsze w téjże saméj ulanego formie; nie zważając na zupełną przemianę społeczeństwa, nowocześni autorowie ślepo starych trzymali się wzorów: dorobkowicz na scenie musiał być koniecznie głupi, gburowaty, ciężki i czerwony. Pierwszy Dumas odważył się potłuc komiczną marionetkę i przedstawić finansistę takim jakim go znamy, to jest wcale nie głupim, nie ciężkim i nie czerwonym. To też każda myśl autora była pojęta i że tak powiem, dośpiewana w sercu widzów, któremi teatr był przepełniony; cała sala polegając na bystrości młodego dramaturga, przeglądała

się w dziele jego jak w zwierciedle, pewna że zwierciadło nie fałszywe.

O bardzo prostéj i nic nieznaczącéj intrydze sztuki nie wspominam tu, mniemam bowiem, że mniéj więcéj obojętną ci rzeczą dowiedzieć się czy Numa poszła za Pompiliusza czy nie. Zresztą „*La Question d'argent*" nie jest właściwie komedyą, ale raczéj galeryą portretów osób żyjących, zwykłych, codziennych, których jedyną spójnią ręce szperające po cudzych kieszeniach. — Finansista Giraud odmalowany *de plein pied*, stoi na pierwszym planie; obok niego, ale już w mniejszém świetle, rysuje się pulchna fizyonomia szanownego episjera pana Durieux — przy nim dla konstrastu, typ arystokratyczny uosobiony w ponętnéj hrabinie Savelli — daléj pan Charzay, wizerunek rozsądnego młodzieńca naszych czasów — daléj, zrujnowany szlachcic de Roncourd, a obok, jego piękna córka, która w końcu wyposażona przez hrabinę Savelli, staje się godną ręki najrozsądniejszego z młodzieńców. — Oto i wszystkie osoby sztuki, które otwierają usta na to tylko, żeby poprawić Merego, i dowieść, *qu' au fond de chaque chose contemporaine il n'y a que de l'argent.*

Z pola sztuki dorzucę słów kilka o posągu Mickiewicza, który świeżo widziałem w pracowni Władysława Oleszczyńskiego. Jestto robota zamówiona przez kilku młodych Wielkopolan, którzy na ten cel składkę w Poznańskiem otworzyli. Statua ma stać w jednym z kościołów miasta Poznania, albo w Bibliotece Raczyńskich. Koszta wynoszą 4000 fr.

Posąg już na pół skończony, jest z kamienia ciosowego (pierre de Conflans) wysokości sześć stóp; stać będzie na piedestale mającym 4$^1/_2$ stóp. — Na pierwszy rzut oka przypomniał mi on Szyllera dłuta Thorwaldsena, może dla tego, że ruch i układ prawéj ręki jest ten sam prawie; tylko że Szyller w tęsknéj zadumie głowę nieco na piersi opuścił; Mickiewicz zaś lekko w tył przechylony, okiem w dal patrzy, jakby wyzywał wszystkie burze losu. Prawa ręka zgięta pod piersią trzyma w dłoni rylec — lewa opada wolno na papier leżący na odłamie symbolicznéj ruiny; spodem wykwita gałązka laurowa; na zwieszonéj karcie czytamy sześć wierszy

z „Improwizacyi,“ najszczytniejszą apoteozę pieśni jaką wypowiedziano w języku śmiertelnych:

...„Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy;
Domyśla się że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.“

Głowa poety modelowana jest wedle litografii Mackiewicza uznanéj za najwierniejsze odbicie rysów Adama pod koniec życia, oraz wedle maski którą zaraz po śmierci zdjęto z twarzy zmarłego. Piękne, bogate włosy od czoła w tył zarzuczne i usta bólem ścięte, nadają głowie wyraz wielkiéj mocy i wzniosłej dumy. Patrząc nań, przyszły mi na myśl trafne słowa jednego z panów polskich, że to jedyny u nas człowiek, co dziś jeszcze dumnym być umiał.

Draperye dał artysta zupełnie naturalne. Thorwaldsen dłutując Szyllera chwiał się między starym i nowym światem — nie śmiał zerwać całkiem ze starożytną draperyą; ztąd jego Szyller jest na pół w powszednim na pół w klasycznym stroju. — Oleszczyński zupełnie od dawnych tradycyj odstąpił. Na piersiach jego posągu z pod rozsuniętych fałdów widać na guziki zapięty paletot — z lewego ramienia opadły płaszcz prawa podtrzymuje ręka.

Kiedym winszował rzeźbiarzowi téj śmiałéj i szczęśliwie przeprowadzonéj reformy, odpowiedział, że natchnęły mu ją pojęcia samego Mickiewicza, który nie mógł darować Thorwaldsenowi, że Księcia Józefa Rzymianinem w posągu zrobił. (Posąg ten Cesarz Mikołaj zapewne jako dziedzic historycznéj sławy polskich legionów, podarował innemu bohaterowi, hr. Erywańskiemu, a ten go w Dęblinie postawił.)

Jeżeli powyższe szczegóły nie uplastyczniły ci statuy Mickiewicza, i jeszcze mnie o zdanie zapytasz, powiem ci tylko, że Goethe zarzuciłby pewnie posągowi brak zaświatowego spokoju, nadto, widoczne na licach męczarnie ducha zakłóconego ziemską rozterką — ale czyż

polak może inaczéj pojąć oblicze tego, co wzniósłszy się nad świata krawędzie zawołał:

„Nazywam się Milion — bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.“

Rzym w lutym.

Jest legenda jedna w Rzymie która nas Polaków zająć może, a o którćj, o ile mi wiadomo, nikt dotąd nie wspomniał, chociaż rzecz nie wielkiéj wagi, bo oparta, jak prawie wszystkie legendy na bajecznych podaniach. Kiedyś tam, już bardzo dawno, miał przybyć jakiś wspaniały i bogaty król Polski, który osiadłszy w dzielnicy miasta zwanéj teraz *I Monti,* zakupił wielki pałac i tam swym zbytkiem, przepychem i słowiańską gościnnością zadziwiał magnateryę rzymską, nie zapominając przytem biednych, którym sowicie rozdawał jałmużnę. Przyszła jednak godzina, w któréj ten bezimienny król musiał wracać do kraju, a chcąc aby mieszkańcy z nad Tybru długo i mile o nim wspominali, kazał ulać ze szczerego złota posąg przedstawiający własne królewskie oblicze i.... zakopał tę pamiątkę głęboko w ziemi. Pamiętni i czuli Rzymianie wywdzięczając się naszemu dawnemu i jak się zdaje podróżującemu *incognito* królowi, przezwali ulicę przy której był jego pałac, a która dotąd zachowała to nazwisko, *Via di Monte Polacco.* Późniejsze zaś generacye mniéj delikatne, a lubiące jak teraźniejsze, złoto cudzoziemców, zaczęły grzebać i szukać z archeologiczną namiętnością owego posągu. Dotąd jednak oprócz starych zbroi nic nie wykopano.

Pytałem się niejednego rzymianina, archeologów i badaczy starych pamiątek, czy mi nie mogą udzielić jakich szczegółów téj historyi, ale mnie spotkało to co tu spotyka zwykle zbyt ciekawego cudzoziemca: „*Mio caro chi lo sa*“ czyli „mój kochany kto o tém co wie“. Jednak p. Aleksander Rufini w swojem dziele o Rzymie *) wspomina w kilku słowach o owéj legendzie.

---

*) ***Dizionario Etimologico-Storico delle strade, piazze, borghi e vicoli della citta di Roma compilato da Alessandro Rufini.— Roma 1847.***

Mając nader wiele przeszkód do poświęcenia się archeologicznym badaniom i studiom, jakichby wymagało sprawdzenie tradycyi o królu Polaku osiadłym w wiecznem mieście, zostawiam takową badaczom *ex professo*, poprzestając na wskazaniu i zaleceniu miłośnikom naszéj historyi szczegółu, z którego może po należytem zgłębieniu rzeczy, nowe światło mogłoby paść na nasze dzieje, a przynajmniéj piękna się powieść wysnuć pod piórem powieściopisarza.

Uprzedzam jednak zwiedzających stolicę świata, aby przez właściwą turystów nieostrożność nie pomieszali *Via di Monte Polacco* z *Via de' Polacchi* znajdującą się obok kościoła ś. Stanisława dawniéj do Polski należącego.

Jeśli król nasz bezimienny, którego imie, jak rzekliśmy wyżéj, zostawiamy do odszukania nowym Lelewelom, bawił w pięknéj Auzonii i niezaniedbał nawet, jak na Sarmatę ucywilizowanego przystało, unieśmiertelnić się posągiem, a jak hojności polskiéj przyzwoitém było, ze szczerego złota kazać się odlać, tak i Włosi często i nader często zwiedzali naszą ojczyznę w przeszłych wiekach. Wszystkim wiadome są dzieje królowéj Bony, Socyna, Alcjaty itd.; ale nie wszyscy wiedzą o Janie Pacichelli z Pistoi w Toskanii, sławnym turyście z XVII wieku, który i do Polski naszéj zawitał, gdy jeszcze podróże nie były spowszedniały jak dzisiaj z przyczyny kolei żelaznych. Włoch ten powracający z Sarmacyi, skromnie się stawił obok Krzysztofa Kolumba i nie wstydził się porównać z Markiem Polo. Otóż ów Pacichelli, rodak Machiavellego i dworzanin Medyceuszów, wykwintny belletrysta, patrzący z całą pogardą ulubieńca muz i całą wyrafinowaną ironią bywalca najdowcipniejszego w Europie dworu, na żolnierską i niekiedy rubaszną Sarmacyę, a oraz nielubiący jak dzisiejsi literaci wyrokować o wszystkiem encyklopedycznie i stanowczo, gdy nawet lekko i żartobliwie rozprawiał, i jak najkrócéj mówiąc najwięcéj dotknąć przedmiotów by go o jednostajność nieposądzono, wydał swoje *Impressions de voyage*, w czterech tomach pod tytułem: „*Lettera al Padre Alessandro Paci, nella quale trattasi del Governo di Polonia e della dimora dell' Autore in Stettino, Danzica, Varsavia e Cracovia.*“ (List do ojca Aleksandra

Paci, w którym mowa o Rządzie Polskim i o pobycie autora w Szczecinie, Gdańsku, Warszawie i Krakowie). Na początku umieszczony jest wizerunek autora, którego bożek Merkury unosi w powietrzu, a pod nim następujący dwuwiersz:

Haec Pacichelli defert Cillenius ora
Omnibus, ut noscens omnia, notus eat.

To jest: bożek z Cylleny pokazuje to Pacichellego oblicze, aby jako wszystko znający, znanym był od wszystkich.

Na stronnicy 242 znajduje się następna charakterystyka ówczesnéj Polski:

Polaków Królestwo sławne
Jest niebem dla panów,
Jest piekłem dla chłopów,
Rajem zaś jest dla żydów,
A kopalnią dla cudzoziemców,
Dla kobiecych zbytków.
Obfituje wielce w wełnę,
Ale zawsze jest ubogiem w sukno,
Zbiera lnu co nie miara
Ale płótna za granicą szuka.
Miłośnik cudzoziemskich towarów,
Szacuje co drogo zapłacił,
Co zaś tanio nabył, tem gardzi *).

Dawno już jak świat elegancki nie rozpuścił wodzów karnawałowych jak tego roku. Dzień w dzień walcuje, polkuje, *lansjeruje*. Bal po balu, i wszystkie już dni naprzód zajęte przez zaprosiny aż do popielca. Czy nogi

---

*) *De' Polacchi il Regno illustre*
Egli è cielo pe' Signori
E l' inferno de' villani
Parodiso è per gli Ebrei
E miniera a' Forestieri
Per il lusso delle donne.
Egli abonda assai di lane
Ma di panni è scarso ognora.
Miete lino in abondanza

wystarczą, tego nie wiem, tem bardziéj że opanował piękne nasze tancerki jakiś szał do mazura. Nie masz balu, najmniejszego wieczora, gdzieby go nie tańcowano czyli raczéj nie próbowano tańcować. Jest to bowiem karykatura, istna parodya tego naszego tak wesołego i narodowego tańca. Ale któżby pomyślał, że nawet tak przeistoczony, o mało co nie został jabłkiem niezgody? Na drugim bowiem balu u francuzkiego jenerała hr. de Goyon, który swoją bytnością zaszczyciła królowa hiszpańska Krystyna, mieli umyślnie dla niéj zagrać i pokazać naszego hucznego mazura. Ale stanęły do koła sprzeczne zupełnie żywioły. Rosyanie zaczęli prowadzić, tańcując jak zapewne tańcują w Petersburgu i Moskwie, i myśląc, że mazur na tem najwięcéj zależy, aby korkami posadzkę rozbijać. Polacy zaś mając prawo i tradycyą za sobą, robili zupełnie przeciwne figury nie chcąc iść w ślady pierwszych. Nareszcie wmięszało się do naszego koła kilku włochów nie mających żadnego wyobrażenia o polskim tańcu. Temu wszystkiemu wtórowała fatalna kocia wojskowa muzyka francuzka. Zgadnąć łatwo, jak ogromne zrobiliśmy *fiasco*. Rosyanie składali winę na nas, my na nich, a licznie zgromadzona galerya ironicznie się uśmiechała. Zresztą bal u jenerała hr. de Goyon był świetny i liczny. Najpiękniejsze dotąd dawali poseł francuzki hr. de Rayneval, poseł francuzki p. Thiele i książęta Zagarollo, Gallicano i Salviati. Tańcowano także na korzyść ubogich w pałacu Braschi. W przyszłym tygodniu będą dwa bale kostiumowane, na które się cieszą piękne rzymianki. My zaś polacy schodzim się co poniedziałek w pałacu Bernini, gdzie nam pani hr. H. otworzyła swoje gościnne salony, do którychby warto wpuścić choćby raz tylko rosyjskich dyletantów mazura, aby im dać dobrą naukę.

O teatrze wspominać nie warto. Po „*Ernani*“ dano operę „*Otello*“, która się prawie tak udała jak nasz mazur u jenerała francuzkiego. W przyszłym tygodniu

---

Ma di fuor cerca la tela.
Amator di merci estrane.
Il pagato caro estima
Il comprato a poco sprezza.

p. Ristori zacznie swoje przedstawienia. Rzymianie chcą przyjąć rodaczkę swoją z całym południowym zapałem.

Bawi obecnie tu margrabia de Custine, autor podróży do Rosyi, która, że raz jeszcze użyjemy tego samego przedmiotu porównania, większem jeszcze od wyżéj wspomnionego mazura była niegdyś jabłkiem niezgody między dowcipnym pisarzem a Rosyą. Kilka dam z tego kraju znajdowało się niedawno na wieczorze u pani ***, gdy margrabia wszedł także do salonu. Zakłopotana gospodyni nie ośmieliła się przedstawić tym gwiazdom północnym, tak straszliwego i w przelocie swoim pod ich niebem, tak groźnego meteoru literatury. Gdy jednak opuściły salon, pani *** przepraszała pana de Custine za to, twierdząc że zmuszoną była do tego, gdyż jego imię zbyt głośne na północy. Na to dowcipny pisarz odrzekł: „*Décidément Madame, je suis un flatteur méconnu*“.

Już od kilku tygodni jak otworzono wystawę obrazów i rzeźby przy *Piazza del Popolo,* ale o tem w swoim czasie.

Londyn w lutym.

Zważając na rozmiar jakiście sobie założyli dawania w *Dodatku* wiadomości nie tylko o dziejowym, społecznym i literackim stanie różnych narodów, nieraz przychodziło mi na myśl, żeby dać wam ogólny obraz literatury angielskiéj. Zastanawiałem się nad tem pilnie, aby tak zamiarowi waszego pisma jako i ciekawości jego czytelników dogodzić; lecz im rozważniéj myślą przebiegałem obszary różnych gałęzi piśmiennictwa angielskiego i jego bogactwa, tém silniéj wzmagało się we mnie przekonanie, iż ten zamysł mój nie był do wykonania. Nie sam jeden przyszedłem do tego przeświadczenia, lecz wielu anglików przy największéj usilności i zasobach jakie własny ich kraj im nastręczał, potknęło się na téj drodze. Wielość płodów wiedzy, rozumu i sztuki w różnych odnogach piśmiennictwa, rozległość granic jego nie w jednéj tylko Anglii, lecz na przestrzeniach okręgu ziemskiego, jużto zaludnionych, jużto przez rasę angiel-

ską opanowanych, gdzie język jéj i piśmiennictwo rozkwita, a nadewszystko znany indywidualizm właściwy pisarzom angielskim, taką przedstawia różnorodność pióra i taką jego niezawisłość, że niepodobna jest, tak pod względem treści jak pod względem formy, podciągnąć go pod jeden ogólny widok. Ztądto angielskie piśmiennictwo niemiało swego La Harpa, ani mieć go nie może. Ci co się pokusili iść tego uczonego szwajcara torem, zmordowani w pół drogi ustali. Jedynem tego rodzaju dziełem które nie jako dostateczne, lecz jako trzymające środek między krytycznem dziełem La Harpa a Historyą Literatury Polskiéj Bentkowskiego, mógłbym do porady dla miłośników literatury angielskiéj u nas wskazać, jest: *Sketches of the History of Literature and Learning in England* w sześciu tomach przez Jerzego Crack, wydrukowane w „Zbiorze pożytecznych wiadomości“ p. Knight. Wiadomości o wzroście nauk i oświaty angielskiéj w tem dziele zawarte sięgają do wieku Wilhelma Zdobywcy i ciągną się aż do naszych czasów. Aby zaś poznać historyą poszczególnych gałęzi umiejętności, sztuk i wynalazków, trzeba dla zaspokojenia ciekawości udawać się do tak ogromnéj objętości dzieł jak: *Encyclopedia Britannica* w kilkudziesięciu tomach ćwiartkowych lub innych jéj podobnych; trzeba wartować foliały rozpraw Królewskiego Towarzystwa (*Royal Society*), tudzież stowarzyszeń innych: geograficznych, etnologicznych, archeologicznych, agronomicznych i t. d., z których każde w swych przedmiotach wydaje pisma corocznie lub miesięcznie, a nadewszystko, należy przeglądać tych Towarzystw Muzea jako widoczne i dotykalne zbiory ich rozmaitych usiłowań. Jak w czystéj literaturze i filozofii, tak i w nich brak dziejowo ułożonego poglądu na piśmie, bo wszędzie napotyka się niemożność, i badający umysł widza musi go sam sobie stwarzać. Prócz tego, uogólnianie nie jest rzeczą Anglików. Filozofowie ich Locke i Dugald Stewart niesłynęli z syntezy jak filozofowie niemieccy, lecz z analizy opartéj na faktach. Od nich głównie i w części od nauk ścisłych metoda rozbiorowa rozprzestrzeniła się w narodzie; nikt też bystrzéj od Anglika faktów niedostrzega, i niedochodzi do pewnych i niezawodnych wniosków. Widzieć można tę analityczną

indukcyę we wszystkich ich pismach, niewyjmując nawet powieścio-pisarstwa. Nią, jakby dyssekcyą serca, Dickens do łez porusza i rozczula, a Thackeray rozbiorem obyczajów i zestawieniem faktów historycznych w sprzeczności będących ze zdrowym rozsądkiem i moralnością, nie tylko pobudza do śmiechu, lecz oburza. Inni mimowolnie, albo raczéj samowolnie, tąż samą drogą idą, łamiąc przepisy szkoły i uniwersytetów przez które największa ich część nieprzechodziła — a wszyscy piszą, drukują, i wielu ma liczniejszych czytelników niżby może mieli, gdyby pisząc, przeciw regułom akademickim nie wykraczali. Takie jest rozbudzenie, że niepowiem wygórowanie oświaty w narodzie, że w porównaniu z nią uniwersytety i akademie, jakkolwiek sławne, wydają się być szkołami elementarnemi, pomocnemi li na początki nauk; gdy natomiast dojrzała ich męzkość i siła po całym narodzie zostały rozlane. Samodzielność piszących, przy wolności druku, tak dalece je ogółowi ludności przyswoiła.

Ale zabrnąłem w las, że dla gąszczu, jak się to mówi, drzew niewidać. Muszę więc co rychléj wycofać się z niego, aby choć na jego krawędziach to i owo dotknąć. Naturalnie ograniczę się w tém do szczegółów czyli faktów jakie mi miesiąc luty nastręcza. Z poglądu na nie sami zrobicie sobie należne wnioski.

Naprzód tedy donoszę wam o Thackeray: że jeszcze bezustannie lektoruje o *Czterech Jerzych*, w stolicy i po miastach na prowincyi, mając z nich minę złota, bo jakem już wam pisał, płacą mu po 50 fst. od lektury. Najobszerniejsze gmachy obierają dla pomieszczenia ciekawych słuchaczy, a właśnie ostatnią swą lekturę miał w *Surrey Gardens*. Najmniéj tysiąc słuchaczów obojéj płci i wieku było zebranych; widok to zapewne rzadki w innych krajach. Powodzenie swe jako lekturzysta winien Thackeray po części swéj sławie autorskiéj, lecz niemniéj także sposobowi nacechowanemu wybitnością i prostotą, w jaki swój przedmiot wykłada, a przemawiającemu nierównie silniéj niż napuszystość słów i deklamacya z jakiemi pospolici mowcy odzywają się do słuchaczy. I w tem też niemniéj szczęśliwy jego wykład, że pełen anegdot i porównań zwracanych zręcznie do domowego życia — do błogości i cichych cnót rodzin-

nych, z których spływa oraz prawdziwe szczęście dla kraju. To szczególnie trafia do smaku anglikom, u których największą bywa rozkoszą zbieranie się rodzin wieczorem przy płomieniejących kominkach (*firesides*). Każdy z nich zatem czuje w sobie zadowolenie i powraca do domu szczęśliwszym. Z tém cichem pożyciem w sprzeczności stawia on czczość blasku dworskiego, zepsucie, podłość, intrygi. Od tego wszystkiego dwór „Czterech Jerzych“ nie był wolen, a przecie znajdowali się tacy, nawet z pośród najznakomitszych ludzi, których po imieniu wymienia, co zamiast potępiać rozpustę, czołem bili splugawionym nią osobom; lecz Thackeray nie puścił im płazem tego poniżenia. Owszem z zadziwieniem nad taką podłą uległością dworaków, po skończeniu opisu życia Jerzego IV a stryja dzisiejszéj królowéj, zapytał z przyciskiem zgromadzonych słuchaczów: „Czyż znieślibyście go teraz?“ Tak zmieniony jest wiek! Królowéj Wiktoryi nienaganny dwór i wzorowe jéj saméj postępowanie tak go zmieniło. Takto i historya ma jakto mówią swe fazy i według ducha wieku ulega przeobrażeniom.

Inną przytaczam rzecz, a którą podobnież można uważać za dziwne tego wieku zjawisko. W téj chwili dowiaduję się, że p. William Russell znany wam jako korespondent *Timesa* podczas wojny w Krymie, zamówiony został przez p. Beale do dawania lektur o wojnie krymskiéj i o podróżach swych niedawno w Rosyi odbytych. Ma on je rozpocząć w kwietniu, dwa do trzech razy na tydzień, podług tego jak p. Beale uzna potrzebę. W nagrodę za to, jak wieść niesie, Russell ma otrzymać 10,000 fst. Jakkolwiek summa ta wydaje się być ogromną, lecz w stosunku do téj, którą Thackeray pobiera, może zebrać się z 156 lektur, do których się Russell zobowiązał, nawet dwa razy więcéj, ile że on nie niższy talentem od Thackeraya. Zresztą sama sława jego jako malowniczego pisarza scen wojennych i nieustraszonego pogromcy nadużyć w czasie wojny, zwabi mu wiele słuchaczów. Takie to niesłychane dotąd nagrody zbierają genialni ludzie w Anglii! Prócz tego, muszę jeszcze dodać, że życie p. Russella jako korespondenta w ciągu ostatniéj wojny, zaassekurowane było przez właścicieli *Timesa* na 10,000 rocznie; pobiera on

przy tém jeszcze swą zwyczajną pensyę jako korespondent, a od każdego sprzedanego egzemplarza swéj „Historyi Wojny“ ma dostawać jeden złp. Co za potrzeba płynąć takiemu do Kalifornii lub do Australii po złoto, kiedy tak obfitą u siebie znalazł minę.

P. Murphy, który był korespondentem dziennika *Daily News*, przygotowywa także w tym czasie swe dzieło o wojnie Krymskiéj i o podróży do Moskwy na koronacyę. Nieustępuje i on w niczem tamtemu mocą i malowniczością pióra, opisy jego tylko były mniéj obszerne.

Wielka objawia się teraz troskliwość i staranie w Anglii o rozszerzenie Nauk Przyrodzonych. W tym celu *Royal Society* uchwaliło niedawno petycyę i podało ją do rządu, aby nie tylko w uniwersytetach ale w niższych nawet szkołach, naukę chemii, fizyki i mechaniki rząd zaprowadzał, i aby uczniowie z nich egzamin zdawali. Dotąd rząd udzielał Towarzystwu 1,000 fst. corocznie na nagrody i druki dzieł w przedmiotach Nauk Przyrodzonych; tę summę uważa Towarzystwo za niedostateczną i prosi o jéj powiększenie. Nadto przedstawia w swéj prożbie, aby ustanowić osobną Radę czyli Kommisyę w tym celu, którąby duplikaty ksiąg w Muzeum Brytańskiem znajdujące się, rozdzieliła między zakłady szkolne, aby celujący w nich wychowańcy otrzymywali posady rządowe i używali przywilejów, służących innym urzędnikom cywilnym w kraju. Jest to krok zrobiony do centralizacyi naukowéj, na któréj w Anglii zbywa. Utworzenie Ministeryum Wychowania publicznego tego roku, wielką do tego będzie pomocą. Była téż mowa w Parlamencie o utworzeniu Ministeryum Sprawiedliwości; dotąd Lord Kanclerz tę władzę zastępował.

Co do nowych dzieł, tyle ich w różnych przedmiotach wychodzi, że niepodobna wszystkich wyliczać. Tygodnik literacki „*Athenaeum*“ 70 do 100 co tydzień tytułów ich ogłasza, a ledwie kilka ciekawszych rozbiera. Wiele z nich niemoże czytelników naszych wcale obchodzić, więc wyliczam z tego miesiąca kilka tylko takich, które z powszechną historyą piśmiennictwa niejaki związek mają, jako to: „Historya Wyprawy Baltyckiéj w roku 1854“ przez Admirała Napiera; naturalnie z usprawiedliwieniem się jego. „Przyjaciele Czech“ (*Friends of*

Bohemia) przez p. Whitty. „Żywot Händla“ *(Life of Handel)* przez p. Schoeler, wychodźcę francuzkiego. Syn Wiktora Hugo przetłómaczył na język francuski Sonety Szekspira, i trudni się przekładem wszystkich pism jego, uwolni przez to Francyę od tłumaczeń przez Ducis. Panna Winkworth angielka tłumaczy Bunsena nowe dzieło: „Bóg w Historyi“, stanowiące wstęp filozoficzny do jego przekładu Biblii dla użytku ludu, a któréj tom pierwszy już wyszedł w Heidelbergu. Wyszły z druku pośmiertne pisma drobniejsze, tak filozoficzne jak krytyczne Prof. Wilsona w Edinburgu; między niemi znajduje się „Żywot Burnsa“, znanego poety wieśniaka Szkockiego, którym literatura angielska tak się szczyci jak Campbellem, Moorem i Byronom. Pyszny pomnik wzniesiono mu w Dumfries, miejscu gdzie był pochowany.

Przy tej sposobności przypomina mi się list Roberta Burns syna poety, który niedawno czytałem w dziennikach, a zawierał następujący ciekawy szczegół z historyi polskiej: Podczas domowych zamieszek i prześladowania w Szkocyi, wielu Szkotów musiało ratować się ucieczką z kraju, i niektórzy schronili się do Gdańska, a pomiędzy nimi znajdował się jeden członek z familii Duglasów. Gdańsk za panowania Zygmunta Augusta był oblegany przez wojsko polskie i ci wychodźcy Szkoccy uprosili byli u Magistratu by powierzono im obronę jednéj z bram Gdańskich, a otrzymawszy na to zezwolenie, tak mężnie bronili jej pod komendą Duglasa, że podczas szturmu Polacy nie zdołali jej zdobyć. Od owego czasu i w nagrodę tej wolności wygnańców Szkockich, ktokolwiek przybywał ze Szkocyi a był urodzonym Szkotem, otrzymał prawo obywatelstwa w Gdańsku. Taki sam przywilej obywatelstwa zyskiwali Szkoci we Francyi z rozkazu Franciszka II, mianowicie ci, którzy stając w obronie tronu Stuartów, zmuszeni byli szukać na ziemi francuzkiej przytułku.

Zjawiła się w Londynie niemiecka kompania aktorów, którzy przedstawili trzy sztuki komiczne na teatrze St. James. Jedna z tych sztuk była *„Durch“* jednoaktowa, Rudolfa Genee; druga *„Badekur“* dotycząca wydarzeń i zwyczajów w kąpielach niemieckich, a trzecia *„Familienzwist und Friede“* czyli „Zwada familijna i

Pokój". Ostatnia jest w humorystycznym stylu, wyśmiewa zajścia będące skutkiem powstania roku 1848, kiedy polityka zagrzawszy głowy Niemcom zakłóciła spokojność domową, różniąc członków familii między sobą, stany kłócąc ze stanami, sługi z panami, usprawiedliwiając ten bunt przeciw władzy, wykrzykami: „Wolność, równość, i braterstwo". O zaletach gry aktorów Anglicy jako mało obeznani z językiem, niemogli być sędziami; gra atoli w ogólności była nie zła. Widzowie jednak z wyjątkiem może rodowitych niemców oceniali ją nie tyle pod względem artystycznym, ile jako lekcyą do obeznawania się z językiem niemieckim i właśnie pod tym względem najwięcéj krytycy w dziennikach uważali te przedstawiania sztuk niemieckich za pożyteczne. Czy to zapewni utrzymanie na długo kompanii, rzecz wątpliwa. Kompania ta zostaje pod dyrekcyą p. Grünfeld jednego z współwydawców *Londoner Deutsches Journal.*

Jak starodawny Rzym zwykł był przenosić bogi podbitych narodów do swego Panteonu umieszczając je między swojemi, tak Anglia gościnnie przyjmuje literatury wszystkich narodów na swej ziemi. Nieprzepominam tu przeto i literatury naszej z bieżącego miesiąca. Wyszło z druku pismo: „*The Polish Mind*" przez pułkownika Przyjemskiego. Jest ono rozszerzeniem polskiego oryginału, o którym już wam doniosłem. Pismo to jako zaznamiające z dziejami naszemi, jest dla angielskich czytelników pożądane i dla nas samych ważne. Wyszło także: „Dwoje Objawień, poemat dziejowy" Aleksandra Rypińskiego. Nadto jego „*Sierżant*" i kilka innych poezyj znalazły zdolnego tłumacza w p. Daniel, który je przełożył wybornie rymem na język angielski, dodając w przypiskach objaśnienia z naszych dziejów, podań, legend, — czem znacznie swe wydanie angielskie wzbogacił. Literatura nasza poczyna coraz więcéj sprawiać zajęcia w świecie uczonym. Oprócz wiadomych już wam katedr przy uniwersytetach obcych, wyczytuję z listów z Kopenhagi, że i tam starania robią się przez Senat Akademicki, aby zaprowadzać katedrę literatury słowiańskiej w Uniwersytecie. Przez wspólność poznania i wyobrażeń, utworzy się z czasem wspólność zasad i pożądana przyjaźń między narodami.

Warszawa w lutym.

Karnawał który szedł kulawą nogą w styczniu, ożywił się jakoś w lutym. Balów było nie mało, mieliście o nich szczegółowe sprawozdania i w naszych gazetach i w samymże *Czasie*, niemyślę więc oklepanych i przestarzałych wiadomości powtarzać. I tak zarzucają Warszawie, że się za wiele bawi, a raczéj, że za wiele o tych zabawach głoszą jéj sprawozdawcy, wystawiając ją, niby jakąś krainę szczęśliwości miodem i mlekiem płynącą. Bóg widzi że i u nas są w życiu strony jasne i ciemne, więcéj może tych ostatnich, ale nie wińcie sprawozdawców których pióro różnym wpływom ulega. Pomijam tysiące przeróżnych okoliczności, ależ sama nawet publiczność pragnie koniecznie tych hymnów wesołości, i gotowaby ukamienować felietonistę coby ją zasmucał miasto bawić.

Tymczasem każdy miesiąc przynosi nam coś nowego. Uderzyło was zapewne, że gazety rosyjskie piszą już rozumowane artykuły, i to artykuły nie lada, bo krytykujące cały obecny stan administracyi, manipulacyę urzędową itd. Moskiewskie pisma pod tym względem daleko śmielszemi się okazują od petersburgskich. Pomiędzy temi ostatniemi odznaczają się dwie gazety: *Północna Pszczoła i Sankt-Petersburgskie wiadomości.*— Pierwsza jest za dawnym systematem, druga za nowym; obiedwie mają równą liczbę prenumeratorów, każda od dziesięciu do dwunastu tysięcy, ale ostatnia coraz więcéj zyskuje popularności: widocznie nowy systemat przeważa. Wielki miało rozgłos przedstawienie Ministra Spraw Wewnętrznych pana Łanskoj uczynione do Cesarza (znacie już je w oryginale i z tłumaczeń), gdzie było kilka bardzo śmiałych myśli. Ważniejszem jest jeszcze, że pozwolono je umieścić w naszych gazetach, bo dotychczas nie wszystko co w ruskich gazetach drukowane, może być tłómaczonem w naszych — kilka innych gazet umieszczało artykuły przeciwko biurokratycznéj pisomanii i przekupstwu urzędników. Prawdę mówiąc, te wady do ogromnych doszły rozmiarów a najlepiéj dowiodły tego w ostatniéj wojnie przez utrudnienie rządowych rozporządzeń. Kradzieży było bez liku, wszakże dobrze wiecie o C.... który skradłszy milion, uciekł bez

śladu.' Sprawa ta wiele narobiła hałasu. Mówią że Hr. R... któremu jeden ze znaczniejszych urzędników robił wyrzuty o to, że C... wkręcił się do służby kommisoryackiéj, odpowiedział w ten sposób:

— Co się panowie sierdzicie! alboż to nowość? Złodziejów tu niebraknie, z tą tylko różnicą, że jedni kradną podług reguł, drudzy bez żadnych reguł. To jak w literaturze dzielą się na klassyków i romantyków — C... był romantykiem w swojém rzemiośle i dla tego klassycy tak na niego wrzeszczą.

Wracając do manipulacyi biórowéj, i u nas nie najlepsza chociaż więcéj daleko uproszczona niż w Rosyi. Trudno zliczyć ile to się papierów co rok zapisze: takie z nich rosną stosy, że po niektórych biórach, naprzykład w Komissyi Skarbu, trzeba było przybudowywać nowe gmachy na pomieszczenie ich. Sprzedajność także mniejsza niż w Rosyi, ale niestety i tutaj téj zarazy nie mało. Nie mówimy już o celnikach którzy pobudowali sobie krociowe kamienice i pokupowali milionowe dobra, pomiędzy nimi właśnie nieskazitelny byłby wyjątkiem. Ale władza która się dotąd najczystszą zachowała, sądownictwo, smutne daje nam czasem przykłady elastyczności sumienia. Prawda że i pensye bardzo małe, taki sędzia trybunału naprzykład bierze po odtrąceniu składki emerytalnéj 4500 złpols. na rok, a figura to nie lada i musi żyć odpowiednio. A życie zwłaszcza tak drogo bardzo kosztuje, i każdy pnie się nad stan. W każdym jednak razie, złe to u nas nie jest jeszcze nieuleczone i łatwo by mu się zaradzić dało. Trzeba tylko do tego wziąść się silną ręką.

Ukaz Cesarski o kolejach żelaznych wielkie tu wzbudził wrażenie. Pominąwszy znaczne korzyści wyniknąć ztąd mogące, napływ kapitałów, ułatwienie komunikacyi, ożywienie handlu i przemysłu; jeden punkt z tego ukazu najbardziej godzien uwagi.

„Dojrzałe rozważenie przekonało (oto słowa ukazu) że dla większéj dogodności i prędkości, najlepiéj jest, wzorem innych krajów zwrócić się ku przemysłowości prywatnéj, tak krajowéj jako i cudzoziemskiéj; ku téj ostatniéj z tego względu, iżby skorzystać ze znakomitego doświadczenia nabytego w dokonanem już zbudowaniu mnogich tysięcy wiorst kolei żelaznych na zachodzie

Europy. Na tych zasadach zostały wywołane, zdziałane, porównane między sobą rozmaite projekta, a po należytem rozpoznaniu całego przedmiotu w komitecie ministrów i osądzeniu go przez ten komitet w Naszéj Osobistéj Obecności, uznane jednogłośnie zostały za najlepsze i przez Nas zatwierdzone warunki przełożone przez Stowarzyszenie kapitalistów ruskich i zagranicznych którym przodkuje nasz bankier baron Stieglitz".

Więc rząd sam uznał wadliwość kosztownych administracyj dotychczasowych przedsiębiorstw, których zarząd z własnego ramienia naznaczał i oddaje je w ręce prywatnych. Zaiste, ważny to krok a nieocenione ztąd korzyści tak dla rządu jak i dla kraju wyniknąć mogą. Weźmy za przykład naszą kolej Warszawsko-Wiedeńską której wybudowanie i administracya dotychczas w ręku rządowem zostawały: nie uwierzycie ile tam kosztów a jak małe zyski—cyfr wam nie podaję bo trudno się do nich dostać, a zresztą niedaleko by mię to doprowadziło; ale wierzcie mi, że w tym stanie rzeczy towarzystwo prywatne dawno by już zbankrutowało. Prawda i to, że towarzystwo prywatne lepiéj by umiało się dopilnować, nie użyłoby tych ogromnych funduszów które o wiele pierwotny anszlag przeniosły, i zapewniło by sobie większy a pewniejszy procent. A tutaj każdy skubie, bo przedsiębiorstwo rządowe uważa się za dojną krowę, od któréj każdy powinien się zaopatrywać w mleko póki je daje. Wiele to już ludzi na dostawach porobili ogromne majątki a jednak pół na pół musieli się dzielić. A ta rozgałęziona służba jakież ogromne koszta za sobą pociąga nie odpowiadając nieraz swojemu zadaniu.

To mi przypomina odezwanie się Eichlera, znanego w Warszawie właściciela fabryki gwoździ i machin żelaznych, cieszącéj się wielkiém powodzeniem.

Eichler ów spotkał się raz z jednym z wysokich urzędników górnictwa i zaczęli z sobą rozmowę.

—Wiesz pan rzekł urzędnik do fabrykanta, jedna mię rzecz dziwi w panu i żadnym sposobem wytłumaczyć sobie jéj nie mogę.

—I cóż takiego dziwi pana Radcę?

—Oto, jakim pan sposobem możesz wyroby swoje tak tanio sprzedawać? — My posiadamy własne kopalnie i zakłady daleko więcéj rozgałęzione niż pańskie, i różne

ułatwienia których pan nie masz—a jednak ręczę panu słowem, iż żadnym sposobem nie potrafilibyśmy obstać przy cenach pańskich. Pan chyba cuda umiesz dokazywać, bo inaczéj niewiem jakimby to sposobem dziać się mogło?—

—Żadnych tu niema cudów, odrzekł Eichler, owszem rzecz bardzo prosta — ja sobie biedny fabrykant, więc muszę być oszczędnym, bo inaczéj żadną miarą nie mógłbym utrzymać współzawodnictwa. A więc u mnie niema ani panów sekretarzów co biorą po 3,000 złp. na rok, ani panów referentów co biorą po 5,000, ani panów naczelników co biorą po 8,000, ani wreszcie panów radzców co po 15,000 biorą. Ja sam sobie jestem radzcą i naczelnikiem, i dla tego dobrze wychodzę na moich interesach.

Otóż cała tajemnica; i jest nadzieja w Bogu, że gdy i rząd wpadł na jéj trop, teraz zamiast radzców będą Eichlerowie. Byłoby jeszcze wiele do powiedzenia o tych wszystkich monopolach, które nagromadziły majątki w pojedyńcze ręce, nie dozwalając się rozwinąć przemysłowi i wolnemu współzawodnictwu, ale pozostawiam to na inny raz i przechodzę do bieżących nowin.

Chodziła tu po Warszawie bajka, którą jako taką wam podaję, a podaję tylko dla tego, że samo narodzenie się już takiéj wieści dowodzi wiary w możliwość ważnych zmian mających nastąpić. Mówiono o trzech towarzystwach prywatnych które ofiarowały się wziąść w dzierżawę teatra nasze. Jak wieść owa niosła, najświetniejsze ofiary miało czynić jedno z tych towarzystw które zrzekało się najzupełniéj wsparcia rządowego, owszem ofiarowało się płacić na rok 300,000 złp. dzierżawy, a tylko prosiło o pozwolenie wybudowania trzeciego teatru— polskiego, albo w najgorszym razie francuzkiego. — Wątpię, ażeby przy teraźniejszym stanie okoliczności wydzierżawienie teatrów prywatnemu towarzystwu było rzeczą możliwą, trzebaby chyba z gruntu zmienić zasady teraźniejszego urządzenia. Teatra u nas są instytucyą najzupełniéj rządową, biórem, że tak powiem, obsadzonem urzędnikami, którzy podług wszelkich form pobierają pensye roczne, opłacają składki emerytalne, i omal co nie mają przysądzonych sobie rang i klass stósownych. Że tego rodzaju urządzenie nie od-

powiada wyobrażeniom jakie sobie tworzymy o zakładach scenicznych, o tem wątpić nie można, ale jakżeż tu zmieniać to wszystko, jak sobie dać radę z tą emeryturą, z temi wszystkiemi urzędnikami artystycznemi. To chaos, z którego najmędrsza głowa nie potrafiłaby wybrnąć. Trzebaby wszystko *ab ovo* rozpoczynać. Doszło do tego, że przy ciągłem zapełnieniu obydwóch teatrów, przy ogromnych subsydyach rządowych, niema żadnéj przewyżki dochodów, i zaledwie koniec roku z biedą zwiąże się z początkiem. Główna wada leży w tém co powyżéj nadmieniłem. Za wiele tam radzców i naczelników, a za mało Eichlerów.

Tymczasem przy ogólnym ruchu i ulepszeniach, wątpię ażeby rzeczy w teatrze pozostały na takiéj stopie na jakiéj stoją dziś. Nie tylko teatr trzeci (polski) by się tu utrzymał, ale przedstawienia w obu teatrach dawane obecnie kolejno, mogłyby się odbywać codzień, i możnaby ręczyć, że widzów by nie zabrakło, byleby stósowny repertoar dla nich urządzić. Także szkoła dramatyczna wymagała by wielkich reform, bo dotychczas więcéj *de nomine* aniżeli *de facto* istnieje, sądząc po owocach jakie nam przynosi. Żywimy się dawnym zasobem, a połowa przynajmniéj najlepszych artystów wzięta z waszego teatru albo z prowincyonalnych, i tam się kształciła. Królikowski, Rychter, Chomiński, przeszli do nas jak wiecie ze sceny krakowskiéj, Komorowski, także nie jest uczniem naszéj szkoły, toż samo jeśli się nie mylę Panczykowski; wprawdzie może ona się za to poszczycić Żółkowskim, któregoby teatra paryzkie i londyńskie mogły naszemu pozazdrościć, ale wszystko to były dawne czasy. Teraz mało co się zjawia, a i to nie warto wspomnienia. Zapowiedziany debiut Piaseckiego, syna słynnego artysty który występował u nas w rolach pierwszych kochanków; niewiadomo jeszcze jakie syn będzie miał powodzenie. Podobno ma wystąpić w „*Kominiarzu*“ w roli *Jakóba*, trudna to rola na pół tragiczna, a jak na początek twardy orzech do zgryzienia. Komorowski podobno bardzo chory, widocznie choroba ta powstała z pracy tak w teatralnym zawodzie jak i dla własnego wykształcenia podjętéj. A zresztą smutna szkoła życia, umartwienia, bo i któż ich niema, a Komorowski więcéj od kogokolwiek wrażliwy, więcéj

téż był na zawody i rozczarowania narażonym. To właśnie co u niego brano za przesadę i egzaltacyę, było wyrazem jego życia. Zdolny to i sumienny artysta, i trudno by było go zastąpić, dotychczas przynajmniej nie widzimy nikogo, coby podołał jego rolom. Nadzieja w Bogu że wyzdrowieje, a przecież i wiek po temu, bo 40 lat nie ma jeszcze. Brat jego Ignacy muzyk, mocno dotknięty piersiową słabością, bawi obecnie we Włoszech, i jak słychać klimat tego kraju zbawiennie wpływa na jego zdrowie.

Pani Ziemińska, która miała już podobno spisany kontrakt z Dyrekcyą lwowskiego teatru, zdecydowała się pozostać w Warszawie. Podobno podwyższono jéj pensyę o parę tysięcy złotych polskich na rok. Dobrych artystek tak mało u nas, iż ażeby utrzymać jedną z nich, nie żal czynić choć ważne nawet ofiary. Pani Ziemińska w tych czasach wiele zyskała, a publiczność bardzo ją lubi. W drobniejszych, nawet w większych komedyach z powodzeniem występować może, a w niektórych rolach nie można myśleć nawet o zastąpieniu jéj. Zato o bohaterki dramatu trudno u nas, bo oprócz panny Palińskiéj, która ma niezaprzeczony talent, ale któréj wiele, bardzo wiele brak do względnéj nawet doskonałości, nie widzimy nikogo.

„*Żydówka*“ Halewego, pierwszy raz w tym roku przedstawiona przez polskich artystów, wielkie tu ma powodzenie. I rzeczywiście lepiéj idzie od włoskich oper, a mamy już po uszy wszystkich dublerów i dublerek których tu nam za pierwszorzędnych podają. Trudno, trzeba znać swoje położenie. Warszawa nie jest w stanie opłacać dobréj opery włoskiéj, więc też mieć jéj nie może, a kantonistów których nam entreprenery tamtejsi przysyłają, żadną miarą za wojsko regularne liczyć nie podobna. Koszt ogromny, a korzyści żadnéj prawie. Nasza własna opera prędzéj by tu mogła prosperować, znalazły by się zasoby; wszakże kiedy Warszawa posiadała własne konserwatoryum, to i talentów nie brakło. A teraz wolą jechać za granicę i tam się kształcić aniżeli służyć niewdzięcznym ojczystym penatom. Ciągle nadchodzą z Włoch jakieś pierwsze *donny*, które tym utalentowanym rodaczkom nie warte rzemyka (chciałem mówić wstążeczki) u trzewika rozwiązać. Ale mówić o

têm to rzucać groch na ścianę, bo i was się zanudza ciągłem powtarzaniem i wreszcie do niczego nie doprowadzi. Więc wolę przejść do czego innego.

Chodzi wieść po Warszawie że Cesarzowa matka ma tu na ciągłe zamieszkać. W istocie klimat nasz daleko jest zdrowszym niż petersburgski i łatwiejszym do zniesienia. Głoszą również o przybyciu Najjaśniejszego Pana, tylko nie zgadzają się kiedy to nastąpi, podobno aż z wiosną. O spodziewanych różnych zmianach nie będę wam pisał, bo o tem nie ma nic pewnego, to tylko nie ulega wątpliwości, że reszta wakujących biskupstw będzie wprędce obsadzoną. Ostatnie konsekracye wiele tu uczyniły wrażenia, zajmowano się niemi bardzo żywo; kraj nasz nieobojętnym jest na sprawy duchowne, bo żywa wiara tkwi w narodzie.

Z literackich nowin jest także coś do zanotowania. Powstają dwa nowe pisma muzykalne, dwa tygodniki, jeden w Petersburgu pod redakcyą Antoniego Kątskiego, drugi w Warszawie pod redakcyą Sikorskiego. Ten ostatni więcéj daje gwarancyi dobrego sądu, chociaż z drugiéj strony mniéj posiada zasobów materyalnych niż petersburgskie pismo, i nie tak świetne czyni obietnice na wabik dla prenumeratorów. A prenumeratorów u nas trzeba przywabiać, bez tego ani rusz. Pismo wileńskie, o którego przyszłem pojawieniu pierwsi donosiliście, będzie nosiło nazwę „*Tydzień literacki wileński*". Już tutejsi literaci otrzymali zaproszenie do współpracownictwa, dotąd jednakże w naszych gazetach nie wolno wspominać o tem piśmie, czekają na urzędowe obwieszczenie. Pojawienie się tego pisma można uważać za dobrą wróżbę dla tutejszego piśmiennictwa. Prospekt zapowiada wiele pięknych rzeczy, i jeżeli redakcya chociaż w połowie dotrzyma, nie można wątpić o powodzeniu tego pisma. Nasze gazety wszystkie wzrosły w liczbie prenumeratorów, nawet *Gazeta Codzienna* która się trzyma jak może. O *Bibliotece Warszawskiéj*, chociaż w sprawozdaniu swojem o waszym *Dodatku* wrogowała mi, nazywając mnie plotkarzem, powiem rzucając chlebem za kamień, iż od nowego roku powiększyła format i zaprowadziła kilka ulepszeń, które powinnyby jéj wyjść na dobre w rachunku prenumeracyjnym. Co zaś do zarzutów mnie czynionych, odpowiem jéj tylko, że za

bardzo z wyłącznie warszawskiego stanowiska zapatruje się na rzeczy. Nie sądzę żebym odpowiadał w zupełności mojemu zadaniu, ale też mało kto z piszących pobieżne artykuły u nas, może to o sobie powiedzieć, a z zakresu który sobie naznaczyłem, nie oddalam się ani na krok; mylić się mogę w szczegółach, ale za ogólną prawdę a mianowicie za szczerość ręczę.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Do najznamienitszych dzieł jakie się w tych czasach ukazały nietylko w Krakowie, ale i w innych ogniskach naszego naukowego ruchu, policzyć można: *Starodawne prawa polskiego pomniki* poprzedzone wywodem historyczno krytycznym tak zwanego prawodawstwa Wiślickiego Kazimierza Wielkiego, w texcie ze starych rękopisów krytycznie dobranym, które wydał Antoni Zygmunt Helcel w Krakowie w drukarni Uniwersyteckiéj. Jest to dopiéro tom piérwszy, in 4o obejmujący 88 arkuszy ścisłego druku. — Autor w przedmowie swojéj powiada, że poświęcając się od lat dwudziestu historyi prąwa polskiego, wprzód nim będzie mógł dokonać dzieła odpowiedniego swéj myśli, widzi potrzebę ogłosić źródła i niektóre zawilsze szczegóły téjże historyi. Tym końcem znalazła się potrzeba ogłosić Pomniki prawa, czyli wydanie krytyczne textu najważniejszych źródeł, następnie monografię o prawodawstwie Kazimierza W. umieszczoną na czele tychże Pomników. W dalszym ciągu tego dzieła zamierza Autor podać i źródła innych praw w ten sposób obrobione, tak jednak, aby już w tem się znalazły i prawa miejskiego celniejsze zabytki i najrzadsze dzieła naszych pracowników, i dyecezalnych synodów najdawniejsze nieznane Statuta. Ostrzega wszakże, że tylko rozejście się pierwszego tomu, ułatwi możność zajęcia się wydaniem Tomu drugiego.

Tom niniejszy dzieli się na dwie Części. *Pierwsza* obejmuje historyczno krytyczny wywód tak zwanego Wiślickiego prawodawstwa Kazimierza W. i z następujących składa się rozdziałów: O zamiarze i O stanowisku dzieła — O rękopiśmiennych dawnych zabytkach Statutów Staropolskich. — Mniemania jakie były dotychczas o pochodzeniu Statutów Kazimierza W. — Krytyka badań i zdań Lelewela. — Krytyka badań i zdań bezimienego autora „*Przyczynku*“. — Nowy krytyczny rozkład pospolitego textu Statutów Kaz. W. — Historya

w dochodzeniu daty każdego ze czterech wyłożonych statutów. — O zawodzie rządów i prawodawstwa Kazimierzu W. — O statutów Kaź. W. późniéjszych układach i Zwodach, tudzież o naukowém ściąganiu ich treści w sumny. — *W Drugiéj części* poświęconéj textom źródeł, mieszczą się następujące przedmioty: Ustawodawstwo Kaź. W. — Sądowa praktyka prawa przy końcu XIV. wieku. — Statuta i uchwały Mazowieckie. — Wład. Jagiełły Statut Wartski. — Ustawodawstwo Kościoła Polskiego.

— Wydawnictwo dzieł katolickich ogłosiwszy *Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego*, teraz wydaje *Obrazki z domownictwa* grubszemi tomikami, gdzie się po kilka takich scen z życia mieści. Ostatniemi czasy czytaliśmy *Obrazek oderwany*, gdzie w zdramatyzowanych scenach scharakteryzowani są domownicy, jak: pisarz prowentowy, kucharz, lokaj, panna służąca, garderobianna i pokojówka — W. Wielogłowski autor tych z wielką zręcznością i talentem pisanych szkiców powiada w przedmowie, że jeźli nie z najzaszczytniejszéj strony odmalował dworskich oficyalistów, to dlatego niezaprzecza, aby między nimi niemieli się znaleść ludzie uczciwi, pracowici i wierni, dlatego obrazek ten złych tylko dotycze, a ogółowi nieubliża. Ktoby zaś czuł się obrażonym na Autora, odpowiada mu przysłowie:

Uderz w stół,
a nożyce się odezwą.

—Nakładem Juliusza Wildta wychodzić już zaczęła *Czytelnia domowa* — 1szy i 2gi Zeszyt zawiera romans *Dred* sławnéj amerykańskiéj autorki Beecher Stowe. — Romans ten obejmie do 8miu zeszytów. Tłumaczenie polskie jest staranne, i różniące się od zwykłych fabrycznych przekładów.

Przyjemną i pochlebną dla nas znajdujemy w pismach zagranicznych wzmiankę o naszym rodaku p. Warszewiczu Inspektorze ogrodu Botanicznego krakowskiego znanym w świecie uczonym z jego podróży po Ameryce zkąd wiele przez siebie wynalezionych roślin Europie dał poznać— liczne też gatunki Jego mianem ochrzczone zostały — n. p. Alonzoa Warszewicii-Canna Warszewicii-Jochroma Warszew-Scia docalyx Warsz. i bardzo wiele innych których tu dla braku miejsca wyliczać nie będziemy. —Teraz (w dowód jak za granicą zdatnych i zasłużonych ludzi oceniać umieją) na cześć i pamięć Imienia jego nowy i osobny Rodzaj Warszewicella ustanowiony został.— (Mr. Reichenbach fils a separé des Huntleya et Warrea quelques espèces pour les quelles il a formè un genre dedié a Mr. von Warszewicz voyageur bien connu pour le nombre considerable de belles plantes qui il a decouverte dans l' Amerique centrale et qui il a introduitesdans les jardins de l' Europe— *Flore dés Serres et des Jardins de l' Europe X. livraison 1856.*) Znakomitsze gatunki są Warszewicella candida Rehbe. fil. (Huntleya candida Hort Warrea candida Lindl) Warszewicella cochlearis Rehbe fil. (Huntleya imbricata — Hort. Warrea cochlearis Lindl) W. marginata — Rehbe fil. (Huntleya marginata Linden-Warrea quadrata Lindl.)

Przemyśl. Wiadomo że wydawnictwo *Biblioteki polskiéj* w Sanoku przeniosło się do Przemyśla wraz z jéj wydawcą p. Turowskim. Ciąg tedy téj pożytecznéj i tak dobrze pomyślanéj publikacyi nieustaje, czego dowodem świeżo wydany zeszyt: *Wszystkich Dzieł Jana Kochanowskiego* (z portretem wieszcza)

Druk acz dość drobny, lecz piękny i wyraźny, czyni to wydanie nawet ozdobnem, chociaż cały exemplarz dzieł Kochanowskiego kosztować będzie tylko zł. 7. gr. 6. czyli 1 złr. 48 kr. — Pan Turowski gorliwy o dobór najwięcéj pożytecznych i właściwych na dobie przedruków, wydać zamierza zaraz po Kochanowskim, wyborną książkę Frycza Modrzewskiego: O poprawie Rzeczypospolitéj; następnie ogłosi Historyą Polską J. S. Bandkiego— Żywoty Jana Chodkiewicza, p.Naruszewicza, niemniéj dawnych poetów, jak: Tobiasza Wiśniowieckiego, Sępa Szarzyńskiego, Kaspra Miaskowskiugo, Szymona Szymonowicza, Grochowskiego, Piotra Gorczyna, Zbylitowskiego Klonowicza, Kochanowskiego, Zimorowiczów, Waleryana Otwinowskiego, Samuela Twardowskiego, Jędrzeja Morsztyna, Wacława Rzewuskiego, Drużbackiéj i t. d. Kronik niebędzie w tym czasie wydawał, lecz pamiętniki historyczne, co ważniejsze zadanie; ogłoszona bowiem kronika Bielskiego odpowiada pierwszéj naglejszéj potrzebie; przedruk Kromera (w tłumaczeniu) byłby zbytkowym. Cieszymy się że p. Turowski niezraził się przeciwnościami i plan swój z godną statecznością prowadzi dalćj; powinniśmy go też wspierać, tem więcéj że te dzieła jakie ogłosić zamyśla, ledwo setnemu czytelnikowi są dzisiaj znane.

Wiedeń. Wincentego Pola poetyczne dzieła wyszły już we czterech tomach ozdobnie drukowanych i obejmują: Mohorta, Winnickiego, Sejmik Sądowéj Wiszni, Witą Stwosza, Hetmańskie Pachole i Drobne poezyje. Wydanie to poprawne, pomnożone jest licznemi objaśnieniami historycznemi.

— Znany z pięknych prac swoich poetycznych w języku niemieckim Dr. Const. Wurzbach, ogłasza ogromnych rozmiarów dzieło pod tytułem: *Biographisches Lexikon des Kaiserthums Oesterreich* (Słownik biograficzny Cesarstwa Austryackiego od r. 1750 do 1850.—Tom pierwszy złożony blizko z 500 stronnic i obejmujący literę A i B (nie całe jeszcze) opuścił prasę. Polskich żywotów znajdujemy kilka bardzo dobrze skréślonych, mianowicie: Angełłowicza metropolity ruskiego, Ankwicza Arcybiskupa, Antoniewicza Karola Bołoza z Tow. Jezusowego, Augustynowiczów Jana i Jakóba Arcyb. Ormiańskich, Balickiego typografa, Batowskiego Aleksandra, Bełdowskiego Franciszka Pedagoga, Bema Jenerała Wójsk Polskich i Bielowskiego Augusta. Wielce to zajmujące dzieło i sumiennie ułożone, jest dobrą dla nas wskazówką, abyśmy o czemś podobném i dla nas pomyśleli.

Praga. Donosiliśmy już że Antoni Gindely wydał pierwszy tom dzieła: *Böhmen und Mähren im Zeitalter der Reformation* (Czechy i Morawia w epoce Reformacyi), teraz dokładniejszą dajemy o niem wiadomość. W tomie tym będącym cząstką pracy szerokiego rozmiaru autor obrobił: Dzieje braci Czeskich. Gindely czerpał do książki swojéj w nietkniętych dotąd źródłach, jak: w Archiwach Hernhutrów, w Cesarskiéj pruskiéj bibliotece, w bibliotece Czeskiego Muzeum, w pruskiéj arcybiskupiéj i kapitulnéj, w Lobkowiczowskiéj, w biskupich bibliotekach Litomierzyckiéj i w królowym Gradcu, w bibliotece zakonu Krzyżowców w Pradze, w Cysterskiéj w Hohenfurcie, w Wallenstéińskiéj w Dux, w Arcybiskupiéj w Kremsirze, i w Archiwum Stanowém w Bernie. Niemniéj poszukiwania jakie Autor zrobił w podróży przedsięwziętéj

w tym celu do Niemiec, Polski i Holandyi, przysporzyły niemało ważnych szczegółów. O treści tego tomu najlepiéj się dowiemy z samego autora: „Bracia Czescy od chwili swego istnienia, jako istotni reprezentanci narodowego husytyzmu, aż do zgonu swego ostatniego mistrza Komeniusza, (który znalazł przytułek w Lesznie) wycisnęli na dziejach swéj ojczyzny właściwe piętno, biorąc udział a raczéj stając na czele wszystkich ruchów, które wstrząsały szesnastym i siedmnastym wiekiem.“ — Tom ten obejmuje dzieje sekciarzy od r. 1434 do 1564.

Lwów. *W drukarni Pillera* drukuje redaktor Przyjaciela domowego p. Stupnicki Pamiętniki Paska z drzeworytami i wydał już zeszyt pierwszy. Drzeworyty nie szczególne, a przecież to miało nadać wartość nowemu wydaniu Paska. Obiecują wprawdzie, że w dalszéj części będą lepsze illustracye.

— *W drukarni zakładu staurópigialnego* drukują obecnie Piątkowskiego broszurę 8o arkuszową: O wyrabianiu sztucznych napojów z owoców; Kowalskiego: Wieczory w domu rodzinném czyli powiastki dla dzieci 12o 7 arkuszy; będzie to zbiór moralnych powiastek zastósowanych do pojęcia dzieci. — Daléj kończy się tu właśnie: Poczet szlachty galicyjskiéj i bukowińskiéj, 47 arkuszy 4to, który nie będzie w handlu. Drukują również trzeci zeszyt pisma: Zbornik istoriczeskij, który ma zawierać rozmaite żródła do dziejów księstwa halickiego.

Poznań. Nakładem Żupańskiego wyszła *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*, którą skréślił Józef Przyborowski nauczyciel przy Gimnazyum ś. Magdaleny w Poznaniu. Praca ta mająca więcéj na względzie bibliografią wydań naszego poety, uwagi porównawcze co do form językowych używanych przez niego, jak rozbiór jego utworów pod względem estetycznym i historycznym, składa się z następujących rozdziałów: Życie Jana Kochanowskiego, Wiadomość bibliograficzna, Fraszki pod względem oryginalności, Język Jana Kochanowskiego. — Jest to bardzo sumiennie wypracowana książką godna Zygmuntowskiego wieszcza; szczególniéj w rozdziale o życiu poety i o fraszkach wiele jest ciekawych i nowych zestawień i spostrzeżeń.

Warszawa. Lutowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły: *Mazew*, przyczynek do historyj wiejskich i miejskich osad w Polsce, przez Maciejowskiego. — *Koryolan*, tragedya w pięciu Aktach, przekład z Szekspira, przez J. Paszkowskiego. — *Kronika Paryzka*, literacka, naukowa i artystyczna. Przyjęcie Ponsarda do Akademji. Biografia Salvandego. Les confessions d'un Bohémien, powieść pana Arnould Fremy. Les petits Bonheurs przez Jules Janin'a. Biografia Nerwala przez tegoż. Egipt przez Ernesta Feydeau. Wyprawa do źródeł białego Nilu. Wiadomości literackie. — *Jezuici w Kaliszu*, szkic historyczny, skréślił Cezar Biernacki. — *Zarysy kosmologiczne.* Budowa wszechświata, jego wielkość i dzieje utworzenia się, napisał Apolinary Zagórski. — *O stosunkach* wzajemnych między właścicielami dóbr a włościanami w Królestwie Polskiém, przez Antoniego Cyprysińskiego. — *Poezya* Powrót ze swadźby przez Władysława Korytyńskiego. — *Rozmaitości.* Ostatnie chwile życia (wyjątek z dziennika domowego przez G. Z.).

A. E. Odyniec, napisał dramat *Barbara*, który ma się drukować w Poznaniu. P. Tyszyński poc

wiada w Bibl. Warsz. „że to będzie najpiękniejsza kompozycya autora i najpiękniejszy z polskich dramatów. Takiéj Barbary, przy innym nawet guście wieku, nie mógłby był napisać Feliński, ani nikt mu z współczesnych, bo nie było jeszcze tych pamiętników, które wydał Baliński.“ Twierdzenie dość mylne, bo sądzimy, iż większa obfitość historycznego materyału, bynajmniéj nie przyczynia się do zrobienia dobrego dramatu; przecież za czasów Szekspira i Kalderona nie było tak dobrze obrobionych historyj, ani takich zbiorów dokumentów, a mimo tego tworzyli oni dramata tak pełne prawdy życia i ducha, że nikt nie pyta czy to lub owo zgadza się z historyją, bo nawet przebacza się im wszystkie anachronizmy wszystkie jeograficzne i archeologiczne błędy.

Czytamy w dziennikach warszawskich następujące doniesienie:

— Uważając każdy fakt literacki za własność ogółu, pospieszamy donieść, że nakoniec i nasza literatura poszczycić się będzie mogła posiadaniem przekładu *Koranu*, którego wydań niezliczoną ilość posiadają literatury zagraniczne. Przekład ten z oryginału, dokonany z jak największą sumiennością, jest pióra p. Kurpiłowskiego. O ile nam wiadomo, wydaniem tego dzieła ma się zająć jeden z tutejszych księgarzy.

— Album Lubelskie, składać się będzie z widoków Lublina i jego okolic, wychodzić będzie poszytami, których będzie 8, poszyt zaś każdy będzie zajmował 4 ryciny litografowane (à deux crayons) i stosowną ilość tekstu. Album to składać się będzie z następujących widoków: Lublina: Kościół S. Ducha, rozwalina przy tym kościele, Brama Krakowska, Ratusz miejski, Ulica Grodzka, Ulica Złota z kościołem XX. Franciszkanów. Pomniki w tym kościele Firlejów, Dom dawniéj Sobieskich, Stara fara dziś już nie egzystująca, Widok zamku, Wnętrze kościoła S. Trójcy, Katedra lubelska dawniéj kościół OO. Jezuitów, Kościół OO. Beraardynów, Kościół Brygidek, Krakowskie przedmieście, Kościół i klasztor OO. Kapucynów, Rząd gubernialny z pomnikiem, Ogród miejski z rozwalinami gmachu Tarłów, Widok Lublina i t. d.

Okolic lubelskich: Dąbrowica, Jakubowice, Zawieprzyce, Gardzienice, Krupe, Nowa Aleksandrya (Puławy), Gołąb, Bochotnica, Kazimierz, Pietrawin, Wojciechów, Hodel, Kraśnik, Kryłów, Sielec, Bzemierniki, Radecznica i t. d.

Rysować na kamieniu będzie pan Ceglinski. Poszyt pierwszy jest już gotowy.

— Czytelnia Niedzielna rozpoczęła z r. b. drugi rok swego bytu. Współczucie z jakiém przyjętą została. a czego najlepszym dowodem było przeszło 3,000 prenumeratorów, jest rękojmią dla redakcyi. że pojęła potrzeby swoich czytelników. Nie wątpimy, że pismo to i w roku bieżącym równego dozna upowszechnienia, tém więcéj, że staranność redakcyi jest nieustanną w doborze odpowiednich duchowi pisma artykułów. — W roczném sprawozdaniu swojem, redakcya w nr. 52 Czytelni, wymieniła alfabetycznie wszystkich współpracowników swoich; przywiedziemy ich cały poczet: Bogusławski, Broszkiewicz Karol, Czajkowski Józef, Czermiński Floryan, ksiądz Czermieski, prof. Dawid. Dr. Estrejcher, Garbiński Władysław, Gąsowski, Gregorowicz Jan, Grejnart, Hubner, Wojciech Jastrzębowski, Ilnicka Marya, Jarański,

Kontrymowicz, Konwerski, Korzeniowski Józef. J. I. Kraszewski, ksiądz Kurowski, Kucz Karol, Leśniewska, Lewocka Karoilna, Libera, Luceński, Łoziński. Machczyńska, Majewski Józef, Mirolica, Niwiński Antoni, Papłoński Jan, Pawłowski Sabin. Petrów Aleksandra, Pisulewski prof. Pług Adam, Popławski Artur, Pruszakowa Seweryna, Przybysławski, Przystański Stanisław, ksiądz Putiatycki: Radomiński, referendarz, Rogozińska Władysława, ksiądz Siennicki. Scisłowska Zofia, Smolinkowski Jan, W. Sobański, Świszewski, Szlenker Xawery, Szymanowski Wacław, ksiądz Więcsławski Filipin, Wilczyński, Wielogłowska Tekla, A. Wieniarski, Wójcicki K. Wł., Widulski Konstanty, Zajączkowski, hrabianka Róża Zamojska.

— Zakład litograficzny M. Fajansa pospiesza z wykończeniem całéj seryi „Wizerunków polskich, ażeby w r. b. wydać należne zeszyty do 15 wedle dawnego prospektu. Zeszyt IX-ty już skończony, obejmuje wizerunki Andrzeja hr. Zamojskiego, Hadziewicza, J. W. Bandtkiego; z odpowiednią okładką. Sześć następnych zeszytów wychodzić będą po dwa razem dla prędszego wydania, i dadzą nam wizerunki: Teodora Narbutta, Józefa Muczkowskiego, Fr. Wężyka, Jana Królikowskiego, Aleksandra Lessera, W. Jastrzębowskiego, Fr. hr. Skarbka, księcia Kazimierza Lubomirskiego, Lucyana Siemieńskiego, Eleonory Ziemięckiéj, Karola Kurpińskiego, Alojzego Żółkowskiego, Władysława Syrokomli, prof. Zejsnera, Józefa Komorowskiego, Rychtera, Zygmunta Kaczkowskiego i artystę Zalewskiego. — W tymże zakładzie wykonano na wzór zagraniczny: „Pamiątkę z Warszawy“. Jestto róża kolorowana, z liśćmi i pączkami, która się rozkłada, a w każdém złożeniu wewnętrz ma coraz nowe widoki Warszawy, w ogóle jest ich 28. Po raz piérwszy są tu zamieszczone widoki gmachów senatu, instytutu szlacheckiego i saskiego pałacu z hotelem Europejskim.

— Komedya J. Korzeniowskiego wierszem we 3 aktach: „Młody mąż“: ma wyjść w oddzielnéj książce.

— Opowiadanie z czasów Augustowskich p. n. „Pan Marcin Kwieć“ przez Stanisława Reytena, ogłoszone w odcinku Gazety Codziennéj, wyszło w oddzielnéj książce. Jestto raczéj zajmujący i ciekawy pamiętnik o jednym możnowładzcy z rodziny Radziwiłłów. Obrazek ten w dosadnych rysach daje nam dokładne wyobrażenie o owych magnatach, których rody już się zbliżały szybko do upadku i wygasały, uprzedzając ostatnią ruinę dawnéj rzeczypospolitéj.

— Nakładem przedsiębiorczego księgarza S. Orgelbranda w ozdobném i staranném wydaniu wyszły: „Hygiena polska“, Dra Teodora Tripplina. 2 tomy z rycinami kolorowanemi; Wykład chemii nieorganicznéj zastósowanéj do przemysłu, rolnictwa i medycyny, Emila Czyrniańskiego prof. uniwersytetu Jagielońskiego z 132 drzeworytami; Tom X. Historyi powszechnéj Cezara Cantu Tom XI ostatni już pod prasą; oddzielny tom XII zawierać ma obraz literatury ludów słowiańskich. Tom ten będzie i oddzielnie do nabycia. zajmuje się obrazem tym ze wszechmiar dla nas zajmującym, znany i zasłużony w literaturze naszéj Leon Rogalski. Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Pamiętniki lekarza“, serya druga w 4 tomach, Teod. Dra Triplina. Obecnie drukuje

dalszy ciąg przekładu Historyi Konsulatu z Thiersa.

— Księgarz S. H. Merzbach po wydaniu w 2 edycyach 10 tomów Gospodarstwa wiejskiego, Michała Oczepowskiego, ogłosił teraz we 2 tomach nieznaną jeszcze pracę tegoż autora pod napisem: „Nauka ekonomii czyli zarządu gospodarstwa“, z wizerunkiem bardzo trafnym zgasłego męża. Tomy te stanowią całość z pomienionemi 10 tomami, ale i oddzielnie nabyte być mogą. Nakładem tegoż księgarza wyjdą wkrótce: „Historya naturalna“, wydana dawniéj przez ś. p. professora Leśniewskiego, teraz w nowéj edycyi znacznie pomnożona, z dodaną botaniką. Dzieło to obejmie dwa spore tomy z 48 kolorowanemi rycinami. „Świat przedpotopowy“ Zimermana; przekład z niemieckiego przez Dziekońskiego, tom jeden duży z kilkuset drzeworytami w tekście. Zeszyty należące do seryi 1856 r. Księgi Świata wyjdą w ciągu miesiąca i natychmiast rozpocznie się druk tego pisma nowéj seryi na rok bieżący. Pamiątki historyczne, dzieła pośmiertelnego Tomasza Święckiego, kończy się zeszyt trzeci. Z mniejszych nakładów tejże księgarni wyjdzie książeczka p. n. „Grzeczne dzieci“ po francuzku i po polsku z rycinami kolorowanemi.

— Gustaw Sennewald w r. b. rozpocznie druk dzieł: Historya literatury polskiéj w zarysach, edycya 2 przerobiona i powiększona K. Wł. Wojcickiego we 4 tomach; oraz po raz piérwszy z rękopismów ogłoszone kazania znanego historyka J. Albertrandego biskupa Zenopolitańskiego.

— Druk dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historya prawodawstw słowiańskich“, coraz postępuje: tom pierwszy najobszerniejszy ze wszystkich wyjdzie w marcu. Uczona ta praca ma być równocześnie tłumaczona na język niemiecki.

— Wystawa starożytności i przedmiotów sztuki w Warszawie zamkniętą została z dniem 1 lutego r. b. Ogłoszony katalog téj wystawy zawiera dokładne objaśnienie przedmiotów. Stanowi on dzieło pracowicie obrobione i nader ważny materyał dla archeloga i starożytnika krajowego. Należy tu powtórzyć z wdzięcznością imiona tych zacnych współpracowników, którzy ze szlachetnym zapałem nietylko zajmowali się uporządkowaniem i ustawieniem w dwóch salach zebranych przedmiotów, ale niepożałowali pracy w napisaniu pomienionego katalogu. Z powodu ogromu pracy spis na podziały: Karol Beyer i Bolesław Podczaszyński opisali starożytności krajowe i obce; pułkownik b. w. polskich Marcin Klemensowski broń i uzbrojenie: inne przedmioty opisali pp. Alexander Przezdziecki Henryk Stecki, Eugeniusz Zawadzki. Mikołaj Wisłocki, Karol Beyer, B. Podczaszyński i J. Gauger; ostateczną zaś redakcyą i dopilnowanie druku podjął B. Podczaszyński. Tak połączonemi siłami, prędzéj niż mogliśmy się spodziewać, otrzymaliśmy dzieło wielkiéj ceny pod skromną tylko nazwą katalogu. Patrząc na ten zbiór znakomity na wystawie, tak piękny i tyle nauczający, powtórzyć musimy życzenie nasze, ażebyśmy mogli się doczekać stałego muzeum starożytności, jakiém się cieszy stary gród Gedymina — Wilno. Jeżeli tam zebrano wspaniałą ofiarą Eustachego hr. Tyszkiewicza i gorliwością zacnych obywateli litewskich, już zbiór piękny zabytków przeszłości, i u nas złożyłby się nieposłedniejszy. Nie brakłoby i gmachu na pomieszczenie odpowie-

dnie zyskałaby wiele z tego nauka a głównie dzieje nasze. Oprócz tego katalogu, Karol Beyer wydał „Album fotograficzne starożytności i przedmiotów sztuki" na 30 tablicach, do którego objaśnienie mieści tenże sam katalog; Album to kosztujące rs. 50. nie może się upowszechnić dla wysokiéj ceny. Tyleto błogich następstw i korzyści dla nauki dała nam wystawa starożytności, któréj pierwszą myśl piękną rzucił na grunt niejałowy, nasz artysta malarz J. Simmler.

Petersburg. Pisma warszawskie donoszą o wyjściu tamże *Pieśni o pułku Igora*. staroruskim poemacie z XII wieku przełożonym przez ks. Ad. St. Krasińskiego, Bielowski dawniéj go przełożył, a choć temu nowemu przekładowi przyznają dzienniki warszawskie wyższość, z temwszystkiém zdania tego, choćby tylko sądzić z podanyah wyjątków przekładu ks. Krasińskiego, podzielać trudno. Blado-wodnista gładkość nie jest jeszcze najwyższą zaletą przekładu.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz.—Antoni Czapliński Rząd. Druk.